

MAGDALENA  
**KORDEL**



*Pejzaż z Aniołem*



MAŁOWNICZE

znak



MAGDALENA  
**KORDEL**

*Pejzaż z Aniołem*



*Moim rodzicom za to,  
że w niczym nie przypominają  
rodziców Nataszy.*

O budziła się z przejmującym poczuciem klęski. Z niechęcią otworzyła oczy i sięgnęła po leżący na szafce nocnej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i skrzywiła się szpetnie. Przez noc nie wydarzył się żaden cud. Esmes, który wczoraj dostała, nie zniknął, a data wskazywała, że nadal jest początek grudnia i niestety, zgodnie z odwiecznymi prawami natury, za moment ów początek zmieni się w środek, po czym płynnie przejdzie w traumatyczny czas Bożego Narodzenia. I że znów, jak co roku, będzie miała uczucie, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który w tych dniach nie ma co ze sobą począć.

– Gdybym przynajmniej była sierotą... – wymamrotała sama do siebie, gramoląc się z łóżka. – Ale oczywiście nawet to w moim przypadku musi być bardziej skomplikowane!

Z impetem odsłoniła zasłony i mimo woli jęknęła. Zamiast przyjemnej, ponurej szarości, która idealnie korespondowałaby z jej nastrojem, zobaczyła biały puch, który z podziwu godną dokładnością otulał bezlistne konary drzew i miękko układał się na parapecie.

– Hmm... no tak... Cudownie, po prostu cudownie! I nadal pada... – mruknęła, patrząc na białe, delikatnie wirujące płatki.

W tym samym momencie komórka, którą trzymała w dłoni, zawibrowała, a na wyświetlaczu pojawił się esemes od matki:

*Nie dąsaj się, Pączusiu. Życie jest za krótkie na smutki. Tutaj jest przeuroczo i nareszcie czuję, że żyję. Karl obejrzał twoje zdjęcia i stwierdził, że jeżeli oddasz się w jego ręce, zrobi z ciebie ludzi. Cudów nie obiecuje, ale sama wiesz, jak jest – z pustego i Salomon*

*nie naleje. Lovciam i łaskoczę pod podbródeczkiem.*

*PS Codzienne wklepywanie kremu pod bródkę powinno pomóc. Pamiętaj, że stara panna z drugim podbródkiem brzmi o wiele gorzej niż zwyczajna stara panna. To...*

Adrianna nie zdążyła doczytać do końca, bo komórka rozdzwoniła się skoczną melodią.

– A powiadają, że przedmioty są martwe, choć złośliwe, i nie mają uczuć, tymczasem mój telefon właśnie się wzniosł na wyżyny empatii – prychnęła, zerkając na wyświetlacz.

Dzwoniła jej przyjaciółka Marlena.

– Wstałaś? Nie odpowiadaj, bo i tak wiem – sapnęła do słuchawki. – No więc z łaski swojej raz-dwa-trzy wyczołgaj się z łóżka i wyjrzyj przez okno. W takie poranki chce się żyć!

– A widzisz, i tu cię zaskoczę. Po pierwsze, wstałam już jakiś czas temu, po drugie, wołałabym nie wyglądać przez okno, bo jak doskonale wiesz, nienawidzę grudniowego śniegu...

– Dajże spokój – przerwała jej Marlena. – Ty nienawidzisz śniegu? Ty? W tym swoim małym, ciepłym blokowym mieszkanku? A co ja mam powiedzieć? Od rana z łopata w rękę! Ale motywację mam, a jakże. Jak nie odgarnę, to nie wyjadę. A jak nie wyjadę, to nie wywiozę Rafałka do żłobka. A jak nie wywiozę Rafałka, to nie będę mogła pracować. A mówili, że praca w domu jest błogosławieństwem dla matki z małoletnim potomstwem. Mogę się założyć, że ten, kto to powiedział, nigdy nie usiłował robić tłumaczenia z jednym dzieckiem uwieszonym przy cycku, a drugim bawiącym się pod biurkiem.

– Przynajmniej drugie, to podbiurkowe, ci odpuściło – roześmiała się w końcu Adrianna.

Marlena miała w sobie coś takiego, że człowiek nie mógł się przy niej zbyt długo martwić.

– Aha! Oduściło! – zawołała. – Całe łydki miałam zaślinione, bo Andzia postanowiła pobawić się w psa ciotki Renaty.

– O matko, w tego obfaflunionego buldoga?

– Dokładnie, tego samego. Z dużym zaangażowaniem podeszła do zadania, naśladowując Bąka.

– A właśnie, cały czas miałam cię zapytać o to imię. To z racji tego, że Bąk jest podobny do trutnia? Taki obły i obfity?

– Nie, niestety. Ciotka Renata ma specyficzne podejście do życia i Bąk swe imię zawdzięcza wiecznemu rozstrojowi żołądka i woniejącym wiatrom, które puszcza od szczeniaka. Cioteczka z rozczuleniem opowiadała, jak to za każdym razem zdumiony szukał tego czegoś, co mu wypadło spod ogona. A jak węszył, a jak wąchał, a jak tropił! – Marlena wyjątkowo udatnie naśladowała ciotkę. – Bardzo obrazowo to wypadało, mówię ci. Tak bardzo, że Andzia w przedszkolu odegrała tę scenkę na przedstawieniu.

– O matko, przedstawienie o... TAKICH wiatrach? – Adrianna zrobiła wielkie oczy.

– Nie, coś ty, o sierotce Marysi. Andzia uznała, że doda coś od siebie, a że wcieliła się w lisa, sama sobie dopowiedz, co ów zwierz w wolnych chwilach robił. Z miejsca zdobyła uznanie publiczności. Wszyscy rodzice pokochali postać lisa i pękali ze śmiechu, co niektórzy nawet do łez. Jediną zdegustowaną osobą była pani, która to dzieło wyreżyserowała.

– Cóż, na jej miejscu raczej bym się cieszyła, że Andzia nie grała sierotki Marysi – zaśmiała się Adrianna. – Nawiasem mówiąc, wróżę twojej córce zawrotną karierę aktorską, nie sądzisz, że...

– Że niby lis z rozstrojem żołądka podbije tłumy? – sapnęła Marlena, Ada zaś oczami wyobraźni ujrzała, jak przyjaciółka mocuje się z łopata pełną

śniegu. – Wiesz, jako matka z dystansem jakoś tego nie widzę. Ale chwilowo zostawmy Andzię i jej świetlaną przyszłość, a zajmijmy się tobą. Co się dzieje?

– A co się ma dziać? – Adrianna momentalnie zmarkotniała. – To samo co zawsze w grudniu.

– Przecież jeszcze przedwczoraj mówiłaś, że wkrótce będzie inaczej, że coś drgnęło...

– Przedwczoraj było sto lat temu. – Adrianna żałośnie pociągnęła nosem.

– Oho! Mój niezawodny węch podpowiada mi, że na scenę znów wkroczyła Teresa. Chyba musimy pogadać. I że to nie jest rozmowa na telefon. – W słuchawce coś zgrzytnęło i zaszurało. – No dobra, dotarłam do bramy. Mogę wywieźć lube dzieciaczki i zaprosić cię na szybką kawkę. Ostatecznie to chyba nie ma wielkiego znaczenia, czy będziesz popadała w depresję samotnie, czy w towarzystwie, co?

– Raczej nie ma – odparła Ada na głos, a w skrytości serca podziękowała dobrym duchom, że przynajmniej pod tym względem jej się poszczęściło.

Miała najlepszą przyjaciółkę na świecie. I dlatego z jednej strony się cieszyła, że za chwilę będzie się mogła przy niej wygadać, z drugiej jednak ogarnął ją dojmujący smutek. Bo przyjaźń według Adrianny polegała przede wszystkim na tym, by swoim przyjaciołom przysparzać jak najmniej kłopotów. A wiedziała, że to, co miała Marlenie do powiedzenia, z całą pewnością jej nie ucieszy.

**M**arlena bezwiednie przerzucała plik kartek leżących przed nią na stole. Za oknem rozszalała się zamieć. Wielkie, grube płaty śniegu leciały z nieba jak oszalałe, tworząc nieprzeniknioną białą ścianę.

– Przestań w kółko przekładać te papierzyska, bo potem za nic nie dojdiesz z nimi do ładu – odezwała się w końcu Adrianna.

– Nie bój nic, z tym akurat sobie poradzę – mruknęła przyjaciółka, odsuwając jednak przezornie plik kartek na bezpieczną odległość. – Natomiast zupełnie nie wiem, co zrobić z tą wiadomością. – Wskazała brodą na telefon Ady.

– Ucieszyć się, że to nie twoja komórka i nie twoja matka. Zawsze to jakiś plus – poradziła jej Adrianna, zagryzając dolną wargę.

– Ale ja nadal, mimo tylu lat, nie mogę tego pojąć! Jak ona ci to może robić?

– Zwyczajnie. – Ada wzruszyła ramionami. – Pamiętasz?... To chyba była czwarta klasa podstawówki?... Jak wróciliśmy ze szkoły, a na mnie w domu czekała wetknięta w drzwi wejściowe kartka z informacją, że wypadł jej pilny wyjazd i żebym się nie martwiła, bo ona o wszystkim pomyślała? Śledzie w słoiczkach miałam w lodówce, a prezenty...

– W szafie – dokończyła za nią Marlena, kiwając głową. – Pamiętam i chyba do tej pory nie wyszłam z szoku, jaki wtedy przeżyłam. Jak się ten nagły wyjazd nazywał?

– Poznań. Ja ich imion za nic nie mogę spamiętać, za to nie wiedzieć czemu, pamiętam miasta, w których mieszkają. Na szczęście Tatiana spotyka się tylko z tymi, którzy są światowi i mieszkają w metropoliach. Mam ułatwione zadanie. Zresztą Poznań też przeżył potworny wstrząs, gdy się



dowiedział, że zostawiła w domu nieletnią córkę, a sama pojechała z nim w góry. Porzucił ją tuż po tym, jak prawda wyszła na jaw. Do tej pory potrafi mi wypomnieć, że to przeze mnie nie ułożyła sobie życia.

– Biedactwo! Strasznie mi jej szkoda – westchnęła Lena. – Swoją drogą to ten Poznań mógł być całkiem przyzwoitym facetem.

– I dlatego absolutnie nie pasował do mojej matki – skwitowała Ada. – A wracając do rzeczy, to skoro wtedy, gdy byłam małą, nie widziała problemu i zostawiła mnie samą w wielkim domu na święta, to czemu teraz miałoby być inaczej? – zapytała i zaraz pomyślała, że to zostawienie w domu i tak nie było takie najgorsze. Potem, gdy była trochę większą dziewczynką, spotkało ją coś o wiele gorszego, ale o tym nigdy nie wspomniała Marlenie.

– No, ale przecież teraz się z tobą umówiła!

– Umówiła, owszem, a zaraz potem wysłała esemesa, że święta w tym roku nieaktualne, i tyle. Z nas dwóch to ja okazałam się głupia, że jej uwierzyłam. – Głos jej się na moment załamał. – Ale tak mnie przepraszała, tak płakała, tak roztaczała wizję wielkiej rodzinnej wigilii. Zanosząc się łkaniem, przysięgała, że zrozumiała, jak bardzo mnie skrzywdziła, i zapewniała, że widzi błędy i chce je naprawić. I wiesz, to by mnie może nawet nie ruszyło, bo w końcu trochę ją znam i wiem, na co ją stać, ale pierwszy raz od lat wyglądała jak normalny człowiek. I to mnie zmyliło. Wydawało mi się, że pozbyła się tych wszystkich masek i że mam przed sobą jej prawdziwą twarz. Wyobrażasz sobie, że siedziała wówczas na wersalce z podwiniętymi nogami, nos jej poczerwieniał i coś w nim bulgotało, a oko kompletnie się rozmazało! – Ada w roztargnieniu obracała w dłoniach pustą filiżankę.

– Nieee! Twoja matka i nieperfekcyjny makijaż! Niemożliwe. Nawet wytrawnego gracza wyprowadziłoby to w pole! – sarknęła Lena. – Na przyszłość trzeba zapamiętać, że Teresa, wybacz, ale ja nie zamierzam o niej

mówić Tatiana, to zimna, wyrachowana...

– Nie kończ. – Adrianna gwałtownie odstawiała filiżankę na stół. – Jednak to moja matka.

– Matka, też coś! W kółko ci powtarzam, że na mój gust musieli cię w szpitalu podmienić. Nie ma innego wytłumaczenia na to, że znalazłaś się w tej rodzinie! A poza tym co to za przerywanie w pół zdania? Nie uciszaj mnie, miałam zamiar powiedzieć, że to zimna, wyrachowana wydra. Choć Bogiem a prawdą należałoby użyć innego określenia. To, co zrobiła, było... Co ja mówię! Nie było, a jest obrzydliwe! I wiesz dlaczego? – Marlena na moment zawiesiła głos i spojrzała jej prosto w oczy. – Bo ona cały czas żeruje na tej małej tęskniącej dziewczynce, którą nosisz w sobie. Wyhodowała ją na własny użytek i doskonale wie, którą strunę trącić i gdzie uderzyć, żeby osiągnąć zamierzony cel. Gdy pan, jak mu tam... Ten ostatni, listopadowy, jak mu było?

– Bydgoszcz.

– No właśnie, pan Bydgoszcz ją zostawił, to się nagle okazało, że olaboga, za pasem grudzień! I pan Bydgoszcz to Grinch we własnej osobie i świąt nie będzie! Więc poleciała do ciebie, wiedząc, że jej nie odmówisz.

– I nie odmówiłam. Ale, jak widzisz, pojawił się Karl *vel* Kraków i wszystko wróciło do normy. A świąt rzeczywiście nie będzie, tyle że nie dla niej, lecz dla mnie. – Na twarzy Ady pojawił się gorzki uśmiech.

– A właśnie, słuchaj, Aduś, skoro mowa o świątach, to przecież mówiłaś, że to miała być wielka rodzinna wigilia... I że Teresa zaprosiła ciotkę i wuja z rodziną i jakieś kuzynki z drugiego końca Polski...

– Okazało się, że to też wymyśliła na poczekaniu. Może nawet i zamierzała do nich zadzwonić, ale odłożyła to na później. Przypuszczam, że już wtedy na horyzoncie pojawił się pan Kraków, tyle że nie wiedziała, co z tego wyniknie. I wołała zostawić sobie furtkę. A teraz, widzisz, jest na

Wyspach Kanaryjskich, a Karl obejrzał moje zdjęcia i w swojej łaskawości może się mną zająć. Jest chirurgiem plastycznym – dodała, odpowiadając na pytające spojrzenie przyjaciółki.

– Ludzki pan – mruknęła Lena i na moment zamilkła.

Widać było, że się nad czymś intensywnie zastanawia. Adrianna, patrząc na nią, mimo woli się uśmiechnęła. Doskonale wiedziała, co za chwilę usłyszy.

– No więc, zrobimy tak...

– Nie. – Ada nie zamierzała dopuścić jej do głosu.

– Ale co nie? Jeszcze nic nie powiedziałam, a ty już odmawiasz?

– Właśnie. Bo wiem, że za chwilę zaproponujesz mi, żebym pojechała z wami na wigilię do twoich rodziców, a w pierwszy dzień do twoich teściów, a w drugi do ciebie – wyrecytowała Ada.

– No i co złego w tym doskonałym, nieskomplikowanym planie? – Marlena uniosła pytająco brwi.

– A to, że to twoi rodzice, twoi teściowie i twój dom. Przepraszam cię, Lenko, ale właśnie do mnie dotarło, że w jednym punkcie moja matka ma absolutnie rację. Jeżeli czegoś w końcu w swoim życiu nie zmienię, to rzeczywiście skończę jako samotna, zgorzkniała stara panna.

– Przecież nikt ci nie zabrania zaczynać nowego życia, ale czy to nowe musi zaczynać się od traumy samotnej Gwiazdki?

– Nie musi. Coś wymyślę – odparła Ada, podnosząc się od stołu i kierując w stronę przedpokoju. – Będę się zbierać, robota czeka. Dostałam nowe zlecenie, mam pewnemu panu urządzić świeżo nabyte mieszkanie w starej kamienicy – dodała, sięgając po kurtkę.

Marlena tylko pokiwała głową. Cóż mogła poradzić, że się o Adę martwiła. Już dawno nie widziała Adrianny tak biednej i nieszczęśliwej. Choć, rzecz jasna, usiłowała nie dać tego po sobie poznać. Nie wszystko

jednak dało się skryć za śmiechem i żartami. Nie mogła nie dostrzec kredowobiałej twarzy, z której wyzierały bezdennie smutne świetlistoszare oczy skrzywdzonego dziecka.

Uh, gdybym teraz dorwała Teresę w swoje ręce!, pomyślała ze złością. A swoją drogą nie rozumiem facetów! Taka pusta kokietka, taka rozkapryszona lalka...

Zajęta swoimi myślami, dopiero po chwili się zorientowała, że Adrianna coś do niej mówi.

– Przepraszam. Powtórzysz? Na chwilę się wyłączyłam.

– A tak się zastanawiam po prostu, co oni wszyscy w niej widzą – mruknęła Adrianna, okręcając szyję długim rudo-zielonym szalikiem.

Lena nawet nie musiała pytać, o kogo jej chodzi. Widać ich myśli biegły tym samym torem.

– Cóż, jeżeli rzecz dotyczyłaby faceta, to powiedziałabym, że pewnie ma czarodziejskiego penisa, ale w tym wypadku...

– Błagam, nie kończ. – Adrianna gwałtownie zamachała rękawiczką, której jeszcze nie zdążyła włożyć. – W ogóle zapomnij, że o to pytałam. O, zobacz, szczęście mi sprzyja. Śnieg przestał sypać – dodała, otwierając drzwi i wyglądając na zewnątrz.

– I w ten oto wysublimowany sposób zmieniłaś temat. Gadka o pogodzie jest zawsze spoko – uśmiechnęła się Marlena. – Ale zanim sobie pojedziesz, i tak muszę ci to powiedzieć. Wiesz, że ja serio mówiłam o świętach? Mój dom jest twoim domem, a moi rodzice traktują cię jak córkę.

– Wiem. Nie martw się, wszystko będzie dobrze – mruknęła Ada i na moment przytuliła się do Marleny, po czym szybkooczyszczyła ze śniegu przednią szybę samochodu i wskoczyła do środka.

Udało jej się zachować pogodny wyraz twarzy aż do chwili, gdy skręciła w wąską, boczną uliczkę. Tam zjechała i zatrzymała się pod czyjąś bramą. Było to jedyne odśnieżone miejsce w zasięgu wzroku.

Cóż, może przez chwilę nikt nie będzie chciał stąd wyjechać ani wjechać, pomyślała i jej wzrok zahaczył o wiszącą na lusterku figurkę świętego Krzysztofa.

– Słuchaj, raczej nie od tego tu jesteś – powiedziała – ale błagam, wyjdź poza swoje kompetencje i ześlij mi dziesięć minut spokoju. A potem znów wrócisz do tego, do czego przywykłeś: opiekowania się podróżnymi, do przepisów bhp i co tam jeszcze leży w twojej gestii. Umowa stoi? – zapytała i w tym samym momencie poczuła, jak dwie wielkie łzy wymykają się spod jej powiek i spływają po policzkach.

Po chwili szlochała już na całego z głową opartą na kierownicy. Wcale nie wierzyła, że kiedykolwiek będzie dobrze. Mogła tak wmawiać Marlenie, żeby ją uspokoić, ale przed sobą samą nie umiała udawać. Czuła się podle. Nienawidziła grudnia i tego, że właśnie rok w rok w tym miesiącu znów stawała się małą, niechcianą, opuszczoną dziewczynką, zagubioną wśród choinkowych ozdób, siwobrodych Mikołajów i irytująco uśmiechniętych ludzi. I dzieci, które czekały z niecierpliwością na cud, który tak naprawdę miały na co dzień, a z którego w ogóle nie zdawały sobie sprawy. Pamiętała, jak któregoś razu postanowiła wziąć sprawy w swoje małe dziecięce rączki. Mikołajom nie ufała. To był czas, kiedy już podejrzewała, że coś z nimi jest nie w porządku, ale jeszcze nie całkiem straciła wiarę w to, że istnieją. Jednak do swojego planu potrzebowała kogoś pewnego, kogoś, kto nie budził wątpliwości. Po namyśle doszła do wniosku, że tylko w jednym miejscu

może znaleźć osobę godną zaufania.

To był niewielki kościółek. Pasował do niej jak ulał, bo sama też była niewielka. Pamiętała, że powoli wchodziła po kamiennych schodkach. Było ślisko, zima tamtego roku była bardzo kapryśna. Siąpiła deszczem po to tylko, by zniecka zalać świat falą mrozu. Oblodzone schody wymuszały ostrożność nawet na bardzo energicznych dziewczynkach. Do kościoła weszła onieśmielona. Zatrzymała się w wejściu i niepewnie rozejrzała wokół. Z boku, w oświetlonej wnęce zobaczyła figurkę małego Jezuska. Siedział sam, samiuteńki, wyciągając małe pulchne rączki przed siebie. Zapatrzyła się na niego tak, że nie zauważyła, iż w głębi kościoła ktoś się poruszył i w jej stronę zmierza jakaś postać. Dopiero gdy poczuła lekkie trącenie w ramię, drgnęła przestraszona. W półmroku ujrzała jedynie sylwetkę, rysy twarzy ginęły w cieniu.

– Przyszłaś obejrzyć szopkę? – zagadnęła ją postać bez twarzy. – W takim razie dobrze trafiłaś... Zaprowadzić cię?

Kiwnęła głową, ale właściwie reakcja z jej strony nie była potrzebna, bo właściciel miłego głosu nie czekał na odpowiedź, tylko powiódł ją za sobą do nży, gdzie w drewnianym żłóbku leżało Dzieciątko, nad którym troskliwie pochylała się Maria. Józef stał nieco z tyłu, w drzwiach imitujących wejście do stajenki. Wyglądał tak, jakby na kogoś czekał, i Ada, patrząc na niego, odnosiła wrażenie, że to ona jest tym wypatrywanym gościem. I z miejsca, mimo że w kościele panował chłód, poczuła, jak w okolicach serduszka robi jej się cieplej. Cudownie było sobie wyobrazić, że to drzwi jej domu się uchylają i widać w nich pełną wyczekiwania i miłości twarz. Po chwili jednak potrząsnęła z powątpiewaniem główką. Dawno zrozumiała, że taka miłość nie jest dla każdego, a w każdym razie nie dla niej. Za nią nikt nie

tęsknił. Zresztą nie była to pora na smutki, przyszła tu wszak w konkretnej sprawie i jeżeli chciała ją załatwić, powinna się była jakoś do tego wziąć. Spojrzała z ukosa na mężczyznę, który przyprowadził ją do szopki i razem z nią spoglądał na Józefa. Jego twarz oświetlało ciepłe żółte światło z nad żłobka.

Chyba może się nadać, pomyślała Ada.

Zanim jednak zdecydowała się wyłuszczyć sprawę, z którą przyszła, musiała jeszcze coś ustalić.

– Takie malutkie dziecko nie powinno być całkiem samo, prawda? – Wskazała rączką na maleńkiego Jezusa i hardo uniosła główkę, patrząc w twarz nieznanego.

W jego oczach zamigotał słabo skrywany niepokój. Przez moment milczał, zastanawiając się, co odrzec. Podskórnie czuł, że odpowiedź, której udzieli, będzie dla małej ważna. Nie wiedział, czemu to wszystko ma służyć, ale z całą pewnością był to test.

– Żadne dziecko nie powinno być samo – przemówił w końcu.

– To czemu jego tam zostawiliście? – Jej głos brzmiał oskarżycielsko.

– Kogo? – Odruchowo rozejrzył się wokół siebie.

– Tego drugiego Jezuska, tego stojącego tuż przy wejściu! Jest samiuteńki, wyciąga do wszystkich rączki! Nikt go nie widzi, a przecież nie jest niewidzialny! Nie możecie go położyć koło tego tutaj? – Pokazała paluszkiem żłobek. – Przecież starczy miejsca!

– Widzisz, on tam stoi od dość dawna, chyba przywykł... – usiłowała nieudolnie wyjaśniać. – I wiesz...

– Tamten jest malutki i bardzo tęskni – przerwała mu gwałtownie, a w jej oczach zalśniły łzy.

I wtedy zrozumiał, że tutaj żadne tłumaczenia nie pomogą. Że tak naprawdę nie chodzi o figurkę maleńkiego chłopca, tylko o coś o wiele



ważniejszego i delikatniejszego.

– Tak, masz rację. – Ostrożnie położył dłoń na ramieniu dziewczynki. – Jest dość miejsca nie tylko dla nich obu, ale dla nas wszystkich. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tamten już nigdy nie czuł się samotny, w porządku?

Mała energicznie pokiwała głową. Przez moment oboje milczeli. Po chwili dziewczynka odchrząknęła i zacisnęła mocno rączki na barierce oddzielającej szopkę od reszty kościoła. Widać było, że zbiera się w sobie.

– A czy ty przypadkiem nie jesteś ksiądz? – zapytała w końcu szeptem.

– Nawet nie przypadkiem, wprawdzie jestem świeżo po święceniach, ale... – Tu przerwał, zdając sobie sprawę, że rozmawia z dzieckiem. Bez sensu było wtajemniczać małą w procedury.

– Czyli taki prawie ksiądz. – Ada zmarszczyła z namysłem brwi.

– No coś ty! Jakie prawie? – zachnął się nieznajomy. – Ksiądz ze mnie pełną gębą!

– Ale nie jesteś stary ani pomarszczony czy łysy – mruknęła wyraźnie nieprzekonana.

– A to! Drobiazg. Mogę cię zapewnić, że na to też przyjdzie czas. – Z trudem opanował podchodzący do gardła chichot.

Widać mała miała konkretne wyobrażenie prawdziwego kaznodziei i jemu brakowało nieco do wymarzonego ideału.

Ada tymczasem głęboko westchnęła i pomyślała, że bardzo żałuje, że nie ma z nią jej sąsiadki pani Dusi, bo ta z pewnością w try miga rozstrzygnęłaby jej wątpliwości.

Zdaniem Ady pani Dusia wiedziała wszystko, a na księżach znała się w szczególności. Czasem podczas wspólnych przechadzek w parku spotykały takiego jednego – starego, łysiego i pomarszczonego. Pani Dusia powiadała o nim, że to ksiądz z prawdziwego zdarzenia.

– Dobry, serdeczny i serce ma na właściwym miejscu – przekonywała z przejęciem.

Ada też go lubiła, bo zawsze dobrotliwie głaskał ją po włosach i wyczarowywał dla niej z odmętów sutanny miętowe landrynki. Wprawdzie dziewczynka nie cierpiała niczego, co zawierało miętę, ale był to jedyny człowiek, pomijając panią Dusię, który po prostu chciał jej sprawić przyjemność. Jadła więc te cukierki bez najmniejszego grymasu.

Tak czy siak, w jej oczach prawdziwy ksiądz przypominał tamtego z parku. Szkopuł w tym, że ten tu był jego zupełnym przeciwieństwem. Nic dziwnego, że miała dylemat. Kto wie, czy taki niewprawiony w księdzowanie ksiądz nadawał się w ogóle do spełnienia poważnej misji.

Jeszcze raz omiotła taksującym wzrokiem stojącego obok niej mężczyznę. W końcu postanowiła zaryzykować.

– No dobrze – wzięła głęboki wdech. – Serce masz tam, gdzie trzeba? – Przypomniała sobie raptem, że to, zdaniem pani Dusi, była jedna z ważniejszych spraw.

– Serce? Z tego, co wiem, jest dokładnie tam, gdzie być powinno – odrzekł z powagą.

– To jedno mamy załatwione. – Ada z aprobatą pokiwała głową. – A czy taki mały ksiądz też ma znajomości? – wypaliła, wprawiając nowo poznanego w konsternację.

– A o jakie znajomości, młoda damo, ci chodzi? – z trudem zamaskował zaskoczenie.

– No, jak to jakie? Te księdzowe, tam, w niebie – wyjaśniła Ada, unosząc palec w górę.

– Ach, takie buty. – Uśmiechnął się i przysiadł na skraju ławki. – No wiesz, staram się zawsze być blisko tego, co tam się dzieje. – Wyjątkowo starannie dobierał słowa.

Za nic nie chciał jej spłoszyć. Zrozumiał, że przyszła tu z jakimś problemem, i z całego serca chciał jej pomóc go rozwiązać. Nie wiedział tylko, jak się do tego zabrać. Rozmowy z dziećmi nie były jego specjalnością. A poza tym ta dziewczuszka wydawała się zupełnie inna niż dzieciaki, z którymi do tej pory miał do czynienia. Na nieszczęście nie potrafił wychwycić, na czym ta różnica polega, a to nie ułatwiało zadania.

– No, to chyba się nadasz – mruknęła. – Pani Dusia mówi, że znajomości to podstawa... Ona jest stara i mądra. Ma siwy kok, wiesz? – Z tonu, jakim to powiedziała, wywnioskował, że takie uczesanie jest dowodem na to, że Dusia, kimkolwiek była, posiadała mądrość całego świata. – To ja to zostawiam, tam jest wszystko napisane, trzeba tylko oddać komu trzeba. – Sięgnęła do kieszeni płaszczyka i wydobyła z niej złożoną na pół kopertę, którą bezceremonialnie wcisnęła mu w rękę. – I pamiętaj o tamtym Jezusku, obiecałeś, że tam nie zostanie – dodała.

Ksiądz na moment zapatrzył się w biały prostokąt na swojej dłoni, usiłując zebrać myśli. Gdy podniósł oczy, małej już nie było.

– Cholera jasna – wyrwało mu się zupełnie nie po księżowsku.

Zerwał się i wybiegł przed kościół. Zdążył tylko zobaczyć jej czerwoną czapeczkę znikającą za rogiem ulicy. I to by było na tyle, bo w tym samym momencie poślizgnął się na oblodzonych stopniach i z całych sił rymnął na cztery litery. Gdy udało mu się pozbierać, po dziewczynce nie było śladu. Przez chwilę rozważał, czyby nie spróbować jej dogonić, ale po krótkim namyśle zrezygnował. I tak zapewne by już jej nie znalazł. Z pociemniałego nieba zaczął prószyć grudniowy śnieg.

**M**oże gdyby pobiegł, udałoby mu się ją dogonić.  
Może zmieniłby tym bieg wydarzeń.

Może to odmieniłoby jego życie.

Albo życie dziewczuszki w czerwonej czapeczce.

Ale nie zrobił tego.

Zwątpił.

**P**rzez moment obracał w dłoniach kopertę, po czym z lekkim wahaniem zajrzał do środka i wyciągnął zwykłą kartkę wyrwaną z zeszytu w linie, zapisaną niewprawnym dziecięcym pismem:

*Kochany panie Bogu, mama mówi, że cię nie ma, a nawet gdybyś był, to i tak nie masz czasu na słuchanie marudnych bachorów. Ale jest już choinka i pani Dusia, podobno ją znasz, bo ona mówi, że zna ciebie, ciekawe, prawda, że jak ktoś kogoś zna, to ten drugi ktoś też zna tego pierwszego... I znowu gadam, to moja największa wada to mówienie. Więc pani Dusia powiedziała mi, żebym napisała list do Świętego Mikołaja, bo to on przecież przynosi prezenty. Tylko że ja nie mogę do niego pisać. On po prostu nie da rady. A to przecież twoje narodzenie, kochany Bogu, to lepiej napisać od razu do ciebie. To tak:*

*Kochany Bogu, proszę cię o trzy rzeczy: żeby ktoś mnie pokochał i żebym tak bardzo się nie bała, gdy jestem sama w nocy, i żeby mamusia mnie przytuliła. Chociaż raz. I jeszcze, tak dodatkowo, gdyby się dało, żeby tatuś żył. Chociaż to podobno za trudne nawet dla ciebie. Twoja Ada.*

Ksiądz stał jak skamieniały. Całym sobą czuł, że skrewił na całej linii. W ciągu kilku minut zrozumiał wszystko. Tak naprawdę to nie chodziło o Jezuska z oświetlonej wnęki tuż przy wejściu. Chodziło o nią. To ona była samotna i tęskniła. To ona czuła się niewidzialna. A on pozwolił jej odejść. Nie wiedział nawet, gdzie jej szukać.

Nie sprawdził się.

Zawiódł.

Potem każdego dnia usilnie wypatrywał, czy mała nie zjawi się w kościele. Mogła przecież chcieć odwiedzić Jezuska przy wejściu albo choć zajrzeć do szopki. Nie pojawiła się jednak już nigdy. Został po niej tylko list. I wielki, wielki smutek, który ilekroć przywoływał ją w pamięci, opanowywał całe jego serce, które, jak się okazało, rzeczywiście miał we właściwym miejscu. I pewnie dlatego gdy cierpiał – cierpiał każdą cząsteczką ciała, a gdy się radował, miał wrażenie, że cały świat śpiewa razem z nim.

Oczywiście Adrianna nie miała pojęcia, że nie tylko ona pamięta tamten zimowy, mroźny dzień i wizytę w kościele. Nie wiedziała też, ile zgryzoty przysporzyła młodziutkiemu księdzu.

Natomiast z całą pewnością wiedziała, że mimo iż minęło wiele lat, tamta samotna dziewczynka wciąż istnieje, nie rozpułnęła się w powietrzu. Tkwiła w niej uparcie, w każdą zimę stawała przed nią ubrana w śliczny czerwony płaszczyk podbity białym futerkiem i czerwoną czapkę z białym pomponem. Matka nigdy nie pozwoliłaby na to, by ktokolwiek mówił, że nie dba o córkę. I cały czas ten mały uparciuch z nadzieją czekał na cud, który – o tym Ada doskonale wiedziała – nigdy nie miał się ziścić.

Pociągnęła nosem i wierzchem dłoni wytarła mokre od łez policzki.

Koniec mazania, pomyślała, zerkając w stronę figurki świętego Krzysztofa. Dość! Już nigdy nie będę płakać przez matkę! Nigdy! Jadę do domu, a potem... Chyba muszę się napić...

– To mi na pewno dobrze zrobi na dorosłość – mruknęła i wydmuchała nos w koniec szalika. – Przecież małe dziewczynki nie piją. A już na pewno nie piją na mrozie, na ławce w parku.

I to jest plan – pokiwała głową, jednocześnie uruchamiając samochód. Będę grudniową niepokorną!

Taa, i z twoim szczęściem na pewno zamarzniesz albo w najlepszym razie dostaniesz zapalenia płuc, szepnęło jej coś w tyle głowy.

Postanowiła jednak zignorować ten głos. Ostatecznie niepokorni z rozsądkiem nie mają zbytnio po drodze.

Gdy wyjeżdżała na drogę, śnieg znów zaczął prószyć, a w radiu

powiedzieli, że pada już w całym kraju. Grudniowy śnieg. Dla jednych magia, dla innych przekleństwo.



W tym roku Stefan postanowił udawać, że w ogóle nie dostrzega padającego śniegu. Mógł sobie na to pozwolić, bo przecież tak naprawdę jego życie skończyło się czternaście miesięcy, trzy dni i – zerknął na zegarek – cztery godziny temu. A skoro tak, to mógł spokojnie ignorować wszelkie zjawiska pogodowe. Tak samo zresztą jak wszystko i wszystkich. Codziennie się budził i z nadzieją spoglądał na pustą połowę łóżka po prawej stronie. I codziennie przeżywał podwójne rozczarowanie. Pierwsze, bo jednak się okazywało, że ten cały koszmar nie był tylko snem, lecz rzeczywistością, drugie, bo jego modlitwy znów nie zostały wysłuchane.

Codziennie też prowadził swą prywatną rozgrywkę z Panem Bogiem. Właśnie nadeszła pora na pierwszą rundę. Wsunął gołe stopy w rozdeptane bambosze i poczłapał do okna, po czym otworzył je na całą szerokość, zrzucając przy tym poduszkę białego puchu z parapetu.

– Jak można być takim skurczybykiem?! – zawołał, patrząc w niebo. – Cholerny egoista! – dodał i z rozmachem zamknął okno, ignorując zdumione spojrzenia przechodzących chodnikiem dwóch podfruwajek. – Co one wiedzą o życiu – mruknął do siebie. – Ledwo to to od ziemi odrosło, ma może ze czternaście lat, to się i dziwi wszystkiemu! – Z zadowoleniem spostrzegł, że wstrząsnął nim dreszcz.

Może w końcu to zimno na coś się przyda, pomyślał. Takie zapalenie płuc na przykład. Byłoby jak znalazł. Ponoć w moim wieku już się z tego nie wychodzi.

Ale nie, oczywiście nie ma co liczyć na taki łut szczęścia. W końcu jego pokolenie nie tak łatwo było wykończyć. Ci, co przetrwali wojnę i dożyli sędziwego wieku, zazwyczaj na jego prywatne nieszczęście cieszyli się

znakomitym zdrowiem i niebywałą odpornością.

A przecież postanowił, że skoro Helenka odeszła, on też umrze. Całe życie był uparty i stawiał na swoim, optymistycznie więc założył, że to też uda mu się osiągnąć. Niestety, tym razem los postanowił zagrać mu na nosie. A Bóg irytująco nie wysłuchiwał jego próśb. Toteż co rano wykrzykiwał Mu, co o Nim sądzi, po to tylko, by wieczorem pokornie przeproszać i prosić o łaskę nieobudzenia się następnego dnia na tym ziemskim łożu padole.

Marzył, by po otworzeniu oczu ujrzeć po drugiej stronie łóżka śpiącą Helę. Jej siwe włosy, splecione w staranny warkocz. Tak, nawet nie musieliby młodnieć, co tam. Byle tylko móc pogłodzić ją po głowie, spojrzeć w dobre brązowe oczy... Na samą myśl, że już nigdy, przenigdy nie będzie mógł jej przytulić, czuł, jak wszystko w środku rozrywa się w nim na milion kawałków. Odkąd Helenka odeszła, „nigdy” nabrało dlań innego znaczenia. Czasami przymykał oczy i wtedy mu się zdawało, że znów jest blisko, że słyszy, jak krząta się po kuchni, nucąc pod nosem:

*Kiedy będziesz zakochany tak prawdziwie, kiedyś wiosną,*

*To uwierzysz, że naprawdę słowik śpiewa.*

*Że świat w słońcu jest skąpany, że piękniejsze kwiaty*

*Że inaczej, że radośniej szumią drzewa.*

*A jak jeszcze tak się zdarzy, że akurat będzie maj,*

*I że będą bzy pachniały, sam do rymu dodasz – „raj!”*

*Gdy ci szepnie ukochana jedno małe słówko – „ty”,*

*To zobaczysz, że to świetny rym do – „łzy” \*.*

O, jakżeż ona śpiewała! Ordonka mogłaby się od niej sporo nauczyć. Stefan tęsknie westchnął.

Czasami naprawdę ją widywał. Trochę jakby rozmytą, niewyraźną, ale Helę, z całą pewnością Helę. Niekiedy, gdy wychodził i szedł „ich” trasą, odnosił wrażenie, że czuje, jak ściska go za rękę. Nigdy nikomu się nie przyznał do tych Helinych wizyt. Doskonale zdawał sobie sprawę, że musi to pozostać jego słodką tajemnicą. Gdyby tylko o tym wspomniał, najbliżsi natychmiast posądziliby go o utratę zmysłów. A doprawdy nie chciał przysparzać im dodatkowych zmartwień. Tym bardziej że naprawdę się o niego troszczyli. Córka zaglądała do niego co dnia, syn, który mieszkał nieco dalej, wpadał co kilka dni. I jedno, i drugie chciało po śmierci Heli zabrać go do siebie.

– Choć na trochę, tato – przekonywała Ewelina. – Jak nie do mnie, to do Andrzeja. Żebyś doszedł do siebie.

Odmówił. Nie mógł im tego powiedzieć wprost, ale przecież było wiadomo, że nigdy już do siebie nie dojdzie. Jak miał poukładać sobie dzień bez tej jednej jedynej osoby, z którą spędził ostatnie sześćdziesiąt lat? Koło której się budził, zasypiał i wstawał? Tylko dla niej? Wielka miłość nie znosi rozłąki. Jak przetrwać samotne tygodnie, miesiące, a może i lata? A przecież od dłuższego czasu, jeszcze jak Hela żyła, zaklinał los, by to on odszedł pierwszy. Widać jednak ktoś, kto rządził tym ziemskim bałaganem, postanowił inaczej. I teraz utknął tutaj, niczym koń, który przez całe życie ciągnął wóz na spółkę z drugim, a teraz pozostawiony sam sobie, nie potrafi się uporać z ładunkiem wspomnień i tęsknot. A czyż nie dobija się koni, gdy ciągnąć już nie mogą? W tym wypadku byłby to zaiste prawdziwy akt miłosierdzia.

Stefan, myśląc to, skrzywił usta i otworzył jedno skrzydło wielkiej przedwojennej szafy. Była to jego strona, wypełniona starannie wyprasowanymi koszulami zapinanymi na spinki, krawatami, które Hela tak pięknie umiała wiązać...

Teraz, nawet gdybym chciał, nie mógłbym ich nosić, bo nie umiałbym tego ustrojstwa zawiązać, rozszalał się niespodzianie.

I pewnie poszedłby w tym samoprzygnębieniu jeszcze dalej, gdyby nie dzwonek u drzwi.

– Któż u licha? – mruknął do siebie, cichutko skradając się do przedpokoju i zerkając przez wizjer.

Na klatce panował półmrok, ale i tak w sylwetce stojącej pod drzwiami rozpoznał swoje aktualne nemezis, panią Stasię.

Stanisława była zaskakująco żywotną, zaskakująco upartą i zaskakująco przyjemnie zażywną starszą panią. Nasłaną na niego przez jego własną, niewdzięczną córkę. Miała też poprzedniczki. Pani Rozalia, która mówiąc, śmiesznie poruszała końcówką nosa. Gdy pierwszy raz to ujrzał, nie mógł oderwać oczu od tego przedziwnego zjawiska, a biedna Rozalka, która nieco niedowidziała, trwała w przekonaniu, że tak pilnie wpatruje się w jej oczy... Po niej nastąpiła pani Wiesia, chudziutka, cichutka i spłoszona, z ustami ściągniętymi w ryjek. Przypominała mu zahukaną myszkę. Potem kolejno przewinęły się Kasia, Waleria i Danutka. Ta ostatnia upierała się niezmiennie, że umie grać na skrzypcach. Stefan do tej pory nie mógł wyjść z podziwu, że nikt przez tyle lat nie powiedział biedaczce prawdy. I współczuł jej świętej pamięci mężowi, któremu ponoć nawet przy łożu śmierci dawała koncerty. Odkąd się o tym dowiedział, nie mógł się pozbyć wrażenia, że to rzępolenie przyspieszyło zgon małżonka. Godny podziwu męczennik. I wszystkie te panie co do jednej sprowadzane były przez jego córkę. Tajemnicą pozostawało, skąd ona je w ogóle wytrząskiwała. Stefan zaczął się nawet zastanawiać, czy aby przypadkiem nie ma gdzieś wypożyczalni wdów i bardzo starych panien do wzięcia. Ostatnim kukułczym jajem podrzuconym przez Ewelinę była właśnie pani Stasia, która niczym nie dawała się zniechęcić.

O, niedoczekanie, żebym od ranka świtka musiał się z nią użerać, pomyślał Stefan, odchodząc na palcach od drzwi. Doprawdy chyba nadszedł odpowiedni moment, żeby poważnie porozmawiać z Ewelina, postanowił, usiłując ignorować przenikliwie brzmiący dzwonek.

W końcu pod drzwiami coś zachrobotać, zaszurało i zaległa cisza. Widać tym razem mu się upiekło, Stanisława odpuściła. Jednak już po chwili się okazało, że jego zadowolenie było przedwczesne, bo do drzwi znów gwałtownie załomotano.

– A jednak! A to piekielnica jedna! – mruknął i aż podskoczył, słysząc drugą falę łomotów. – Ale taka determinacja ma w sobie coś nienormalnego. A wydawała się taka spokojna i pogodna! – Znów zakradł się do drzwi i wyjrzał przez wizjer.

Tym razem na klatce zapalono światło, wszystko więc widział jak na dłoni. Stanisławy ani śladu. Zamiast niej przed drzwiami stał jego stary kumpel Mateusz, który właśnie unosił pięści i szykował się do kolejnego ataku na Bogu ducha winne drzwi.

Stefan na moment zamarł przy wizjerze. Wtem coś w okolicach serca mocno go zakłuło, a ręka sama wyciągnęła się do klamki. Nie pozwolił jednak na tę chwilę słabości. Zabrał rękę, schował ją za plecami na wszelki wypadek i wycofał się w głąb mieszkania. Gdyby został odrobinę dłużej, zobaczyłby, jak jego przyjaciel z rezygnacją zwiesza głowę i kuli ramiona. I pewnie nie zniósłby tego widoku i wpuścił go do środka. Ale nie poczekał, nie widział i nie zareagował.

Pomyślał za to, że naprawdę wszyscy mogliby uszanować jego wolę i dać mu święty spokój.

I nie przyszło mu do głowy, że tym razem rzecz w ogóle nie ma nic wspólnego z nim. Zatopiony w swoim smutku, pogrążony w bólu, zapomniał, że inni też mają swoje kłopoty.

---

\* Piosenka przedwojenna, tekst Bronisława Horowicza.

Gdy na klatce w końcu ucichły wszelkie odgłosy, Stefan odetchnął z ulgą. Ubrał się w niebieską koszulę, którą nosił już od kilku dni, i sięgnął po czerstwą bułkę. Z niechęcią zerknął przez okno. Śnieg nadal sypał. W sumie nic w tym dziwnego. W końcu to grudzień. Jedyńy miesiąc w roku, którego nawet pryncypialnemu starszemu panu nie udawało się skutecznie ignorować.

**B**yć niepokorną wcale nie było takie proste.

– Brak doświadczenia, ot co – skwitowała pod nosem i skołowana rozejrzała się po obszernym dziale alkoholowym.

Nie miała pojęcia, co się powinno pić, siedząc na parkowej ławce. A kto wie, może w tej dziedzinie też obowiązują jakieś trendy? Wchodząc do sklepu – w celach poznawczych – zerknęła nawet na stojący przed nim koloryt lokalny, który dzielnie dźmierzył w zmarzniętych dłoniach butelczyny, doszła jednak do wniosku, że na to jeszcze nie czas. Wino marki wino jakoś do niej nie przemawiało.

A właściwie, jakie to ma znaczenie, w końcu i tak będzie ciemno, pomyślała, wzruszając ramionami, i rozsądnie sięgnęła po swój ulubiony trunek. Ostatecznie nieważne co, byleby sponiewierało, uśmiechnęła się pod nosem.

A na zewnątrz śnieg padał i padał, i wcale nie zamierzał przestać.



**P**przed wyjściem starannie spakowała plecak. Koc piknikowy, gruba chusta, plastikowe kubeczki, butelka i korkociąg.

To powinno wystarczyć, pomyślała, naciągając na głowę czapkę uszatkę.

Po namyśle wsunęła do kieszeni komórkę. Gdy zamykała drzwi, nie miała zielonego pojęcia, że właśnie za moment wydarzy się coś, co diametralnie odmieni jej życie. Czasami doprawdy niewiele do tego trzeba. Ot, wino, korkociąg, koc i odrobina determinacji. No i szczypta szczęścia. Niby mało, a jednocześnie, dla niektórych, tak wiele.

\* \* \*

Park otulony białą pierzynką wyglądał bajkowo. Wszystkie ostre kąty zaokrągliły się i złagodniały. Chwycił mróz i śnieg lśnił magicznie w ciepłym brzoskwiowym świetle latarni. Obok ławki, którą wybrała Adrianna, stał wielki bałwan z marchewkowym nosem i szyszkowym uśmiechem. Ktoś, kto go lepił, dbał o szczegóły, bałwania szyja okręcona była pomarańczowym szalikiem, a czubek głowy okrywała mała czapeczka z zabawnie sterczącym pomponem.

Ada zgarnęła wierzchem dłoni śnieg z ławki, rozścieliła na niej złożony podwójnie koc piknikowy i usiadła. Bezwiednie zapatrzyła się na zadowolonego ze swego krótkiego życia bałwana. Im dłużej się mu przyglądała, tym więcej szczegółów w nim widziała. Guziki zrobione z kolorowych kamyczków, czarne węgielki oczu i... A co to? Przechyliła się, by dokładniej widzieć. Nie, nie wydawało jej się. Na okazałym bałwanim brzuchu widniały czyjeś odcisnięte dłonie. Jedna duża, druga malutka.

Stykały się palcami, nawet tutaj połączone, zapewniające o wzajemnym oddaniu i miłości. Poczła w okolicach serca bolesny ucisk. Przed oczami przemknął jej dawno zepchnięty na dno pamięci obraz.

Była to pierwsza zima po śmierci taty. Dotychczas to zawsze on przynosił do domu choinkę i ustawiał ją w przyniesionym z piwnicy stojaku. Tak przygotowana czekała do wieczora. Potem na podłodze zjawiało się wielkie pudło z bombkami, łańcuchami, zabaweczkami ze słomy i bibuły. Pierwszą zabawkę zawieszała na jednej z najwyższych gałęzi. Tatuś brał ją na ręce i podnosił wysoko, wysoko. Dobrze jej było w jego silnych, bezpiecznych ramionach. Jego broda śmiesznie ją laskotała, gdy mocno przytulał twarz do jej policzka. Pachniał tak po tatusiowemu, tytoniem i wodą kolońską, której używał co rano. Zdaniem Ady to był najpiękniejszy zapach, jaki istniał na świecie. Aromat domu, bezpieczeństwa i miłości. Inne dzieci opowiadały o zapachu ciasta i pierniczków. A jej święta pachniały właśnie tytoniem, męską wodą kolońską i żywą choinką. Nie przeszkadzało jej, że nikt nie piekł ciast ani nie lepił pierogów. Tatuś zawsze przynosił to wszystko gotowe. Zamówione u jakiejś tajemniczej pani Ewy, która gotowała jak anioł.

– Mam maślane łapy do kuchni, córuś – uśmiechał się, wypakowując smakowite kąski. – Co nie znaczy, że czegoś nam zabraknie. Nie można umieć wszystkiego, ja tam nie umiem piec ani gotować, za to potrafię cię kochać jak nikt inny na świecie – dodawał.

I była to prawda. Kochać potrafił. Potem myślała, że być może zbyt mocno, może już tak jest, że ktoś, kto tak bezwzględnie kocha, nie może żyć zbyt długo...

Ada przez długi czas nie mogła uwierzyć, że odszedł na zawsze. Że już nigdy nie wróci. Uparcie wyczekiwała z nosem przyklejonym do szyby, wyglądała za drzwi rano z nadzieją, że będzie tam na nią czekał, zaglądała do małej piekarenki, gdzie chodzili po chleb. Rzadko, bo po zniknięciu tatusia

zabrała ją do siebie mamusia i mieszkały teraz obie w zupełnie innej części miasta.

Mamusia też nie gotowała ani nie piekła. I na pewno było coś, co potrafiła najlepiej na świecie, ale z całą pewnością nie było to kochanie córeczki.

Cóż, nie można umieć wszystkiego, przypominała sobie słowa tatusia, gdy samotnie leżąc w łóżku, kuliła się pod kołdrą i połykała łyzy strachu i tęsknoty. Nocy – ciemnych, złowrogich, cichych i ciągnących się w nieskończoność – bała się najbardziej. Mamusia z miejsca jej zapowiedziała, że nie zamierza jej niańczyć.

– Nie mogę pozwolić, żebyś trafiła do domu dziecka, o, co to, to nie! Co by ludzie powiedzieli! I nie licz, że będę się nad tobą trzęsła – zapowiedziała jej na wstępie. – Duża jesteś! Masz w końcu prawie siedem lat. Dzieci w twoim wieku dawniej pracowały w kopalniach! Masz tu klucze, jak mnie nie będzie, możesz wchodzić i wychodzić. Może się zdarzyć, że nie wrócę czasem na noc... Niestety, na razie nie będę mogła wyjeżdżać na dłużej. – Tu spojrzała na nią z niechęcią. – A, i trzeba się zająć twoją garderobą! Nie możesz dalej chodzić w tych łąkach! Twój ojciec w ogóle nie miał gustu. Raz jeden przejawiał dobry smak: gdy zakochał się we mnie. – Z zadowoleniem poprawiła włosy. – Ale to był ten wyjątek, który potwierdza regułę. Niestety, ty nic po mnie nie odziedziczyłaś. – Obrzuciła dziewczynkę krytycznym spojrzeniem. – Nie jesteś ani ładna, ani brzydka specjalnie też nie, ale to wcale nie lepiej. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to przeciętność, a ty, moja mała, jesteś najprzeciętniejsza z przeciętnych!

Ada spuściła głowę. Poczowała się gorzej niż brzydka, zupełnie nieistotna. I dodatkowo czuła, że zawiodła mamusię. Nie wiedziała dokładnie, czym zawiniła, ale skoro mama była niezadowolona, to jasne, że musiała coś złego zrobić.

I tak było nieustannie. Stale coś robiła nie tak, stale źle. A przecież starała się ze wszystkich sił! Najgorzej było na początku, gdy poszła do zerówki. Nie zawsze budziła się na czas, a mamusia powiedziała jej, że jeżeli nie będzie chodziła do szkoły, to przyjdą po nią złe panie i zabiorą ją do obcego domu.

– A tam nie będzie ci tak miło jak ze mną. – Pogroziła palcem i zmarszczyła cienkie brwi, tak że Adzie skóra na plecach ścierpła.

Dziewczynka nie wyobrażała sobie, że gdzieś mogłoby być jeszcze gorzej niż u mamusi. Za nic nie chciała tam trafić!

Piekło rozpętało się tuż przed Bożym Narodzeniem. Ada dopytywała mamę, kiedy kupią choinkę. Kiedy ją ubiorą. Jak Święty Mikołaj do niej trafi, bo przecież zawsze przychodził do tatusia. To był jeszcze ten czas, gdy święcie w niego wierzyła. Mama opędzała się od niej jak od natrętnego komara.

– Boże, na co mi przyszło! – jęczała. – Choinka! I to całe badziewie dookoła! Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że ja nie mam w zwyczaju bawić się w święta! Inni to za mnie odwalają! Nigdy tym sobie głowy nie zaprzętałam i zaprzętać nie zamierzam!

Ada patrzyła na nią w osłupieniu. Nie wiedziała, ani kim są tajemniczy „inni”, ani o czym mamusia dokładnie mówi, jedno tylko kołatało jej w głowie: świąt, jakie dotąd znała, nie będzie.

Martwiła się tym przeokropnie. Przemierzała ulice miasta i spoglądała na panów dźwigających na ramieniu drzewka, na dzieci, które radośnie podskakiwały obok rodziców targających ciężkie torby, na wystawy, na których migotały światelka, a bombki wypinały dumnie okrągłe, kolorowe brzuszki.

Pewnego popołudnia ubrała się ciepło i starannie zamknęła drzwi na wszystkie zamki, po czym popędziła białymi zaśnieżonymi ulicami

w kierunku dawnego domu. Stała przed zamkniętą na głucho furtką i zapatrzyła się w ciemne okna. Trudno było uwierzyć, że rok temu o tej porze dom był rzęście oświetlony, w salonie stała choinka, a mała dziewczynka śpiewała jej codziennie do snu. Żeby nie było jej smutno i żeby nie tęskniła za lasem. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że to ona, Ada, była tą dziewczynką.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. W oczach pojawiły się łzy. Tak dawno nie płakała. Mamusia złościła się, widząc jej zapuchnięte oczy.

– Wyglądasz jeszcze gorzej niż zwykle – burczała. – Płaczą tylko słabeusze!

Teraz jednak za nic nie mogła się opanować i poczuła, że słone krople skapują jej na podbródek. Zagryzła wargi, z całych sił usiłując powstrzymać łzy. Skulona przykucnęła pod furtką i drżącym głosem zanuciła:

*Bardzo lubię święta w zimie, gdy wśród sosen leży śnieg,  
Lubię siedzieć przy kominie i wygrzewać się,  
Lubię kulig z dzwoneczkami, gdy koników para gna,  
W nocy świecić pochodniami i przemierzać las.*

*Choineczko moja bardzo cieszysz mnie  
Kiedy jesteś ze mną, tobie śpiewać chcę (...)\**

– Tatusiu, proszę, wróć... – wyszeptała, wznosząc oczy do otulonego gęstymi chmurami nieba.

A potem z trudem się pozbierała i ruszyła w drogę powrotną. Mała skulona figurka, z zupełnie niedzięciwym smutkiem rozproszonym na zaczerwienionej od mrozu buzi. Zanim weszła do bloku, w którym mieszkała, przystanęła tam, gdzie w ciągu dnia sprzedawano choinki. Teraz na placu leżały już tylko pourywane gałązki. Pachniało igliwem. Ada

westchnęła i po namyśle schyliła się i podniosła dwie porzucone gałązki świerkowe. Przytknęła ostrożnie do nich twarz i z lubością wciągnęła powietrze. Nie miała pieniędzy na choinkę. Nie miała jej jak przynieść. Nie miała niczego, czym mogłaby ją przystroić. Zawsze jednak mogła zabrać choć to, co zostało ze świątecznych drzewek.

Dom jak zwykle świecił pustkami. Ada zdjęła botki, kurtkę i poszła do swojego pokoju. Ułożyła gałązki na biurku i wyciągnęła z komódki kolorowy papier i bibułę. Po chwili w skupieniu wycinała kolorowe paseczki, w końcu łańcuch umiała zrobić, a to już coś. Następnego dnia w zerówce mieli przygotowywać papierowe zabawki – to będzie jak znalazł.

Na całe drzewko by nie starczyło, ale na dwie gałązki będzie akurat – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

Tej nocy po raz pierwszy się nie bała. W pokoju pachniało lasem i usypiając, miała wrażenie, że tata siedzi tuż obok niej i uspokajająco gładzi ją po policzku. Przez moment znów poczuła się najukochańszym dzieckiem.

\* \* \*

Następnego dnia na zajęciach wszystkie dzieci opowiadały o świątach. Gdy przyszła kolej Ady, dziewczynka przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Ich pani, młoda łagodna blondynka, spoglądając na nią przyjaźnie, cierpliwie czekała. Od jakiegoś czasu przyglądała się Adzie uważnie. Dziwiło ją, że po dziewczynkę nigdy nikt nie przychodzi. Wprawdzie na początku roku jej mama była u niej i uprzedzała, że tak się może zdarzyć.

– Ale, pani Agatko, mieszkamy tuż obok szkoły. Ani jednej ulicy do przejścia, pół minuty drogi – przekonywała. – Ada jest odpowiedzialna, a ja kończę pracę zawsze po szesnastej... Sama pani rozumie.

Nauczycielka z jednej strony rozumiała, z drugiej jednak czuła, że coś tutaj nie gra. Po małą ani razu nikt nie przyszedł. Często się spóźniała.

Ubranka miała śliczne, owszem, jak z żurnala, ale nierzadko zupełnie do siebie niedopasowane. Tak jakby dobierano je przypadkowo. Raz nawet, w listopadzie, Ada przyszła w sandałkach. Tłumaczyła, że jej jesienne buciki poprzedniego dnia przemokły.

– Ale sandały? – zapytała pani z niedowierzaniem.

– Ze wszystkich innych wyrosłam – tłumaczyła Ada.

– I mama cię tak wypuściła? – dociekała nieustępliwie pani.

– Mamy nie było – dziewczynka spuściła głowę, usiłując ukryć przestraszony wzrok.

Wtedy pani Agatka pomyślała, że pewnie mama wyszła do pracy, a małej coś strzeliło do głowy i sama postanowiła włożyć te nieszczęsne letnie buty. A teraz zapewne ogarnął ją strach na myśl o burze, jaką by dostała, gdyby się mama o tym dowiedziała. Właściwie powinna ją była o tym powiadomić, zrobiło jej się jednak żal dziewczynki. Zmyła jej więc tylko głowę, otrzymała solenną obietnicę poprawy i na tym sprawa się zakończyła.

Ale coś jednak w tym dziecku nadal nie dawało pani Agacie spokoju. Teraz też zauważyła, że dziewczynka nie wie, co ma powiedzieć, przysiadła więc przed nią na małym niewygodnym krzeselku i spojrzała jej w oczy.

– Czekasz na Mikołaja? – zagadnęła, żeby trochę ją ośmielić.

Jeszcze nie spotkała dziecka, które na takie pytanie nie odpowiedziałoby twierdząco.

– Nie, w tym roku Mikołaj do mnie nie przyjdzie – głos Ady brzmiał przejmująco poważnie i smutno.

– Ale, ale... Ale jak to? – wyjąkała skonsternowana nauczycielka. – Nie byłaś grzeczna? – odchrząknęła, biorąc się w garść.

– Staralam się, ale gdzie Mikołaj położy prezenty, skoro nie mamy choinki? – Dziewczynka odwróciła wzrok i zapatrzyła się w okno.

A potem zaczęła mówić. O tym, jak tatuś żył, o strojeniu drzewka,



o śpiewaniu kolęd.

– Ale potem tatuś przeprowadził się do nieba, a ja do mamusi. A mamusia nie urządza świąt ani nie ma zamiaru zajmować się rozpuszczonym bachorem – zakończyła smutno.

Panią Agatę zatkało, przez moment z trudem przełykała ślinę. Gardło miała zaciśnięte tak, że nie mogła nic powiedzieć. Zresztą nie była odosobniona. Wszystkie dzieci stłoczone wokół Ady patrzyły na nią w osłupieniu. Takiej ciszy wśród zerówkowiczów Agata nie słyszała nigdy przedtem ani nigdy potem.

Jeszcze tego samego dnia udała się razem z panią pedagog do domu Ady. Dziewczynka była sama. Ze strachem w oczach oznajmiła, że mama chyba wróci wieczorem.

Słyszając to symptomatyczne „chyba”, pani pedagog i Agata spojrzwały po sobie znacząco. Punktualnie o ósmej były z powrotem. O dziwo, matka Ady tym razem wyjątkowo zjawiła się w domu wcześniej niż zwykle.

Jak przebiegała jej rozmowa z paniami, Ada się nigdy nie dowiedziała. Za to gdy wyszły, rozpętała się burza. Dziewczynka nigdy w życiu nie widziała matki tak wściekłej.

– Głupi, głupi szczył! – wrzeszczała na nią. – Co ty sobie wyobrażasz! Wiesz, co się teraz będzie działo! Cała szkoła zatrząsie się od plotek o tym, jaką to jestem potworną matką! Ale wiedz, że nie tylko mnie załatwiłaś! Siebie również! Będę musiała wynająć kogoś, kto cię będzie pilnował. – Oczy matki miały błyskawice. – Inaczej już możesz się pakować i szykować do zamieszkania w najbliższym domu dziecka! Co prawda, nie mogę na to pozwolić, bo te wszystkie mamuśki zeżrą mnie żywcem! Zwłaszcza po tym, jakich bredni dziś naopowiadałaś! No, co się tak na mnie gapisz, co? – wrzasnęła i potrząsnęła ją za ramiona.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Matka

znieruchomiła. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Widać dotarło do niej, że obie panie mogły po coś wrócić i usłyszeć, co się dzieje w mieszkaniu.

– Siedź cicho – syknęła w kierunku dziewczynki i poszła otworzyć drzwi.

Na klatce stała starsza pani otulona wełnianą chustą i uczesana w staranny kok. Ada kilka razy już ją widziała. Staruszka mieszkała piętro niżej.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale niechcący usłyszałam, o co chodzi.

– Uśmiechnęła się i oparła na trzymanej w ręku lasce. – Jeżeli to pani, pani Tereso, w czymś pomoże, to ja chętnie zaopiekuję się dziewczynką. Przecież pani wie, że po śmierci męża mam sporo wolnego czasu.

– Taaa – mruknęła mało lotnie matka Ady.

Szczerze mówiąc, nawet się nie zorientowała, że mąż tej starej z dołu nie żyje. Nie było jednak co grymasić, propozycja przychodziła w najlepszym możliwym momencie. Te dwie flądry ze szkoły już i tak zapowiedziały, że będą uważnie śledziły, co się dzieje u niej w domu. Na samą myśl o tym, że i tak będzie musiała zmienić swój tryb życia, trzęsła się z furii. Choć z opiekunką ta zmiana mogła ją mniej dotknąć. A skoro ta tu sama przyszła...

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się przymilnie. – Mogłaby pani zaopiekować się Adeńką? Ja tak ogólnie rzadko krzyczę, to po prostu wynik wzburzenia i słabych nerwów – tłumaczyła się niezdarnie. – Sama pani wie, jakie są teraz dzieci. Ada naopowiadała bzdur w szkole i trzeba to będzie jakoś wyjaśnić. A tak się złożyło, że dziś jestem umówiona z... – przerwała, usiłując zmyślić naprędce jakąś wiarygodną historyjkę – ... z prezesem. Duży projekt, praca – dokończyła w natchnieniu.

Właściwie, jakby się tak dobrze zastanowić, to nawet nie skłamała. Rzeczywiście była umówiona z prezesem. Przynajmniej tak jej o sobie mówił

na ostatnim spotkaniu. Oczywiście zamierzała to zweryfikować, bo przecież miała swoje wymagania, na byle kogo nie traciłaby czasu. Ale jeżeli rzeczywiście byłby tym, za kogo się podawał, to można by uznać, że właśnie zaczynała uczestniczyć w czymś wielkim. Usidlić prezesa na pewno nie będzie łatwo. Zwłaszcza że ten konkretny miał żonę. To jej jednak nie niepokoiło. Najważniejsze, że był uczciwy i się do tego przyznawał. Jak przyjdzie odpowiedni czas, żonę się wyeliminuje.

– To jak? Mogłaby pani zostać z nią od razu? – Usiłowała nadać twarzy łagodny i pełen miłości wyraz.

– Czemu nie. Z przyjemnością z nią posiedzę. – Starsza pani pokiwała głową.

Po chwili zostały same. Ada miała nigdy nie zapomnieć pierwszych słów, które od niej usłyszała:

– Mówi się, że matkę ma się tylko jedną – mruknęła sąsiadka, gdy za Teresą zamknęły się drzwi. – Ale tak sobie myślę, że w niektórych przypadkach ta jedna to nawet za wiele. – Pokiwała głową i zabrała Adę do siebie na dół.

I tak oto w życiu dziewczynki pojawił się prawdziwy anioł. Miał siwy kok, pomarszczoną twarz i złote serce. Od tamtego momentu Ada święcie wierzyła, że to tatuś zesłał jej z nieba panią Dusię.

---

\* Piosenka zespołu Fasolki, tekst Piotra Marca.

Adriannę do rzeczywistości przywołało przenikliwe zimno. Zamrugła kilka razy, potrząsnęła głową i w roztargnieniu jeszcze raz spojrzała na otulonego szalikiem bałwana.

– To ci dopiero ucieczka od przeszłości – prychnęła zirytowana. – Niepokorna, też mi coś! Widmo matki będzie mnie prześladowało do końca życia! Nigdy się od niej nie uwolnię!

Swoją drogą to Teresa – Tatiana, jak kazała na siebie mówić przy swoich absztyfikantach – miała niebywale szczęście. Teraz takie rzeczy by nie przeszły. Żadna szkoła by się nie zgodziła na samodzielne powroty siedmioletniego bąbla. Wtedy jednak było inaczej.

Inny świat, ale ludzie tacy sami, pomyślała z westchnieniem. A matka, jak na siebie, i tak wykazała się ogromną wrażliwością. Przynajmniej przez pierwsze lata nie sprowadzała facetów do domu. Choć prawdopodobnie wynikało to raczej z tego, że płoszył ich widok małej dziewczynki. Niepotrzebne im były tego rodzaju komplikacje. Co jednak szkodziło myśleć, że matka robiła to ze specyficznie pojętej troski?

Swoją drogą Adrianna do tej pory nie mogła się nadziwić temu, co się wydarzyło po wielkiej awanturze. To, że w jej życiu pojawiła się pani Dusia, okazało się błogosławieństwem. Dodatkowo jednak zdarzyło się coś, czego totalnie się nie spodziewała. Matka zaczęła się z nią na swój sposób liczyć.

– Głupia byłaś, ale nie można odmówić ci skuteczności – oznajmiła jej kilka dni potem. – Umiałaś rozegrać to tak, by dopiąć swego. Jak tak dalej pójdzie, to może wyrośniesz na ludzi – zawyrokowała nieoczekiwanie. I koniec końców postawiła w salonie małą sztuczną choinkę.

Daleko jej wprawdzie było do pięknych żywych drzewek, które stały

w domu tatusia, ale lepsza taka niż żadna.

Wtedy Ada zupełnie nie rozumiała, o co matce chodzi. Teraz po latach pojmowała doskonale, co Teresa miała na myśli.

Zawsze mierzyła wszystkich własną miarką – pomyślała Ada, sięgając do plecaka po chustę, którą się zawinęła od stóp do głów, wysuwając jedynie ręce. – I była przekonana, że to wszystko ukartowałam. Biedna matka, rzeczywiście nie miała pojęcia o małych dziewczynkach. Musiałabym być geniuszem zła, żeby mając siedem lat, wymyślić taką skomplikowaną strategię. – W zamyśleniu sięgnęła po wino i korkociąg.

Śnieg wciąż prószył, ale stracił na intensywności. Płatki spadały lekko, jakby od niechcienia. Adrianna pociągnęła pierwszy łyk i wysunęła butelkę w kierunku marchewkowego nosa.

– No to, stary, siup, za tę moją niepokorną dorosłość! – mruknęła i pomyślała, że musi wyglądać idiotycznie, siedząc na ławce na mrozie i gadając do bałwana.

Na szczęście nikt mnie nie widzi – pocieszyła się w duchu i w tym samym momencie za jej plecami coś zaskrzypiało, zaszeleściło i jakby stanęło.

Zaniepokojona obejrzała się i zobaczyła przygarbioną postać. Twarz nieznanego ginęła w cieniu.

No pięknie! Nie zamarznę, nie dostanę zapalenia płuc, za to zostanę zaciukana na parkowej ławce z butelką w dłoni – przemknęła jej przez głowę nagła myśl. – Upadek całkowity!

– Proszę się nie bać – usłyszała schrypnięty głos. Stojący za nią chyba czytał w jej myślach. – Cały dzień patrzyłem przez okno na ten śnieg i w końcu uległem sam sobie. Naszła mnie chęć na spacer, psia jego mać! Bo śnieg taki piękny! Tyle tylko że zapomniałem, że wiek już nie ten i nogi nie nadążają za głową. Bo wie pani, mentalnie to ja jestem młodzik, tylko ciało

mnie, cholera, zdradziło. I nieodśnieżone alejki pokonały. Mógłbym się na chwilę do pani przysiąść?

– Proszę bardzo. – Odsunęła się nieco w kierunku bałwana i zawstydzona wsunęła wino pod chustę.

Zapanowała cisza przerywana jedynie przyspieszonym oddechem starszego pana.

– A pani...? – Nie musiał kończyć. Adrianna i tak się domyśliła, o co pyta.

– A ja, jakby to ładnie ująć...

Przez chwilę się zastanawiała, czyby nie zmyślić na oczekaniu jakiejś historyjki, ale w końcu zdecydowała się na szczerłość. Prawdopodobnie nigdy więcej nie spotka tego człowieka, co więc jej szkodzi powiedzieć prawdę, nawet jeśli brzmiała niewiarygodnie infantylnie i głupio.

– Ja, proszę pana, usiłuję się właśnie udorościć – oświadczyła i na dowód wyjęła spod chusty butelkę. – A to takie jak gdyby potwierdzenie, że dawno skończyłam osiemnaście lat. W końcu dzieciom nie sprzedaje się alkoholu... Napije się pan ze mną? Mam w plecaku plastikowe kubeczki.

– Odrobinę. – Starszy pan przyzwalająco pokiwał głową i popatrzył na nią badawczo. – To pani ulepiła tego bałwana? – zagadnął, odbierając z jej rąk butelkę i stawiając dwa kubki między nimi. – Przepraszam, to z przyzwyczajenia – dodał tonem usprawiedliwienia – za moich czasów to panowie obsługiwali damy...

– Ze mnie taka dama jak z koziej... O, przepraszam! – Zreflektowała się ponieważ, przytykając obleczoną w rękawiczkę dłoń do ust. – Wszystko przez to, że już trochę wypiałam i nawet się nad sobą nieco rozżaliłam. Pytał pan o bałwana. No więc nie. Siedząc tutaj, uświadomiłam sobie nawet, że nigdy w życiu żadnego nie ulepiłam. Że cały czas walczę z dawnymi żalami i krzywdami. I że niestety one wygrywają. Wspomniał pan, że śnieg pana

zachwyił. A ja nienawidzę grudnia, śniegu i świąt, bo cały czas mi przypominają o tym, kim jestem! Że nie mam nikogo swojego! Dałabym naprawdę wiele, by móc choć raz uciec od tego świętowania, od miejsc, które mnie uwierają jak kamyk w butcie!

– A kto pani broni? – Starszy pan podał jej napełniony winem kubek.

– Słucham? Nie rozumiem... – Odruchowo sięgnęła po plastikowe naczynie.

– No, co panią powstrzymuje? Skoro jest pani sama, może pani wyjechać. Przechytrzyć święta. Zlekceważyć je. Wytrząsnąć ten kamyk z buta.

– Wyjechać? – wydukała. – Ale dokąd?

– Gdziekolwiek. Na przykład w góry. Góry są piękne o tej porze roku – dodał rozmarzony.

Ada przez moment wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Prostota tego rozwiązania ją oszołomiła. Nie mogła uwierzyć, że oto przypadkowo spotkany człowiek w niespełna minutę rozwiązał problem, który trapił ją całe życie.

– Czemu ja na to nie wpadłam? – wyszeptała.

– Najprostsze rozwiązania zawsze najdłużej się przed nami skrywają. – Uśmiechnął się. – To co, wypijemy za święta w górach?

– Wypijemy. – Potakująco skinęła głową.

– To za nowe. – Uśmiechnął się i drżącą ręką uniósł kubek do góry, wylewając przy tym kilka kropel rubinowego płynu i znacząc śnieg na czerwono. – I za tego przyszłego bałwana – dodał.

– Za bałwana? – Uniosła pytająco brwi.

– Żeby jeszcze kiedyś udało się go pani z kimś ulepić. – Poprawił grubo szalik i pociągnął nosem.

Stuknęli się kubeczkami i zgodnie zamilkli. Cisza, która zapadła, była

z gatunku tych przyjaznych. Nikomu nie ciążyła ani nie zawadzała. Sączyli wino zapatrzeni w smugę światła rzucaną przez latarnię. Widać w niej było, jak śniegowe płatki łagodnie kołyszą się i płyną. Niektóre z nich osiadały na nagich gałęziach rosnącej tuż obok leszczyny, inne docierały na ziemię, jeszcze inne zawadziac-ko zahaczały o daszek czapki starszego pana i rzęsy Adrianny. Robiło się coraz zimniej.

– Chyba trzeba będzie się zbierać. – Starszy pan roztarł energicznie zgrabiące dłonie.

– Wino też się skończyło – dodała, unosząc butelkę. – Niech pan idzie, ja jeszcze chwilę posiedzę. – Adrianna gwałtownie zamrugła, bo przed oczami przeleciały jej mroczki.

Dopiero teraz mgliście sobie uświadomiła, że przez cały dzień właściwie nic nie jadła. Pół kanapki, którą wmusiła w nią rano Marlena, i tyle. Picie na pusty żołądek w jej przypadku nigdy się dobrze nie kończyło. Miała słabą głowę, w której właśnie zaczynało się kręcić.

– Wolałbym tu pani samej nie zostawiać...

– Dobrze, to idziemy – mruknęła, chwiejnie się podnosząc. – Proszę się o mnie nie... nie martwić. Mam blisko. – Starła się mówić wyraźnie, ale język jej się plątał. – Trafię bez trudu. Wszy... wszystkiego dobrego – dodała i niepewnie ruszyła zaśnieżoną alejką.

Starszy pan odprowadził ją wzrokiem, a potem głęboko westchnąwszy, ruszył w ślad za nią. Odpoczynek na ławce i wypite wino widać mu posłużyły, bo szedł dziarsko, zadyszka i nieporadność gdzieś zniknęły. W pewnym momencie przystanął w cieniu wielkiego kasztanowca i zdumiony popatrzył na kobietę, z którą przed momentem gawędził.

– Co ona, do licha, robi? – zamruczał pod nosem.

Ale oczywiście nikt mu nie odpowiedział. Jedynie podmuch wiatru uniósł w górę garść śnieżnego pyłu.



Adriannę tymczasem z minuty na minutę coraz bardziej rozbierało. Alejki zaczęły raptem najeżdżać na siebie, dzielić się i mnożyć w zatrważającym tempie. Potem było jeszcze gorzej, bo okazało się, że zniecka znalazła się na rondzie.

Zdezorientowana przystanęła i gwałtownie zamrugała. Zupełnie nie wiedziała, gdzie jest. W głowie jej okropnie wirowało.

– No i mamy trzęsienie ziemi. – Znów czknęła i z obawą spojrzała pod nogi.

Biała płaszczyzna wyraźnie falowała i gdzieniegdzie się jakby załamywała. Adrianna potrząsnęła głową i dla odmiany spojrzała w niebo, które wyraźnie na nią spadało. Z trudem trafiła ręką do kieszeni i wydobyła z niej komórkę. Literki tańczyły jej przed oczami, guziczki umykały spod palców, ale w końcu udało jej się trafić na napis Marlina. Na szczęście przyjaciółka odebrała prawie natychmiast.

– No, co tam? – zapytała szeptem.

– Słuchaj, yk. – Czkawka nie chciała odejść. – Bo ja właśnie, yk, jestem na rondzie, yk, i nie mogę z niego zejść. Ono jest wszędzie, yk, mówię ci, i niebo do mnie mruga. Wiesz, tak mruga mrugająco i...

– Niebo, tak, tak, jasne. – Marlina przerwała jej bezpardonowo, zapominając nawet o ściszeniu głosu. A tego typu niedopatrzenie nie zdarzało się jej często. Dopiero co uspiła dzieci, Rafałek na nieszczęście sypiał jak zajac pod miedzą i budził go najmniejszy nawet hałas. – Jesteś pijana, tak? Zresztą po co ja pytam, jak się upiłaś, to i tak zaprzeczysz, prze...

– Ja pijana? Nigdy! – przerwała jej oburzona Ada i jakby na

potwierdzenie tych słów czknęła.

– Właśnie tak myślałam. Co z tym rondem?

Marlena przypomniała sobie niepokojące wyznanie i oczami wyobraźni ujrzała Adriannę rozjeżdżaną przez rozpędzony samochód. Wizja była tak realistyczna, że Lena natychmiast się zdenerwowała i nie czekając na odpowiedź, zaczęła wciągać buty.

– A ty gdzie się wybierasz o tej porze? – Z kuchni wyjrzał jej mąż i obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

Rzeczywiście wyglądała dość dziwnie w puchatej, różowej koszulce w białe króliczki i kozakach na wysokim obcasie.

– Adrianna dorwała się do wina, muszę ją zgarnąć – wyszeptała, przysłaniając ręką słuchawkę. Krzysztof tylko pokiwał głową i podał Lenie kurtkę. – To gdzie to rondo? – Wróciła do rozmowy, dziękując mu uśmiechem.

– W parku – wyznała bełkotliwie Ada. – Będziesz moją nawi... Nawi... cją, yk?

– W którym parku to rondo? – Marlena rozsądnie postanowiła nie dociekać, o co dokładnie chodzi. – Wjechałaś tam samochodem?

– Co ty, nie można prowadzić po tym, al..., al... Yk, picciu. Szczególnie w paaarku, yk.

– No fakt, nie można, to ten park koło ciebie?

– Ale w prawo czy w lewo? Miałaś mówić!

– Za diabła się z nią nie dogadam – mruknęła, z rozmachem zapinając kurtkę, tak że biedny suwak tylko zafurczał. – Stój w miejscu, jesteś na czerwonym świetle – rzuciła do słuchawki. – A mówiła, że jedzie do klienta dom urządzić! – zwróciła się do męża, owijając szyję błękitnym wełnianym szalikiem. – Ładne urządzenie! Siebie urządziła i tyle! Nie mogła powiedzieć, że chce się napić? Przecież mogłaby do nas przyjechać! Stój

tam, jest ruch wahadłowy, nie możesz teraz jechać – rzuciła kontrolnie do słuchawki, po czym, słysząc dobiegający z niej odgłos nasilającej się czkawki, nieco się uspokoiła.

– Wiesz, Lenka, ty jesteś najlepszą, najtroskliwszą kobietą, jaką znam, ale... – Krzysztof na chwilę zamilkł i z czułością poprawił jej krzywo nałożoną czapkę.

– Ale? – zapytała groźnie.

– Strasznie ją niańczysz. Może tym razem chciała się uporać ze swoimi problemami samodzielnie.

– No to pięknie jej wyszła ta samodzielność! Błąka się gdzieś na mrozie, prawie że nieprzytomna!

– Wiesz, pierwsze kroki zawsze są trudne... Choć dzięki niej mamy chyba taką wprawkę, co nas czeka, gdy dzieciaki zaczną dorastać – zaśmiał się Krzysztof. – W razie czego dzwoń.

– Aha, i co? Zostawisz nasz przychówek sam i przybędziesz nam na ratunek? Logika mi podpowiada, że jeśli chcemy potem, w ich wieku nastoletnim, móc biegać za nimi po krzakach, muszą wpierw przeżyć. Więc tym razem będę zdana li i jedynie na siebie, siła wyższa! Mam nadzieję, że rzeczywiście jest w parku. Jeżeli tak, to pewnie wybrała ten swój ulubiony, niedaleko mieszkania. I na szczęście rzut beretem od nas. Zadzwoń, jak ją doholuję do samochodu. Jesteś tam? – rzuciła kontrolnie do słuchawki.

– Mhm... yk...

– Dobrze, to pomrugaj do nieba, zrób orła na śniegu... Albo nie, orła nie rób – wycofała się, bo nie wiedziała, w jakim stanie jest Ada i czy zdoła się później samodzielnie podnieść. – Okrąż jeszcze raz rondo, ja już lecę.

– I będziemy, yk, pić? – Głos w słuchawce się ożywił.

– Taaa, oczywiście, tylko o tym marzę – sarknęła Marlena, wyjeżdżając z garażu.

Na szczęście z jakichś niewiadomych względów Krzysiek odśnieżył wieczorem całe podwórko. Teraz ten zryw pracowitości bardzo się przydał.

Przejechała dwa skrzyżowania, klnąc na czerwone światła.

– Akurat teraz każde moje... – burczała coraz bardziej rozeźlona.

Obawiała się, że zniecierpliwiona Ada pójdzie sobie w zaśnieżoną siną dal. Scenariusz ten wydawał się tym bardziej realny, że straciła z nią kontakt tuż po tym, jak wyjechała z podwórka. Gdy tylko włączyła zestaw głośnomówiący, przywitał ją sygnał zerwanej rozmowy. Kolejne próby połączenia spełzły na niczym.

W końcu podjechała pod ogrodzenie parku, wypadła z samochodu i nie przejmując się, że stoi krzywo i zajmuje pół chodnika, pobiegła w stronę otwartej na oścież, ciężkiej żeliwnej bramy. Dopiero gdy się znalazła na terenie parku, przystanęła i rozejrzała się wokół.

– No to teraz, na logikę, gdzie ona może być... – mruknęła do siebie. – Myśl, kobieto, myśl!

Wytypowanie miejsc było dość istotne, bo park składał się z płataniny alejek, ławeczek poustawianych w ustronnych zakątkach, altanek, skwerków, które latem w ciągu dnia oblegane były przez mamy z dziećmi, a wieczorami zakochane pary, urządzące sobie na kocykach intymne pikniki. Gdyby chciała obszukiwać każde z tych miejsc, zajęłoby jej to szmat czasu.

– Dobrze, to zacznijmy od środka. – W końcu podjęła decyzję, bo od głównego placu odchodziła większość głównych alejek.

Wpadłszy na oświetlony prostokątny plac, stanęła w osłupieniu i wlepiła wzrok w wielką okrągłą fontannę. W tej chwili nieczynna, ukryta pod świeżo napadającym śniegiem, tworzyła biały, dość wysoki okrąg, wokół którego krążyła jakaś postać, z plecakiem zarzuconym na plecy i chustą smętnie zwieszającą się z jednego ramienia i wlokącą za nią po śniegu.

Marlena zamrugała gwałtownie, a potem mimo woli parsknęła śmiechem.

– No, to rzeczywiście niekończące się rondo – zachichotała pod nosem i z westchnieniem ruszyła nieść pomoc i pociechę zbłąkanej. – Jestem – oznajmiła, stając przed przyjaciółką. – Chodź, zabiorę cię do domu. Co ty na to?

– Oooo, Lena, złoota, yk, skąd ty się tu wzięłaś... Widzisz, te ronda to są podstępne szu, szuj...

– Szuje – dokończyła za nią miłosiernie Lena. – A tak nawiasem mówiąc, to nie rondo, tylko fontanna – dodała, nie wiedząc, że już po chwili będzie żałowała, że nie ugryzła się w porę w język.

– Fon... yk... tanna...? – Adrianna zatrzymała się i przekrzywiła głowę, wpatrując się ze zdziwieniem w okrągły kształt. – A wiesz, że ty masz rację! A to szelma jedna! Wykąpiemy się w niej?

– A czemuż miałybyśmy, na litość boską, robić coś tak głupiego? – Marlena z coraz większym zainteresowaniem przyglądała się swojej przyjaciółce. W takiej odsłonie widziała ją po raz pierwszy.

– No, żeby nas ktoś mógł z niej wyciągnąć. W takim filmie jednym to on ją, wiesz...

– No, właśnie nie wiem i coś mi się wydaje, że nie chcę wiedzieć.

– W fontannach zawsze bytują przyzwoici faceci, ja ci mówię! Yk... To teraz chlup! – Ada zadreptała w miejscu, usiłując się rozpędzić.

Na całe szczęście się zachwiała i ugrzęzła w zaspie śniegu, który skutecznie zatrzymał ją w miejscu. Lena w ostatnim momencie zdołała ją podtrzymać i uratować przed upadkiem.

– Słuchaj no, dzisiaj jest ciemno, ci fontannowi faceci dawno już śpią...

– Ale jak to śpią? To ich obudzimy! O, na przykład tak, kici, kici – wydarła się Adrianna tak, że aż echo popłynęło wśród ośnieżonych drzew.

Matko i córko, jak tak dalej pójdzie, to za chwilę będziemy miały na głowie całą komendę powiatową, pomyślała Lena z mieszaniną irytacji

i rozbawienia.

– Te, kici, kici – odezwała się pojednawczo – sama mówiłaś, że są przyzwoici, to chodzą spać z kurami. Co chcesz, coś za coś. Niemoralni i występni wychodzą wtedy w miasto, a ci porządni idą pa-luli. Ale przyjdziemy tu jutro, co? Będzie tu mnóstwo tych odpowiednich, zobaczysz, będziesz mogła w nich przebierać jak w ulęgałkach – kusiła nieumiejętnie, jednocześnie usiłując odciągnąć Adę jak najdalej od fontanny. – No chodź!

– Mhm... Yk.... Nie! – zawyrokowała tamta krótko i na dowód, że nie żartuje, objęła latarnię, koło której właśnie stanęły.

– No pięknie, zaparła się niczym osioł, zakotwiczyła i już – jęknęła bezradnie Marlina. – Słuchaj no, bo cię w końcu będę musiała ogłuszyć but... – Tu przerwała i spojrzała na przyjaciółkę spod oka. – A właśnie, butelka. W domu mam mnóstwo twojego ulubionego wina. Idziemy pić? – zaproponowała z największym entuzjazmem, na jaki ją było stać.

Adrianna nic na to nie odrzekła, ale właściwie słowa były zbędne, bo bez oporu dała się odczepić od latarni i poprowadzić ku wyjściu z parku.

Żadna z nich, ani Ada, ani Marlina, nie zwróciła uwagi na wyłaniającego się z cienia kasztanowca starszego pana, który stał w miejscu aż do chwili, gdy zniknęły mu z oczu za zakrętem alejki.

– Powodzenia! Niech wam się wiedzie – szepnął za nimi i w geście pożegnania uchylił kraciatą czapkę z daszkiem.

W tejże chwili zerwał się nagły wiatr, który poniósł jego słowa w głąb parku. Kto wie, może nawet folgując swej rozwichrzonej, wietrznej fantazji, wplótł je w rudo-zielony szalik Adrianny.

**M**arlena dojechała do domu srodze zawiedziona. Miała nadzieję, że podczas podróży Adrianna uśnie jak kamień. Nie zamierzała jej budzić. Krzysztof był postawnym facetem i z pewnością poradziłby sobie z przetransportowaniem jej do domu i rzuceniem na kanapę w salonie. Niestety, jak na złość, Ada była radosna i żywa niczym skowronek o świcie.

– A ja mam plan, a ja mam plan, przyniosłam go z podwórza! – zawodziła na tylnej kanapie samochodu.

– Święci i wszyscy anieli, zaraz oszaleję – mruknęła Marlena, z ulgą wjeżdżając na podwórko, na którym już czekał Krzysztof.

– O la, la, to ostro musiało być – mruknął, zaglądając do auta. – Chodź, księżniczko, zabiorę cię do domu. – Pomógł jej wygramolić się z samochodu.

– A ja mam plan, a ja mam plan, dla niego jestem duża! – ryknęła mu Ada prosto w ucho.

– O rany, nie wiem, co gorsze, śpiew czy chuch – jęknął Krzysztof.

– Gwarantuję ci, że śpiew – zapewniła go Marlena. – Wydziera się tak, odkąd wsiadła do samochodu, choć chuch też ma niczego sobie. Dobrze, że nie zatrzymała nas policja, bo nawet powietrze w aucie zrobiło się pod wpływem jej oddechu wysokoprocentowe. Obawiam się, że całą trasę biernie piłam...

– Właśnie sobie przypomniałem, jak opowiadałaś, że gdy byłyście małe, postanowiłyście założyć wędrowny zespół, zostać piosenkarkami i uciec z domu. Dobrze, że niektóre marzenia się nie spełniają. – Krzysztof, widząc, że Adrianna nabiera w płuca powietrza, przezornie odsunął ją na odległość ramienia. – Zaraz mi bębenki w uszach popękają ze zgrozy... Słuchaj, a jaki ty masz ten plan, co? – zwrócił się do Ady, usiłując skierować jej uwagę na

coś innego niż śpiew.

– Szz... czwany... – wymamrotała.

– O, właśnie, a mnie się przypomniało, że po alkoholu wzbogaca ci się słownictwo – zwróciła się do niej Marlana. – Szczwany, bytują, szuje. Ale o tym porozmawiamy jutro, a teraz wejdziemy do domu, a ty będziesz cichutko jak myszka, dobrze? Dzieci śpią.

– Aaa, dzieci... Kocham dzieci! Bo wszystkie dzieci nasze są!!! – Ada na nowo rozpoczęła popisy wokalne, zamachała rękami i niespodzianie zwinnie wymknęła się spod ręki Krzysztofa, po czym potknęła o próg i z rozpędu wpadła na wieszak w korytarzu. – Ciiii – uciszyła samą siebie, kładąc palec na ustach. – Dzieci, yk. – Czknęła i z impetem usiadła na podłodze.

W tym samym momencie na górze rozległ się płacz Rafałka.

– No, to pięknie – jęknęła Marlana.

– Spokojnie, ja do niego pójde, a ty zostań tu i postaraj się ją uciszyć.

– Aha, chyba musiałabym ją zakneblować.

– Upij ją do cna – poradził jej Krzysztof ze szczytu schodów.

– Jakbyś nie zauważył, to ona już jest do cna wstawiona.

– Oooo, tak. Idę po wino. – Adrianna niemrawo usiłowała pozbiierać się z podłogi.

– Widzisz, sama chce, uwierz mi na słowo, wystarczą jeszcze dwa kieliszki i będzie po sprawie.

– To niehumanitarne... – Marlana z powątpiewaniem popatrzyła na gramolącą się na czworaki Adę.

Gdy jednak ta znów zaczęła śpiewać, wszelkie wątpliwości zniknęły. Pomogła jej się podnieść, usadowiła na środku kanapy i wydobyła z plecaka przyjaciółki pustą butelkę.

– No jasne, twoje ulubione, wzmocnione. – Pokiwała głową i sięgnęła do



barku. – Przynajmniej nie pomieszymy – dodała, stawiając identyczną, tyle że pełną butelkę na stoliku.

Okazało się, że tym razem Krzysztof pomylił się tylko odrobinę.

Wystarczył jeden kieliszek i oszołomiona kompletnie Ada zamknęła oczy, po czym natychmiast zasnęła.

Jutro będzie miała ciężki dzień, pomyślała, patrząc na nią, Marlena. Tym gorszy, że dziś był piątek, a co za tym idzie, po nim musiała nastąpić sobota. A w sobotę ani przedszkola, ani żłobki nie pracowały. Lena szczerze wątpiła, by jej dzieci przejęły się ciężkim stanem swojej ulubionej ciotki.

Stefan rozpoczął poranek jak co dzień. Popatrzywszy na pustą stronę łóżka, podszedł do okna. Otworzył je, spojrzął w ciemne ołowiane niebo i posepnie pokiwał głową.

– Podlec! Egoista! Szubrawiec! – krzyknął, wygrażając niebu pięścią, i zamarł.

Bo po raz pierwszy doczekał się odpowiedzi. I to nie takiej, na jaką liczył. Mianowicie nie trafił go grom z jasnego nieba, nie padł rażony nagłą niemocą – nic z tych rzeczy. Odpowiedź przyszła z zewnątrz i brzmiała zupełnie normalnie.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – dobiegło jego uszu. – Twój charakter ostatnimi czasy stracił na atrakcyjności.

Przez chwilę gapił się w niebo z niedowierzaniem, aż w końcu do niego dotarło, że głos biegł przecież z dołu. Na chodniku stał Mateusz. Nie wyglądał najlepiej. Kozuszek, który nosił od lat, wyraźnie na nim wisiał, nawet z tej odległości widać było, że ma pod oczami ciemne worki.

Patrząc na niego, Stefan po raz pierwszy od wielu miesięcy pomyślał ze współczuciem o kimś innym, nie o sobie.

– Mam tu tak stać, czy jednak tym razem mnie wpuścisz? – Mateusz zadarł jeszcze wyżej głowę.

– Chodź – odpowiedział Stefan krótko schrypniętym głosem.

Idąc do przedpokoju, pomyślał, że Hela nie byłaby z niego dumna. Zawsze powtarzała, że o ludzi trzeba dbać. Jakoś tak zapomniał o tym żelaznym Helinym przykazaniu.

Otworzył drzwi, jak tylko na klatce zapaliło się światło. Mateusz szedł po

schodach wolno, przystając na półpiętrach.

Gdy dotarł do mieszkania Stefana, był nienaturalnie blady. Bez słowa wszedł do środka i zgrabiałymi, drżącymi palcami zaczął odpinać kołkowe guziki kożuszka.

– To się porobiło – mruknął Stefan, splatając ręce za plecami.

W tej chwili to one najbardziej mu zawadzały. Zupełnie nie wiedział, co z nimi zrobić. Wyrzywały mu się do pomocy, ale z doświadczenia wiedział, że powinien je trzymać przy sobie. Prawdziwi mężczyźni nie płaczą ani nie rozpinają sobie nawzajem guzików.

– Ano porobiło. – Mateusz w końcu uporał się z kożuchem i powiesił go na oparciu krzesła stojącego pod ogromnym przedwojennym lustrem. W tej chwili w jego tafli odbijały się dwie poorane zmarszczkami, naznaczone dziwną powagą twarze. – Nie widzieliśmy się od pogrzebu Helenki.

Stanęli naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Stefan pomyślał, że chyba to ten moment, w którym powinni sobie powiedzieć ważne, mądre rzeczy. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Widać Mateusz miał ten sam problem, bo kilka razy głośno przełknął ślinę i bezgłośnie poruszył ustami.

I w tej samej sekundzie Stefan doznał olśnienia. Wiedział już, co ma zrobić, i szeroko rozpostarł ramiona. Uścisnęli się mocno.

I stało się jasne, że prawdziwi mężczyźni mają wiele twarzy. I może rzeczywiście nie pomagają sobie w rozpinaniu guzików, ale z całą pewnością od czasu do czasu płaczą.

**M**arlena z ulgą wyprawiła swoje potomstwo i męża na zimową przechadzkę. Od samego rana usiłowała znaleźć moment, by na spokojnie przesłuchać Adriannę, ale przy rozbrykanych dzieciach i Krzyśku, który nie wiedząc czemu, ubzdurał sobie, że powinna dać Adzie spokój, nie miała okazji jej należycie mocno przycisnąć. A trzeba to było zrobić jak najrychlej, bo przyjaciółka, ledwie otworzyła oczy, wyznała jej, że zamierza wyjechać. Słyszac to, Marlena z miejsca zdenerwowała się okrutnie. Skoro więc wreszcie zostały same, postanowiła tę sprzyjającą okoliczność bezwzględnie wykorzystać i dowiedzieć się jak najwięcej.

– No, to teraz masz mi wszystko wyznać, jak na spowiedzi. Jak to wyjeżdżasz? – Z miejsca przystąpiła do ataku.

– Mówiłam ci przecież, że mam plan. – Adrianna, krzywiąc się, siorbnęła z kubka kawę.

– Oooo, nie tylko mówiłaś, ale też śpiewałaś, o ile to można oczywiście nazwać śpiewem...

– Coś niecoś pamiętam i strasznie cię przepraszam. Znam swoje możliwości i wiem, że to do mnie stosuje się zwrot: „Złam mi rękę, tylko nie śpiewaj”.

– Co prawda, to prawda. Mniejsza o śpiew. Nie bądź taka cwana i nie zmieniaj tematu. Ten plan. Wczorajsze bredzenie o nim złożyłam na karb pijackiej niepoczytalności, nie wiedziałam, że ty tak na serio, i dlatego nie próbowałam ci tego wybić z głowy.

– Rozumiem, że teraz wiesz i rozpoczniesz próby. – Ada odchyliła głowę na oparcie kanapy.

Zauważyła, że w tej pozycji najmniej łupie ją w skroniach. Ból pojawiał

się falami i Adrianna doszła do wniosku, że i tak miała szczęście. Kac w pełnej krasie jakimś cudem ją ominął, więc rozsadzający jej czaszkę ból głowy postanowiła przyjąć z godnością.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Raptem do niej dotarło, że Marlena ciągle coś mówi.

– Nie bardzo – wyznała z rozbijającą szczerością. – Ale poczekaj, zanim mi powtórzysz wszystko, co przeoczyłam, chcę ci coś powiedzieć. Wyjeżdżam.

– No, przecież słyszałam!

– Wiem. Powtórzyłam to, żebyś zrozumiała, że zdania nie zmienię. Chcę w końcu wytrząsnąć kamyk z buta.

– Że co? Jaki znów kamyk? Chyba jeszcze porządnie nie wytrzeźwiałaś. – Marlena obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Wytrzeźwiałam, wytrzeźwiałam. Po prostu chcę się uporać sama ze sobą. Grudzień to dla mnie najgorszy czas w roku. Mam przekonanie, że jeśli go w jakiś sposób przechytrzę...

– Ada, grudnia nie da się przechytryć ani wymazać z kalendarza. Nie uciekniesz przed nim. Tak samo jak nie uciekniesz sama przed sobą.

– Może źle to ujęłam. Zamiast przechytryć, powinnam była powiedzieć... – Zamilkła na moment, szukając właściwego słowa. – Oswoję? To chyba brzmi lepiej. Jeżeli to mi się uda, z resztą pójdzie już gładko. Muszę się pozbyć tego rozgoryczonego dzieciaka, który cały czas we mnie tkwi. Tutaj nic z tego nie będzie. Za wiele złych rzeczy się zdarzyło. Zbyt wiele jest miejsc, które mi o tym przypominają. Nie chcę kolejny raz w Wigilię iść pod dom taty i gapić się zza krzaka na mieszkającą tam teraz rodzinę...

– A, to tam się wymykałaś zawsze po kolacji... – Marlena wolno pokiwała głową. – Nigdy nie mogłam z ciebie wyciągnąć, gdzie znikasz.

I dlaczego po powrocie jesteś splakana i rozbita. Naprawdę co roku chodzisz pod swój stary dom?

– Naprawdę – przytaknęła Adrianna. – Nie mogę wybaczyć matce, że go sprzedała. Mieszkają tam teraz młodzi ludzie z dwójką dzieci. – Jej głos przeszedł w zachrypnięty szept. – W naszym dawnym salonie mają jadalnię i tam stawiają choinkę. Zanim ją wniosą do domu, stoi tak jak nasza na schodkach przed drzwiami... Lena, ja naprawdę nie dam rady po raz kolejny powtarzać tego schematu. A jak tu zostanę, nic mnie nie powstrzyma. Myślałam, że może matka, rodzina, której nigdy nie widziałam na oczy, że to wszystko jakoś mnie zajmie, da nadzieję. Ale wyszło, jak wyszło, i wszystko wróciło do punktu wyjścia. Nie chcę tego, rozumiesz? Dlatego muszę stąd wyjechać...

– Dobrze, rozumiem, tylko dokąd? – Marlena poczuła, jak jej serce zalewa fala współczucia i troski.

– Gdzieś w góry.

– W góry? Oszalałaś? Ty nigdy nie byłaś w górach! – Usłyszawszy tę deklarację, Lena z miejsca odzyskała równowagę. – Zawsze jeździłaś nad morze. Dlaczego akurat w tej chwili przyszły ci do głowy góry?

– Bo ponoć są piękne o tej porze roku. – Ada uśmiechnęła się zagadkowo.

W uszach zadźwięczał jej głos starszego pana i nie wiedzieć czemu, utwierdziło ją to w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję.

– Nic z tego nie rozumiem – mruknęła Marlena, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Jakie te góry? Myślałaś o jakimś konkretnym miejscu?

– Na pewno nie Zakopane. Nie musiałam w nim nigdy być, żeby wiedzieć, że ciągną tam dzikie tłumy. A ja za dzikimi tłumami nie przepadam. A poza tym to chyba obojętne... O, może Bieszczady. Wszyscy

wciąż powtarzają, że jest tam dziko, bezludnie i spokojnie. Wynajmę sobie jakąś starą chatynkę na pustkowiu zasypanym śniegiem... Czemu tak na mnie dziwnie patrzysz? – przerwała, widząc w oczach przyjaciółki narastający popłoch.

– Nie, coś ty, wydaje ci się – zaprzeczyła Lena, usiłując przybrać pogodny wyraz twarzy. – Próbuję sobie tylko wyobrazić, jak wyglądasz w tej chatynce – dokończyła słabo.

Tak naprawdę nie musiała próbować ani pobudzać wyobraźni. Ta sama się rozszalała i zaczęła masowo produkować tragiczne scenariusze.

Przecież jak ona tam pojedzie, to będzie siedzieć w tej swojej chacie i pewnie pić, bo co miałyby robić w samotności – myślała Lena gorączkowo. – A co będzie, jak strzeli jej coś do głowy i po nocy polezie w jakieś chaszczce, Bóg wie gdzie? Skoro umiała się zgubić w prostym, cywilizowanym parku, to tym bardziej zapodzieje się w ostępach. Jak nic, zleci w jakąś przepaść. A jak jeszcze włoży ten swój biały kożuszek, to nie dość, że się zleje z otoczeniem, to jeszcze zeżrą ją wilki... W końcu w tym kożuchu to prawie owca, a wilkom „prawie” nie robi żadnej różnicy. Ewentualnie zamarznie gdzieś pod jakimś krzakiem! Co ja mam robić? Pojechać z nią nie mogę, bo Krzysiek by mnie zabił. A jak nie on, to moi rodzice, teściowie albo dzieci, gdy dorosną...

– I cała rodzina w kryminale – mruknęła pod nosem, bo rozpędzona wyobraźnia usłużnie podsunęła wizję zimnej wilgotnej celi, w której tłoczyli się jej bliscy.

– Co mówisz? – Adrianna spojrzała na nią zdumiona.

– Nic, zupełnie nic. Słuchaj, a dlaczego Bieszczady? – Usiłowała grać na zwłokę.

– A dlaczego nie? Masz inną propozycję?

– Nie... Ale poczekaj, chyba właśnie tak! – Marlena aż poderwała się

z kanapy. – Jestem genialna! – Klasnęła z rozmachem w dłoń. – Pamiętasz Madeleine?

– Pewnie, jak mogłabym nie pamiętać Madzi. – Adrianna uśmiechnęła się na samą myśl o studenckich czasach. – Nikt na uczelni nie miał takich szalonych pomysłów jak ona. I to imię, które tak kręciło chłopaków. Zobacz, Magda tak na nich nie działała, ale Madeleine to już całkiem co innego.

– Co chcesz, egzotyka zawsze jest bardziej pociągająca – roześmiała się Marlena. – Bombowy mieliśmy ten rocznik, nie ma co mówić, sporo oryginałów poznałam, fajna z nas była paczka.

– Z was tak, u nas na architekturze byli sami nudziarze. Dobrze, że się mogłam pod was podczepić. Ale wracając do tematu, co ma Madeleine do twojego geniuszu?

– No, przecież ona wyprowadziła się na jakiś koszmarny koniec świata. Właśnie w górach. Adoptowała dzieci, kupiła dom, otworzyła księgarnię, wyszła za mąż. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Uhu, hu! To sporo się u niej zadziało. Jakoś nie jestem sobie w stanie wyobrazić jej jako statecznej mężatki z gromadką dzieci.

– Stateczna to ona w ogóle nie jest. Jaka była, taka jest, choć chyba trochę jednak zmądrzała, ale wiesz, nie tak poważnie, bufoniasto, tylko zwyczajnie, życiowo.

– A skąd masz takie szczegółowe informacje? – zainteresowała się mimo woli Ada.

– Widujemy się od czasu do czasu. Jak przyjeżdża do Warszawy, to się umawiamy na kawę i ciacho. Ja mam pretekst do tego, żeby się wyrwać z domu, do stolicy nie jest w końcu tak daleko, a od czasu do czasu dobrze jest łyknąć trochę wielkomiejskich spalin. Przy okazji wymieniamy się informacjami branżowymi. Ona też łapie tłumaczenia, a że ją interesują zupełnie inne dziedziny, to swobodnie możemy jedna drugiej coś podsunąć.



Nawet ostatnio miałam ci zaproponować, żebyś ze mną pojechała, ale dostałaś to duże zlecenie pod Poznaniem.

– Aaaa, tak, moja największa duma, willa z dwudziestolecia. Nieskromnie powiem, że urządziłam ją prima sort. Właściciele nie dość, że sypnęli kasą, to jeszcze postanowili dać mi wolną rękę. Uwielbiam takich rozsądnych ludzi. A co do Magdy, to chętnie bym się z nią zobaczyła, ale nie chcę do niej jechać. Nie będę się łądować komuś na głowę i ...

– Ja też nie chcę, żebyś do niej jechała – przerwała jej Lena.

– No, to zupełnie nic z tego nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Zadzwońię do niej i poproszę, żeby nam poleciła jakiś miły pensjonat. Mieszka tam, zna ludzi, to wie, gdzie się najlepiej zatrzymać. I zawsze lepiej mieć w okolicy kogoś znajomego, kogoś, do kogo można zagadać, zajrzeć. Wiem, wiem, ty nie masz na nic takiego ochoty, ale różnie to bywa. Przecież jak nie będziesz chciała, to się nie zobaczysz z nią ani razu. Nie przypuszczam, żeby cię chciała jakoś specjalnie osaczyć. W końcu ma dość swoich spraw.

– Nie rób ze mnie takiego potwora – obruszyła się Adrianna, wysączając ostatni łyk kawy i podnosząc się z kanapy. – Chętnie się z nią zobaczę, zawsze ją lubiłam. Miała kasy jak lodu, nigdy się jednak nie wywyższała ani nie zadzierała nosa. Właściwie to może nie jest taki zły plan z tym zasięgnięciem języka...? Koniec świata brzmi dobrze, a że na górach zupełnie się nie znam, mogą być równie dobrze te, w których mieszka Magda. Chciałabym wyjechać najszybciej, jak się da.

– Ale jak to? Już, teraz? Przecież do świąt zostało jeszcze trochę czasu.

– Nic nie szkodzi. Odpocznę, nacieszę się śniegiem, może nauczę się jeździć na nartach. Najbliższe zlecenia mam dopiero na połowę stycznia. Zresztą kto wie, może pojedę, znudzę się i wrócę do was jeszcze przed Wigilią...

– Dobrze, jak chcesz. Skoro wszystko wiem, to mogę dzwonić.

– Teraz?

Marlena już miała kiwnąć głową, ale w ostatniej chwili zamiast przytaknąć, pokręciła nią przecząco.

– Nie, dziś sobota i eeee... z tego, co mi Magda mówiła, to w soboty jeżdżą, na ten... jak to się nazywa... o, targ. Właśnie, na targ. Taki bazar, no wiesz, warzywa, owoce...

– Wiem, co to jest targ – zmitygowała ją Ada, patrząc na nią z lekkim zdumieniem.

– No tak, jasne... To zadzwonię do niej trochę później, żeby zdążyła wrócić. I dam ci znać, co i jak. Zresztą wpadnij do nas wieczorem, mama Krzysia robi pierogi. Obiecała podrzucić, to się załapiesz na odsmażane, z kapustką i grzybkami, i twoje ulubione, z kaszą gryczaną i serem.

– No to mnie namówiłaś – roześmiała się Ada, idąc do przedpokoju i wkładając botki. – Wiesz, czym mnie przekupić.

– W takim razie do zobaczenia.

Lena stanęła w otwartych drzwiach i odprowadziła przyjaciółkę wzrokiem. Poczekwała, aż zniknie jej z oczu, po czym wróciła do domu i natychmiast wystukała numer Madeleine. Targ, na który rzekomo chodziła, był naprędce wymyślonym wykrętem, po prostu uświadomiła sobie, że rozmowę, którą ma przeprowadzić, musi odbyć bez obecności przyjaciółki.

– Cześć! Jak się cieszę, że udało mi się wreszcie do ciebie dodzwonić. – Uśmiechnęła się, słysząc w słuchawce głos Magdy.

– Bo jestem na rynku, a co za tym idzie, w zasięgu – wyjaśniła Madeleine.

– Słuchaj, dzwonię do ciebie w dość nietypowej sprawie. – Marlena przysiadła na taborecie kuchennym i odruchowo wygładziła fałdkę na leżącym na stole obrusie. – Chodzi o Adrianę.

I krótko opowiedziała o planie Ady i o tym, dlaczego chce wyjechać.

– Nie wiem, dlaczego uparła się na góry, ale coś sobie ubzdurała i widać po niej, że zdania nie zmieni. A ja się martwię. I tylko dlatego opowiedziałam ci o niej tyle, zdradziłam jej tajemnicę i nie jest mi z tym najlepiej. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że musisz to wiedzieć, żeby mnie zrozumieć. Nie mogę jej puścić samej, bo strasznie się o nią boję. I nie mogę z nią pojechać, bo... uhhhh! Jakie to wszystko jest cholernie trudne!

– Nie możesz pojechać, bo musisz zostać – skwitowała krótko Magda i słysząc, jak to zabrzmiało, roześmiała się serdecznie. – Wielkie mądrości sprowadzone do prostych słów zawsze brzmią banalnie, nie sądzisz?

– Ale i tak mają głębię, w każdym razie...

– Chcesz, żeby ktoś miał na nią oko – przerwała jej Magda.

– Dokładnie. Góry tam koło siebie jakieś masz, prawda?

– Jakieś? Kochana, to są najbardziej górówate góry, jakie można sobie wymarzyć. Poza tym samo Malownicze jest miasteczkiem jak marzenie. Rynek, sklepy, stare kamieniczki, duchy przeszłości, wszystko, co chcesz, a może i więcej.

– A możesz polecić jakieś miejsce, w którym Ada mogłaby się zatrzymać?

– Właściwie przychodzi mi do głowy tylko jedno. Uroczysko. To taki niewielki pensjonat, prowadzi go bardzo sympatyczna dziewczyna. Zadzwoń do niej i zapytam. Kiedy Ada chce przyjechać?

– Już – odparła krótko Lena. – I myślę, że będzie chciała zostać do połowy stycznia.

– W takim razie się dowiem i oddzwonię. Nie martw się. Zajmiemy się nią tutaj i nie damy narobić głupstw.

– Dziękuję. Aha, i jeszcze jedno... – przerwała na moment, zastanawiając się, jak najtrafniej ująć to, co miała do powiedzenia.

– Tak? – Magda pytająco zawiesiła głos.

– Gdybyś przypadkiem z nią rozmawiała, nie wspominaj ani słowem o urokliwych miasteczkach, rynku, sklepikach, domowej atmosferze. Jej się wydaje, że potrzebuje końca świata. Głuszy i dziczy.

– Mówisz, masz. Zresztą koniec świata dla każdego jest czymś innym. Zadzwoń jeszcze dziś i powiem ci, co i jak.

Madeleine się pożegnała, a Lena odetchnęła głęboko. Z jednej strony wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, wtajemniczając Magdę w sytuację Adrianny, z drugiej zaś czuła się jak podlec. I nawet tłumaczenie, że zrobiła to z dobrego serca, troski i miłości, niewiele pomogło.

– Chyba dopiero teraz rozumiem, co dokładnie mieli na myśli ci, którzy wymyślili przysłowie o piekle i dobrych chęciach – mruknęła, wyciągając z szafki siatkę z ziemniakami.

Jej babcia zawsze mawiała, że na rozterki najlepsze są prozaiczne zajęcia. Obieranie ziemniaków, zdaniem Leny, właśnie do takowych się zaliczało.

Stefan z troską przyglądał się przyjacielowi. Mateusz nie tknął herbaty, która dawno zdążyła wystygnąć. Nie chciał też zjeść kanapki ani nie dał się namówić na zupę jarzynową.

– Nie mam ostatnio apetytu – wyznał w końcu. – W przyrodzie nic jednak nie ginie. Nie mam ochoty na jedzenie, mam za to kłopoty...

– A, daj spokój, przesadzasz – zachnął się Stefan. – Przecież to się da jakoś rozwiązać. Idź do lekarza, niech ci przepisze jakieś tabletki na łaknienie. Oni teraz mają pigułki na wszystko.

– A na to, że moi mnie już nie chcą, też? – Mateusz nerwowo zabębnił palcami o blat stołu.

– Ale jak to cię nie chcą? – Stefan zmarszczył siwe krzaczaste brwi.

– Zwyczajnie, nie chcą. Beatka ostatnimi czasy stale mi wmawia, że chowam im różne rzeczy, że zapominam, że kranu nie zakręcam. A w zeszłym tygodniu zrobiła raban na pół kamienicy, że gaz zostawiłem pod czajnikiem.

– A zostawiłeś?

– A skąd! Pamięć mam tak samo dobrą jak serce. A ono jest na nieszczęście jak dzwon! Bo gdyby nie było, dawno bym już dołączył do swojej Lideczki i twojej Helenki i w nosie miał ten marny ziemski padół.

– Widzę, że mamy wspólne marzenia – mruknął Stefan. – Ale wróćmy do Beaty. Po co ona gada takie rzeczy, jeśli to nieprawda?

– Bo chce, żeby Kamil oddał mnie do domu opieki. Nie chce mnie już. Chce za to wyjechać na święta, a nie siedzieć ze starym teściem w domu. Usiłowała nawet załatwić mi szpital, badania, że niby na zdrowiu szwankuję,

tak cyrklowała, żeby to wypadło koło piętnastego grudnia. Zmawiała się nawet z koleżanką, która tam pracuje, ale tamta chyba w ostatnim momencie się wycofała.

– Ale na co się zmawiała? – nie zrozumiał Stefan.

– No, żebym poszedł i został na święta. To się nazywa w naszym starym slangu „święteczna babka”. Na oddziałach szpitalnych w okolicach świąt, ferii i wakacji jest istny wysyp takich farbowanych chorych, którzy są po prostu podrzutkami. Rodziny wyjeżdżają i pozbywają się sędziwych rodziców, dziadków... Tylko że ja na nieszczęście jestem zdrow.

– Ale może coś ci się wydaje...

– Zdrowy jestem jak koń!

– Przecież ja nie o tym. O domu opieki mówię. – Stefanowi nie mieściło się w głowie, że to, co właśnie usłyszał, może być prawdą. – Przecież tyle im pomagałeś, mieszkanie nawet przepisałeś, wnuczką się zajmowałeś, żeby mogli pracować i wyjeżdżać...

– I co z tego? Wtedy byłem potrzebny. A teraz wszystko już do nich należy. Mają to na papierze. Wnuczka dorosła, zrobiła się samodzielna, nie potrzebuje opiekuna. Wiesz, Stefan, tak sobie czasami myślę, że utrata rozumu nie byłaby taka zła. Pamiętasz Ignasia? Jak chodziliśmy do niego w odwiedziny, a jemu się wydawało, że jesteśmy w jego rodzinnym domu na Polesiu i znów mamy naście lat?

– Pewnie, że pamiętam. W życiu nie byłem w tamtym miejscu, ale Ignas tak sugestywnie o tym mówił, że czułem się, jakbym naprawdę z nim chodził do sąsiadów na szaber, na czereśnie.

– A ja, jakbym rzeczywiście podarł sobie portki na tym płocie, przez który niby przelaziliśmy. – Zaśmiał się pod nosem. – Widziałeś, jaki on był wtedy szczęśliwy? Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest ani w jakim stanie. Czas się dla niego cofnął, znów mógł być tym młodym,

płatającym figle łobuzem. Czy to naprawdę takie straszne, jak nam się wtedy zdawało? Chybabym wolał tak, niż doczekać tego, co mnie teraz spotyka.

– Mateusz, odnoszę wrażenie, że nie powinieneś mówić tego na głos. To proszenie się o kłopoty, nieomal bluźnierstwo.

– I to mówi facet, który co rano wymyśla Panu Bogu?

– Fakt, zważywszy na okoliczności, nie powinienem ci może zwracać uwagi. A co na to Kamil?

– Waha się. Ale widzę, jak podejrzliwie na mnie patrzy. Zresztą Beata prędzej czy później dopnie swego. I będzie to raczej prędzej, bo widziałem, że przyniosła ulotki kilku umieralni. Więc na święta pewnie będę już w nowym lokum. Zresztą o to jej chodzi. Nie wiesz przypadkiem, czy tam będę mógł normalnie wychodzić? Odwiedzać znajomych? – Zawiesił głos i z wyczekiwaniem popatrzył na przyjaciela.

– Nie jesteś ubezwłasnowolniony ani ograniczony w żaden sposób, to chyba nic takiego nie powinno się zdarzyć...

– Ale pewien nie jesteś. Zresztą, to kwestia czasu. Jeżeli Beata uzna, że to dla nich wygodniejsze, to to załatwią. Moja synowa już teraz usiłuje ze mnie zrobić niedołęznego, dzieciinniałego starca.

Mówiąc to, Mateusz znienacka spojrział mu w oczy. Było w nich tyle smutku i bezradności, że Stefana na moment zatchnęło.

– O czym ty w ogóle mówisz? Przecież nie mogą cię, ot tak, oddać do domu starców. – Po chwili doszedł do siebie i poczuł narastającą złość.

– Mogą, mogą. Nie ja pierwszy i nie ostatni. I boję się... – wymamrotał drżącym głosem Mateusz. – Nigdy się tak nie bałem. Nawet w powstaniu, bo wtedy byłem przynajmniej silny, sprawny i zdeterminowany. Umiałem się bronić do końca. I walczyć też umiałem. A teraz już nie. – Zmarszczył siwe krzaczaste brwi i potrząsnął głową. – Jestem zmęczony i sterany życiem. A tyle złych rzeczy się słyszy o takich miejscach. O przechowalniach

starości. I dlatego między innymi przyszedłem do ciebie z prośbą, żebyś od czasu do czasu, przynajmniej z początku, zajrzał, gdy już mnie tam odtransportują. Tak na wszelki wypadek. Bo co, jeżeli oni mnie tam będą przykuwać do kaloryfera...

– Że co mają z tobą robić? – przerwał mu zdumiony Stefan.

– No, oglądałem ostatnio taki serial i tam właśnie...

– Mateusz, bój się Boga, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wierzysz we wszystkie bzdury, które plotą w tych naiwnych filmikach, co? Właśnie mi przypomniałeś moją babkę, która powtarzała do znudzenia, że dobór lektur jest kluczowy. Denerwowała mnie tym okrutnie, bo wykład na ten temat nieodmiennie wiązał się z tym, że znalazła w moim pokoju nieodpowiednią w jej mniemaniu książkę i oczywiście ją skonfiskowała. Iluż przepięknych powieści przez nią nie doczytałem... Miała nosa, szelma jedna, zawsze wyczuwała zakazane lektury. Potem zresztą sama je wertowała z wypiekami na twarzy... Ale ja nie o tym chciałem mówić. Jak tak ciebie słucham, to utwierdzam się w przekonaniu, że babka miała rację. Gdybyś zamiast tych durnych tasiemców oglądał *Ogniem i mieczem* na przykład, to może duch byłby w tobie inny! Serce pokrzepione! A poza tym, o ile wzrok mnie nie myli, to jesteś jeszcze wolny i niezależny. Siedzisz tu i narzekasz, że już nie umiesz walczyć. To się, do cholery, naucz! I nikt cię nigdzie nie odda! No, chyba że po moim trupie! Nie po to cię pilnowałem całą wojnę, wyciągałem z najgorszych tarapatów i nie po to ty uratowałeś mnie w powstaniu, wydostając spod gruzów kamienicy, żebyśmy mieli teraz pozwolić na coś takiego!

– No proszę, a z tobą co się stało? Przed momentem nie chciałeś mi nawet drzwi otwierać, a teraz naszło cię na... Sam nie wiem, jak to ująć.

– Za to ja wiem – oznajmił Stefan już spokojniej. – Na życie mnie naszło. Chyba tego potrzebowałem, żeby mnie ktoś porządnie wkurzył i wytrącił



z tego marazmu, w który wpadłem. I przepraszam cię za to, że przez ostatni rok byłem takim dupkiem. Myślałem tylko o sobie.

– O Heli myślałeś. – Mateusz uśmiechnął się blado.

– Tak, ale to mnie nie usprawiedliwia. Poza tym nieźle mi się dostanie, gdy już się spotkamy po tamtej stronie. Zmyje mi głowę za te moje humory i dąsy.

– Takich kobiet jak nasze żony już się teraz nie spotyka. – Mateusz przysunął talerzyk z kanapką i podniósłszy chleb do ust, ugryzł spory kęs.

– Widzę, że poszedłeś po rozum do głowy i postanowiłeś coś zjeść – powiedział Stefan. – Na szczęście zresztą, bo wyglądasz jak wieszak!

– Co ty powiesz! Może i wisi na mnie koszula, ale przynajmniej ją zmieniam od czasu do czasu. Twoja natomiast przechowuje w sobie wspomnienia kilku, jeśli nie kilkunastu, posiłków. Zupka pomidorowa była jedzona już jakiś czas temu, bo zaschnięta na amen, a to zielonkawe coś, cokolwiek to jest, wygląda mniej archaicznie. I jakby tego było mało, jesteś ziemisty na twarzy od tego siedzenia w zamknięciu.

– A ty.. – zaperzył się Stefan, unosząc zza stołu, ale zamiast skończyć, machnął tylko ręką i niespodziewanie wybuchnął śmiechem. – Od razu mi lepiej. Obaj mamy rację, ja się muszę przebrać, a ty zacząć jeść. A poza tym mylisz się co do tego, że nie ma już kobiet podobnych do Lideczki i Heli. Jedna na pewno jeszcze się ostała. Rozmawiałem z nią przedwczoraj przez telefon...

– No proszę, to jest ktoś, od kogo odbierasz? Czym ta dama sobie zasłużyła na taki zbytek łaski? – Mateusz wyraźnie się ożywił.

– Przede wszystkim tym, że jest daleko, nie musiałem więc się obawiać, że będzie wystawać pod moimi drzwiami, przynosić rosółek ani troszczyć w jakiś konkretny sposób. Zresztą ty też ją znasz. Ale o to mniejsza, wspominałem o niej nie po to, żebyś mógł się wyzłośliwiać, tylko dlatego, że

coś mi przyszło do głowy. To będzie taka nasza ostatnia akcja – dodał podekscytowany i znacząco popatrzył na zaintrygowanego Mateusza.

\* \* \*

Marlena z niecierpliwością raz po raz zerknęła na leżącą na stole komórkę. Madeleine nie dzwoniła.

– Wyluzuj trochę, za bardzo chcesz mieć wszystko pod kontrolą – szepnął jej do ucha Krzysztof.

W przystępie szczerości wtajemniczyła go w cały plan i właśnie zaczynała tego żałować. A świadomość, że mąż ma rację, wcale jej nie pomagała.

Niechże ona wreszcie zadzwoni, a Ada klepnie tę rezerwację! Wtedy będę mogła trochę odetchnąć, pomyślała i ponownie zerknęła na komórkę, która w tej samej chwili się rozdzwoniła.

– A już myślałam, że o mnie zapomniałaś – rzuciła Lena do słuchawki, pokazując Adzie uniesiony do góry kciuk. – Poczekaj, dam ci Adrianę, w końcu to ona będzie decydować – dodała, mając w pamięci uwagi Krzyśka, i nie czekając na odpowiedź Magdy, podała przyjaciółce telefon.

– Cześć – rzuciła Ada, odwracając się do okna. – Mam nadzieję, że nie narobiłyśmy ci kłopotu.

– Czym? W końcu to żadna sztuka zadzwonić i zadać pytanie – roześmiała się Magda. – Swoją drogą muszę ci powiedzieć, że mimo iż tyle lat już się nie widziałyśmy, wszędzie poznałabym cię po głosie. Choć szczerze mówiąc, wolałabym się spotkać i pogadać. Ale skoro niedługo przyjeżdżasz, to pewnie będzie ku temu okazja.

– Pewnie tak, czyli znalazłaś dla mnie miejsce w tym pensjonacie?

– Miejsce znalazłam, gorzej z lokalizacją. W Uroczysku, tam gdzie miałaś się pierwotnie zatrzymać, wszystko jest zajęte. I to od dawna. Ludzie

wykupują pobyt w okolicach świąt i na święta z dużym wyprzedzeniem. Ale nie ma to znaczenia, bo znalazłam inną opcję.

– Świetnie, naprawdę wiele nie potrzebuję. Łóżko i łazienka. I marzy mi się widok na góry.

– To rewelacyjnie, bo ten pokój, o którym myślę, jest z własną łazienką, położony tak, że jeżeli nie będziesz miała ochoty spotykać ludzi, to nie będziesz musiała. Spokojny i cichy. Z okna rozpościera się przepiękny widok na góry, a pod dom podchodzą sarny. Tylko budynek leży nieco na uboczu. Do miasteczka trzeba jeździć autem. No i jest kłopot z zasięgiem. Właściwie jedynym pewnym miejscem, gdzie sieć po prostu występuje, jest jedna sztacheta w płocie. Dla ułatwienia pomalowana na czerwono. W związku z tym to taki trochę koniec świata. A, i jest jeszcze kuchnia do dyspozycji.

– O, kurczaczki, i mówisz, że poza tym jednym miejscem nie ma tam naprawdę zasięgu?

– Tak. Jest z nim pewien problem, mniej więcej taki jak z gatunkami na wymarcu: rzadko się go spotyka, ale mam nadzieję, że to cię nie zniechęca.

– Wręcz przeciwnie! To ogromny plus – powiedziała Ada z ulgą, myśląc o tym, że nie będzie musiała na bieżąco odczytywać esemesów od matki. – I mówisz, że sarenki przychodzą pod okna?

– Stadami – zapewniła Magda. – To co, bierzesz?

– Pewnie, że biorę, to są idealne warunki! O takich właśnie marzyłam! To gdzie jest to najpiękniejsze miejsce na ziemi?

– U mnie. Cieszę się, że ci się oferta spodobała. Niech mi Marlena podeśle twój numer telefonu, to wyślę ci esemesem adres. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. A teraz pozwolisz, że będę kończyła, bo tak jak wspominałam, zasięg jest tylko pod płotem, w jednym miejscu, i jeżeli natychmiast się nie ruszę, to odpadną mi stopy. Już tak mi zgrabiały, że zupełnie ich nie czuję. A właśnie, za pamięci, zabierz ze sobą ciepłe obuwie, takie porządne. Jeżeli

lubisz kozaczki na wysokim obcasie, to oczywiście możesz przywieźć, postawić na półce i napawać się ich widokiem, ale do chodzenia na zewnątrz to ci się nie przydadzą. Zdzwonimy się. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia – odpowiedziała Ada odruchowo i zdumiona zagapiła się na trzymany w dłoni telefon.

Jak to się stało, że się na to wszystko zgodziłam? – zdziwiła się w duchu, ale nie znalazła na to pytanie satysfakcjonującej odpowiedzi.

Madeleine rozłączyła się i odetchnęła z ulgą. Z jej ust uniósł się obłoczek srebrzystej pary. Było pieruńsko zimno. Dobrze, że udało jej się tak poprowadzić rozmowę, że niczego nieświadoma Ada najpierw się zachwyciła, potem zgodziła na wszystko, a dopiero później zapytała o szczegóły.

– Niezła jestem, brawo ja! – mruknęła Madeleine sama do siebie z uznaniem.

W końcu praktyka czyni mistrza – pomyślała. – Każdy, kto wychowuje trójkę dzieci i męża, żeby przetrwać, musi do perfekcji opanować sztukę manipulacji.

Oczywiście stosowanej tylko w sytuacjach bezwzględnie koniecznych. A tutaj właśnie z taką miała do czynienia.

Wiedziała od Marleny, że Adrianna nie będzie się chciała u niej zatrzymać.

Pewnie się bała, że cały czas będzie musiała spędzać ze mną, albo zwyczajnie się krępowała. – Zamyślona Madeleine roztarła zgrabiące dłonie, zadarła głowę i zapatrzyła się w niebo.

Zza chmur przebijał się rozmytą poświatą księżyc. Jego blask sprawiał, że wszystko wokół się srebrzyło i wyglądało tajemniczo i magicznie.

Zadziwiające, tyle lat się znałyśmy, na uczelni niejeden numer razem wykręcałyśmy, wypiliśmy hektolitry wina, a jednak się okazuje, że to nie wystarczy, żeby poznać drugiego człowieka; myśląc to, Madeleine poczuła nagły smutek. Nic o niej nie wiedziałam i gdybym miała wtedy cokolwiek powiedzieć, pewnie bym stwierdziła, że ma zwyczajny, normalny dom, bo przecież takie jak my, z fiu-bździu w głowach, musiały w cieplarnianych

warunkach wyhodować swoją beztroskę. A tymczasem, jak widać, różnie bywa.

Ale dość już tych ponurych rozmyślań – skarciła się w duchu. – Najważniejsze, że misja się powiodła, dziewczyna nie będzie całkiem sama, a dla mnie odstąpienie jej pokoju to żaden problem. Przynajmniej ogrzewanie nie będzie chodziło bez sensu. Swoją drogą z tego, co opowiadała Marlena, to z tej jej mamuśki jest niezła wydra. Chyba natychmiast zadzwonię do mojej i powiem jej, że bardzo ją kocham – postanowiła, idąc w kierunku domu.

Jednak telefon do mamy musiała odłożyć na później, bo gdy otworzyła drzwi, nieomal się zderzyła z wychodzącym ze środka mężem. Michał wyglądał na znękanego.

– O jesteś, a już myślałem, że uciekłaś z domu, i miałem zamiar iść w twoje ślady. Jesteś pewna, że chcesz tam wejść? Bo jeszcze możemy zmienić zdanie i wymknąć się niepostrzeżenie, i zamieszkać w miłym, cichym szalasie...

– Które tym razem? – zapytała, cmokając go w policzek i przysiadając na stołeczku, żeby zdjąć botki.

– Ja cię, ty wredna małpo, zamorduję! Bez litości! – usłyszała w tej samej chwili wrzask dobiegający z góry.

– Aha, Ania i Marcyska – odpowiedziała sama sobie.

– Dokładnie. Marcysia wysłała swoje schorowane lalki do sanatorium i zaleciła im uzdrawiające, aromatyczne kąpiele. A właśnie, za pamięci, w kuchni na blacie stoi słoik z chomikiem, uważaj, żeby Katastrofa się do niego nie dobrała.

– A czemu chomik wylądował w słoiku? Też ma jakiś zabieg uzdrawiający? – zaciekawiła się Madeleine.

– A nie, chomik został eksmitowany z klatki, bo ta ostatnia idealnie

nadawała się na celę więzienną, w której siedzi występny bobas.

– Jaki bobas?

– Występny, uwodził i oszukiwał naiwne kobiety, został jednak złapany na gorącym uczynku. Nie wiesz przypadkiem, czym to dziecko się inspirowało, jeżeli chodzi o bobasa?

– Przypuszczam, że albo *Komisarzem Aleksem*, albo *Ojcem Mateuszem*. Mam nadzieję, że Marcyśka w końcu wyzdrowieje, w przeciwnym razie telewizor wyzionie ducha. W życiu nie był tak eksploatowany. Dziś poza serialami, o których wspomniałam, na tapecie było coś w rodzaju „zostań piękną” czy jakoś tak. Czy mi się wydaje, czy one się tłuką? – zainteresowała się, bo z góry zaczęły dobiegać łomoty i piski.

– Raczej ci się nie zdaje – mruknął Michał. – Zaleją całą łazienkę – dodał zrezygowany, gdy usłyszał charakterystyczny odgłos chlupotania.

– A czemuż to Ania się wścieka? Skoro Marcysia tak ładnie się bawi, powinna być raczej szczęśliwa...

– Zapomniałem powiedzieć najważniejszego. – Michał odebrał z jej rąk kurtkę i jednym sprawnym ruchem wrzucił ją na górę przepełnionego wieszaka. – Marcyśka do aromatycznej kąpieli lał zużyła całą buteleczkę perfum Ani.

– Tych samych, na które jej siostra pół roku odkładała pieniądze? – zapytała dla porządku, choć wiedziała, co usłyszy.

– Właśnie. Coś mi się zdaje, że musimy tam jednak pójść, chyba że pozwolimy im się pomordować.

– Nie kuś. – Magda z westchnieniem ruszyła na górę po schodach. – Ja to załatwię, ty idź poczytać Franiowi. Lepiej, żeby przynajmniej on mi się nie plątał pod nogami, gdy będę przywoływać je do porządku – dorzuciła.

Do łazienki dotarła w momencie, gdy Ania usiłowała sforsować żywą zaporę w postaci swojej siostry, która jak lwica broniła dostępu do wanny

pełnej pływających lalek.

– Spokój! – ryknęła Madeleine. – Co tu się dzieje, drogie panie?

– Właśnie staję się siostróbójką – wyjaśniła Ania i zazgrzytała z wściekłości zębami. – Ale zanim się do niej dobiore, wpierw poodrywam tym czupiradłom głowy. – Wskazała na wannę.

– Ciociu kochana, dobrze, że jesteś – pisnęła Marcysia. – Ona do reszty zwariowała. A do klatki chomika się nie zmieści. Może ty wymyślisz, gdzie by można ją upchnąć.

– Poczekaj, już ja cię, małpo, upchnę! – wrzasnęła Ania. – Moje perfumy, do ostatniej kropelki, wylała do wanny!

– Dobrze, dość! – Madeleine obrzuciła dziewczynki groźnym spojrzeniem i poczuła, jak jej grube skarpety przesiąkają wodą.

Podłoga była cała zalana. Magda westchnęła, stwierdzając w duchu, że trudno zachować postawę pełną godności i powagi, gdy przy każdym ruchu wydaje się plaskające odgłosy.

– Marcysiu, naprawdę wzięłaś jej perfumy? – zwróciła się do dziewczynki, choć pytanie nie było konieczne, bo całą łazienkę wypełniał duszny aromat.

– Ale to dla zdrowia. One wszystkie były strasznie schorowane – wyjaśniła Marcysia obronnym tonem. – A sama mówisz, że zdrowie jest najważniejsze.

– No, to jakoś szczególnie nie ozdrowiały, wyglądają raczej, jakby nic już nie mogło im pomóc – skwitowała Madeleine, zerkając do wanny, w której większość kuracjuszek nowatorskiego sanatorium spoczywała na dnie. – Aniu – zwróciła się do dziewczynki – jutro pojedziemy do Wrocławia i odkupię ci te perfumy.

– A ja? Zabierzecie mnie ze sobą? – Marcysia natychmiast porzuciła swoje pacjentki i stanęła przed Magdą, składając błagalnie dłonie.



– A ty, moja panno, po pierwsze jesteś chora i nie możesz wychodzić z domu, a po drugie musisz odpokutować swoje winy. Galeria handlowa nie jest najlepszym miejscem do umartwiania się, sama więc rozumiesz... Poza tym przez następne dwa tygodnie będziesz zamiast Ani odkurzała cały dom i zmywała po kolacji. W ramach zadośćuczynienia.

– To niech ciocia od razu do tego dołoży sprzątanie waszej sypialni – poradziła jej już nieco spokojniejsza Ania.

– A co wspólnego z tą sytuacją ma nasza sypialnia? – Madeleine ze zdumieniem uniosła brwi.

– Sypialnia niewiele, ale coś mi się wydaje, że tobie też przyda się zadośćuczynienie. – Dziewczynka znacząco popatrzyła w przeciwległy róg łazienki.

Magda podążyła oczami za jej wzrokiem i znieruchomiała. Na zamkniętej klapie sedesu siedziała największa lalka Marcysi, głowę miała zawiniętą ręcznikiem, a plastikową twarz pokrytą grubą warstwą kremu. Widząc leżące obok pudełko, Madeleine bezwiednie jęknęła.

– O matko! Mój super ekstra, makabrycznie drogi krem pod oczy! Marcyska, ja cię chyba... – przerwała i wzięła głęboki oddech.

– Miała straszne owrzodzenia i intymne choroby. Mogłaby ciocia wziąć to pod uwagę. – Marcysia spojrzała na nią z urazą.

– Intymne choroby na twarzy? – Madeleine zrobiła wielkie oczy. – Dziecko, czego ty się naoglądałaś? Chyba najwyższy czas bliżej się przyjrzeć tym programom! A w ogóle to masz szlaban na telewizję! Dobrze ci zrobi! A teraz obie możecie zakasać rękawy i brać się do wycierania łazienki.

– Ja też? – Ania spojrzała na nią oczami skrzywdzonego spaniela.

– Tak, ty też. Obie nachlapałyście, obie posprzątaacie – zakomenderowała Magda. – Podobno nic tak nie wzmacnia miłości siostrzanej jak wspólna niedola – dodała, usiłując nie słuchać wybuchającej za jej plecami sprzeczki.

I co ja naopowiadałam przez telefon Adriannie? Że jest tu cicho, spokojnie i że jeśli nie będzie chciała, to żywej duszy nie zobaczy? – zapytała się w duchu, idąc do kuchni. – No, to chyba za bardzo się dałam ponieść fantazji... Chociaż, wzięwszy pod uwagę całokształt, przy odrobinie dobrej woli można by przyjąć, że ten konkretny pokój, w porównaniu z resztą domu, to istna oaza spokoju. I tego się będę trzymała – postanowiła, wstawiając wodę na herbatę.

**M**ateusz wyszedł od Stefana późnym wieczorem. Plan mieli opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Przynajmniej ten dotyczący następnego dnia.

– Pamiętaj, musisz się wymknąć z domu niezauważony. I na litość boską, niech ci nie przyjdzie do głowy już dziś wyciągać walizki! – Stefan był wyraźnie podekscytowany.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto zrobiły coś tak głupiego? – oburzył się Mateusz, który właśnie rozważał taką możliwość.

– Już ja cię dobrze znam. Zawsze byłeś narwany i niecierpliwy – wytknął mu przyjaciel. – Spakujesz się jutro, jak twoja synowa pójdzie do pracy. I pamiętaj, żebyś zostawił im wiadomość.

– I co, mam nie pisać, dokąd wyjeżdżam?

– A chcesz, żeby nam przeszkadzili? Poza tym jeszcze wcale nie wiemy, czy gdziekolwiek się wybierzemy. Muszę przecież do niej zadzwonić i zapytać. Wprawdzie wydaje mi się, że to tylko formalność, ale wiesz, z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo.

– Nooo, szczególnie z takimi grubo po osiemdziesiątce! One są wyjątkowo nieprzewidywalne – parsknął śmiechem Mateusz. – Wiesz co, powiem ci, że nie do końca wiem, czemu ten nasz plan ma służyć, ale to właśnie podoba mi się w nim najbardziej. Martwię się tylko, co twoi na to powiedzą. W końcu chcesz wyjechać na święta.

– Tym się zupełnie nie przejmuj. Będą szczęśliwi. Od roku usiłują mnie zmusić do życia. Zresztą zrozumieją. Bo... – zawahał się.

„Mnie kochają”. Tak miał powiedzieć, ale w ostatnim momencie ugryzł

się w język.

Nie powinno się mówić czegoś takiego komuś, kto właśnie wyznał, że po wielu latach oddania i miłości ci, których ukochał ponad wszystko, chcieli się go pozbyć. Jak starego, nic niewartego, zużytego mebla.

Tym razem, zanim położył się spać, zerknął na stojącą na brzuchatej komodzie fotografię Heli. Patrzyła z niej zalotnie spod oka, uśmiechając się tak, że widać było dołeczek w policzku.

– Słuchaj, wiem, że nawaliłem – mruknął w jej kierunku – ale teraz też nie wiem, czy dobrze robię. To jakieś szaleństwo. Daj mi, proszę, jakiś znak, cokolwiek, bym wiedział, że to ma sens. Dobrze?

Ujął fotografię w dłoń, pogładził czule ramkę i delikatnie odstawił z powrotem.

Usnął wyjątkowo szybko. Gdy następnego dnia otworzył oczy, z przyzwyczajenia jak zawsze spojrzął na drugą połowę łóżka. Była pusta. Już się miał podnieść, gdy jego wzrok padł na leżącą po Helinej stronie poduszkę. Zamrugął z niedowierzaniem, ale obraz nie zniknął. Na poduszce było wgłębienie, tak jakby właśnie ktoś się podniósł i został odcisk po jego głowie. A we wgnieceniach na materiale wyraźnie widział dobrze znany kształt warkocza.

Po raz pierwszy od ponad roku jego prośba została wysłuchana. Hela dała mu znak.

Zanosiło się na to już od dwóch dni. W wiadomościach podawali, że śnieg pada w całym kraju. Malownicze jeszcze się do tej całości nie zaliczało, choć dziś z całą pewnością miało się to zmienić. Wystarczyło, że po wyjściu na dwór odetchnęła pełną piersią, i już wiedziała.

Powietrze nabrało specyficznej rzeźkości, wiatr ustał, a dwa anioły, które postawiła na wystawie, zastygły w oczekiwaniu. Co rano, od razu po wejściu do sklepu, Leontyna pieścizotliwie gładziła je po gipsowych loczkach. Teraz też ledwo przekroczyła próg, pochyliła się nad pierwszym z nich. W duchu nazywała go aniołem zadziornym, bo miał lekko uniesiony nosek. Od razu było widać, że płatał figle i przyklaskiwał wszelkim psotom.

Zobaczywszy go, starsza pani pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko temu, by jej własny Anioł Stróż był choć trochę podobny do niego.

– Razem stanowilibyśmy niezły duet... – mruknęła, strzepując z gipsowych loczków drobinę kurzu. – I niejeden żart byśmy wspólnie wymyślili. A jeszcze gdybyś od czasu do czasu wieczorem dał się skusić na kieliszeczek nalewki... – przerwała w pół zdania, bo przyszło jej do głowy, że jednak nie godzi się rozpijać anioła. Nawet jeżeli jest tylko gipsowym, pulchnym cherubinem. – A u ciebie co słyhać? Nicco lepiej? – zagadnęła do drugiego, siedzącego kawałek dalej.

Choć też gipsowy i okrągły, był całkowitym przeciwieństwem swego zadziornego brata. Próżno było szukać na jego pyzatej twarzy choć cienia wesołości. Zamiast niej malowała się bolesna zaduma, podkreślona lekko obtłuczonym czołem i nadkruszonym skrzydłem.

Niezbity dowód na to, że lepiej życie traktować z lekkim przymrużeniem oka i dystansem, pomyślała Leontyna, wpatrując się w zafrasowane oblicze.

Może gdyby był bardziej beztroski i czupurny, tak jak gipsowy brat, nie rozbiłby czoła i skrzydło ocalił...

– Ale na pewno nie byłbyś tak charakterystyczny. – Pogładziła go pieśczoćliwie po policzku.

Jej wzrok powędrował za szybę i w tej samej chwili na twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Stało się! Za oknem lekko i zwiewnie, od czasu do czasu podrzucane wiatrem, wirowały płatki śniegu. Leontyna nachyliła się i zupełnie jak za dawnych czasów przykleiła nos do szyby, z zachwytem patrząc na małe białe drobinki.

Pierwszy śnieg był czarodziejem. Sprawiał, że na moment znikają lata, czas, który już dawno przeminął. Znikał nawet ukochany Kuferek, obecni przyjaciele i całe Malownicze. Starsza pani na powrót zmieniała się w małą dziewczynkę, która z zachwytem spoglądała na śniegowy taniec. Świat znów był dobry i bezpieczny, a całe życie stało przed nią otworem i kusilo tym, co miało nadejść. Pierwszy śnieg zwiastował niepowtarzalną zimową magię: saneczkowych szaleństw, oczekiwania na Świętego Mikołaja, zapachu cynamonu i goździków... Trwało to ledwie kilka sekund, ale nie oddałyby ich za nic. To jedyna taka chwila w roku. Chwila, w której czas biegł wstecz.

Leontyna być może trwałaby dłużej w tym pełnym nostalgii zachwycie, ale do rzeczywistości przywołał ją zdumiony wzrok przechodzącej pod sklepikiem, okutanej w chustę babiny. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że – w przeciwieństwie do Leontyny – śnieg wcale jej nie cieszy. Tak samo jak rozpłaszczony na szybie nos właścicielki Kuferka. Jej mina wyraźnie informowała, co myśli o zdzieciniałych staruszkach, które nie wiedzieć czemu ekscytują się na myśl o nadchodzącej zimie.

Leontyna z rozbawieniem pokręciła głową i odprowadziła wzrokiem korpulentną, nabzdyczoną postać. A potem znów objęła spojrzeniem śnieg. Płatki wirowały i niesione wiatrem co chwila zmieniały kierunek. Starsza

pani przypomniała sobie swoją babcię, która podobnie jak ona teraz, co roku wypatrywała pierwszego śniegu i bacznie mu się przyglądała. „Zima będzie spokojna”, wyrokowała, gdy płatki łagodnie spadały na zielone gałęzie świerków i sosen. „Tym razem czeka nas niejedna niespodzianka”, mruzczała, gdy śnieg pojawiał się w towarzystwie podmuchów wiatru.

– Jeżeli wierzyć tym wróżbom, tej zimy na nudę nie będziemy narzekać – mruknęła Leontyna, patrząc, jak płatki śniegu energicznie wirują w podmuchach wiatru.

Z zadowoleniem zatarła dłonie.

I dobrze! Szczerze mówiąc, jak na jej gust ostatnie dni były zbyt spokojne i drobne urozmaicenie bardzo by się przydało.

Ledwie to pomyślała, a tuż przed jej sklepem zatrzymała się spora dostawcza furgonetka, z której wyskoczyło dziewczę w rozpiętej kurtce, z szalikiem niefrasobliwie zarzuconym na ramię. Widząc to, Leontyna zacmokała z przyganą i wzięwszy się pod boki, wpatrzyła w drzwi. Tak jak przewidywała, po chwili te się otworzyły z impetem i stanęła w nich Marysia, córka sympatycznej właścicielki pensjonatu Uroczysko.

– Nie! – powiedziała Leontyna, nie dając dziewczynie dojść do głosu. – Nie, nie i jeszcze raz nie – powtórzyła dobitnie.

– Ale pani Leosiu, najukochańsza, jeszcze nawet nie zdążyłam ust otworzyć!

– Właśnie dlatego wykorzystałam jedyną sposobność, żeby ci to powiedzieć. Zanim zagadasz mnie na śmierć. A poza tym, młoda damo, jak ty wyglądasz! Śnieg zaczął padać, zimno jak diabli, a ty biegasz po dworze półnaga! Chcesz się zaziębić na śmierć?

– Skoro o diabłach mowa, to ponoć złego nie biorą – machnęła tamta ręką. – Mama powiada, że niestety ten świat jest tak urządony, że głupcy, nie wiedzieć czemu, żyją najdłużej i cieszą się doskonałym zdrowiem. Toteż



profilaktycznie postanowiłam być umiarkowanie mądra, za to długowieczna.

– Chytry plan, jednak z uwagi na moje nerwy i kruche zdrowie mogłabyś zapiąć kurtkę i ciasniej zawiązać szalik. Od samego patrzenia dostaję gęsiej skórki. – Leontyna z trudem ukryła uśmiech.

– Kruche zdrowie, akurat! Pani to nas wszystkich przeżyje! Ale oczywiście już zapinam, zwłaszcza że musimy wyjść na zewnątrz.

– Aha, zaczyna się – burknęła starsza pani. – Przecież już powiedziałam: nie.

– Mam nie zapinać i nie zawiązywać? – Dziewczyna zrobiła niewinną minę, udając, że zupełnie nie rozumie, o co chodzi.

– Marysiu, nie ściemniaj! Nigdzie nie idę.

– Ale musi pani, jak inaczej mam pokazać to, co przywiozłam?

– No i dochodzimy do sedna, nie chcę tego oglądać. Rozejrzyj się, dziecko, dookoła. – Leontyna sugestywnie zakreśliła ręką krąg wokół siebie.  
– Nie ma miejsca. Wnętrze Kuferka wręcz pęka w szwach, po jakie więc lichy mam się wystawiać na pokuszenie?

– Pani Leosiu, no niech mi pani tego nie robi – jęknęła dziewczyna, składając błagalnie dłonie. – Niech pani chociaż popatrzy, da mi szansę, bo jeżeli ja z tym całym majdanem wrócę do domu, to mama z pewnością mnie zamorduje. A skoro już pani o tym powiedziałam, to pośrednio będzie pani odpowiedzialna za mój przedwczesny zgon. A już mówiłam, że postanowiłam być długowieczna. Nie można tak z zimną krwią pozbawiać ludzi nadziei i marzeń. A poza tym proszę pomyśleć, że przecież mogłabym mieć tak piękne i obfitujące w niejeden skandal życie... – Marysia zabawnie zatrzepotała rzęsami.

Patrząc na nią, Leontyna wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, jak skapitulować. Gdyby chodziło o kogoś innego, pewnie wytrwałaby w swoim postanowieniu niekupowania, niepatrzenia i nieulegania. Ale w końcu to była

Marysia, córka tej szalonej głowy, Majki. A tak się składało, że starsza pani lubiła i jedną, i drugą.

– Cóż, przy takich mocnych argumentach nie pozostaje mi nic innego, jak skapitulować – przerwała jej rozbawiona Leontyna. – Szczególnie te skandale mnie przekonały. Dla wścibskiej i samotnej staruszki nie ma nic bardziej pociągającego niż pikantne szczegóły życia naszych bliźnich.

– Pani Leontyno, jest pani aniołem – rozpromieniła się Marysia.

– Spokojnie, jak na razie, zgodziłam się tylko rzucić okiem na to, co tam masz. – Uśmiechnęła się lekko.

– Ale to zawsze daje nadzieję. Tym bardziej że wcale nie przesadziłam, mówiąc, że mama mnie żywcem ze skóry obedrze, jeżeli jej to wszystko przywiozę. Dzisiaj przyjeżdża do nas grupa jakichś śmiertelnie poważnych matron, szukających wytchnienia, skupienia i piękna zewnętrznego, które pomoże im odnaleźć piękno wewnętrzne. Tak napisały w mailu, a moja szalona matka zapewniła je kłamliwie, że Uroczysko się idealnie do tego nadaje...

– A nie nadaje się? – Leontyna pytająco uniosła brwi.

– A jak pani sobie wyobraża to wytchnienie i skupienie w domu pełnym psów, kotów, rozwrzeszczanych dzieci... Do nas raczej pasują osobnicy szukający ekstremalnych przeżyć, jazdy bez trzymanki, ewentualnie ci, którzy dopiero chcą założyć rodzinę i się przekonać na własnej skórze, czy potrafią przeżyć to piekło, potocznie zwane sielanką domową. Mówiłam mamie, że powinna się zastanowić nad turnusami... takim, wie pani... survivalem przedmałżeńskim. Nie dość, że my nic nie musielibyśmy robić, poza byciem sobą, rzecz jasna, to na dodatek nikt takich usług nie oferuje. A to już coś. W tej chwili trudno wpaść na coś oryginalnego. W branży turystycznej praktycznie wszystko już było...

– Hmm... rzeczywiście brzmi ciekawie i nowatorsko... Ale nie całkiem

rozumiem, co do wizyty owych matron mają rzeczy w furgonetce? – przerwała ten wywód nieco skołowana Leontyna.

– No, jak to co? Skoro spokój, cisza i harmonia odpadają, to niech przynajmniej dostaną to piękno zewnętrzne. A czy to się uda, od tej chwili zależy tylko i wyłącznie od pani.

– Ode mnie? – Zdumienie starszej pani rosło z minuty na minutę.

– Oczywiście, bo jeśli nie uda mi się zbyć zawartości tej furgonetki, to będę musiała zrobić wyładunek na podwórku. Samochód należy do ojca Jaśka, mojego kolegi, i obiecaliśmy odstawić go jeszcze dziś przed południem. A że moja stodoła przestała się ostatnio domykać, musiałabym to wszystko zostawić przed domem. Bo z tyłu jest ogród, ule i nie ma wjazdu. A co za tym idzie, pierwsze, co zobaczą spragnione piękna miastowe wdychulce, to będzie graciarnia.

– Oj, dziecko kochane, to czemu w takim razie w ogóle zabierałaś te rzeczy? – Starsza pani z lekką naganą w głosie pokręciła głową i podreptała za dziewczyną. – Skoro nie ma miejsca... – przerwała, bo właśnie w tej chwili Marysia otworzyła tylne drzwi samochodu i oczom Leontyny ukazał się ciężki dębowy stół. Ogromny, z grubym blatem, który aż zapraszał, żeby przy nim usiąść, podumać, wypić herbatę.

A nad nim powinna wisieć lampa z zielonym kloszem – pomyślała, nie mogąc oderwać od niego oczu. – Taka na łańcuszkach, rzucająca chybotliwe cienie...

– Teraz pani rozumie, dlaczego nie mogłam go zostawić? – z zamyślenia wyrwał ją głos Marysi. – Chcieli nim w piecu napalić. Liczyła się każda minuta.

– Dobrze, w takim razie potrzebne nam są silne męskie ramiona. – Leontyna uznała, że owijanie w bawełnę na nic się nie zda.

Nie pozwoli, żeby ten stół stał się bezdomny. I by stał pod gołym niebem

narażony na kaprysy pogody. Marysia dobrze wiedziała, co robi, namawiając ją do tego, by rzuciła choć okiem na wnętrze furgonetki.

– Trzeba zrobić małe przemeblowanie w Kuferku, a potem dotargać tam tego kolosa – dodała z westchnieniem.

– Z tym nie będzie najmniejszego problemu – rozpromieniła się dziewczyna. – Chłopaki, wysiadka! – zawołała i z szoferki wyskoczyło dwóch rostrych młodzieńców. – Miejsce w sklepie trzeba zrobić, żebyśmy to wszystko mogli tam wyładować. Dużo miejsca... – uzupełniła i poszła przodem, nie czekając na reakcję Leontyny, która dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że we wnętrzu auta jest jeszcze sporo rzeczy, które już niebawem miały trafić do jej sklepu. Nawet się nie zdziwiła, gdy wśród nich zobaczyła zieloną lampę. Dokładnie taką, jaka powinna wisieć nad starym dębowym stołem.

Gdy starsza pani została z nim sam na sam, z czułością pogładziła go po blacie. Wystarczyła chwila, by zrozumiała, z jakim wyjątkowym przedmiotem ma do czynienia.

Setki, a może i tysiące rzeczy przewinęło się przez jej sklep. Każda z nich emanowała swoistą aurą. Były przedmioty niecierpliwie, które wręcz rwały się do nowych właścicieli, nie chciały czekać na wygodnych półkach, pragnęły natychmiast ruszyć w świat. Leontyna przypuszczała, że u tych, którzy je kupowali, również nie zagrzeją zbyt długo miejsca. Takie włóczykije najszybciej wyfruwały od niej ze sklepu. Z żadnym z nich nie zdążyła się zaprzyjaźnić, ale z całego serca życzyła im wszystkiego najlepszego. Były też rzeczy tęskniące, które nie chciały się pogodzić z odejściem z dobrze znanych domów. Te wymagały specjalnej opieki. Starsza pani już nieraz otulała zrozpaczone blaty stolików szydełkowymi serwetami, rozgrzewała gorącą, aromatyczną herbatą wnętrza pogrążonych w nostalgii porcelanowych filiżanek, wysłuchiwała płaczliwej skargi

brzmiającej w biciu zegarów, które do tej pory przez wiele pokoleń odmierzały czas konkretnej rodzinie. Tęskniące zostawały z nią dłużej. Wzdychały, trzeszczały, a czasem w inny sposób opowiadały część swej historii. Była też trzecia kategoria, najrzadsza. Ta wywoływała u Leontyny charakterystyczny, niepowtarzalny dreszcz. Były to przedmioty, które czekały na konkretnego człowieka i za które właścicielka Kuferka czuła się szczególnie odpowiedzialna.

Coś jej podpowiadało, że stary stół należy do tych dwóch ostatnich.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – pocieszyła go, przecierając blat miękką ściereczką.

Chciała też odkurzyć wnętrza szuflad, ale te za nic się nie dawały otworzyć. Leontyna po kilku bezowocnych próbach dała sobie spokój z szarpaniem mosiężnych uchwytów.

Cóż, w najbliższym czasie będę musiała kogoś zawołać, żeby się z tym uporał – pomyślała.

Jeszcze tego samego dnia do sufitu, tuż nad dębowym blatem, został wkręcony hak, na którym zawisła zielona lampa. Starsza pani wiedziała, że tych dwoje nie powinno się rozdzielać. O zacinających się szufladach zapomniała na amen.

Tego dnia Leontyna wróciła z Kuferka dużo później niż zwykle. Okazało się, że furgonetka była bardzo pakowna i trzeba było się wykazać niezłą pomysłowością, żeby wszystkie świeże nabytki upchnąć na półkach. A i tak do rozpakowania zostało jeszcze kilka niewielkich kartonów.

Ale nimi będę się martwiła jutro – postanowiła, wchodząc do domu i prawie potykając się o stojącego tuż za progiem Barnabę.

Kocur był wyraźnie zde gustowany. Leontyna miała nawet wrażenie, że wymownie zerknął na zegar.

– Oho! Wyczuwam dąs. Gdybyś tylko mógł mówić, toby mi się nieźle dostało – pokiwała głową. – Zawsze wyglądałeś na kociego zrzęde, ale widać z wiekiem ci się to pogłębia. Na szczęście dość łatwo cię udobruchać – dodała, wyciągając z szafki puszkę z tuńczykiem. – No i proszę, sprawa załatwiona. – Uśmiechnęła się, czując, jak Barnaba zaczyna ocierać się o jej nogi. – Twoje zamiłowanie do jedzenia ostatnimi czasy wymknęło się spod kontroli i niestety zacząłeś niepokojąco przypominać gruszkę. Mały łeppek, duża reszta... – Zerknęła na niego z przyganą, ale nie wydawał się zbyt przejęty.

Postawiła przed nim napełnioną miseczkę i poszła do łazienki. Była wykończona i marzyła o ciepłej kąpieli. Ledwo jednak weszła do wanny, w pokoju rozdzwonił się telefon.

– Mogłam się tego spodziewać... – wymamrotała, pospiesznie owijając się ręcznikiem.

Już dawno zauważyła pewną prawidłowość. Gdy miała komórkę pod ręką, ta mogła milczeć przez cały dzień. Ale wystarczyło na moment o niej

zapomnieć, nie wyjąć z torebki, porzucić w drugim pokoju i natychmiast się rozdzwaniała.

Leontyna dopadła jej, gdy wygrywała ostatnie takty melodyjki. Nacisnęła zieloną słuchawkę i przytknęła telefon do ucha.

– O, Stefcu, to ty? – Ze zdumieniem uniosła brwi.

Nie pamiętała, żeby Stefan kiedykolwiek do niej dzwonił. Najpierw to Helenka telefonowała, a potem, gdy odeszła, Stefan zapadł się w sobie i stało się jasne, że sam nie będzie szukał kontaktu. To o nim trzeba było pamiętać.

– Tak jakby. – Usłyszała, że brzmi zupełnie inaczej niż ostatnio. Głos miał dużo bardziej dziarski.

– Dobry wieczór, Stefcu. – Postanowiła nie dać po sobie poznać, że jest zdziwiona. – Widzę, że pech wciąż cię nie opuszcza i na swoje nieszczęście nadal żyjesz – zagadnęła z lekką kpina.

Słyszając to, Stefan prychnął śmiechem. Między innymi dlatego zawsze odbierał od niej telefony i lubił z nią gawędzić. Leontyna jako jedyna z jego otoczenia nie próbowała na siłę przywracać mu chęci do życia. Przyjęła ze stoickim spokojem komunikat, że ziemską egzystencja jest nie do zaakceptowania i że on by się najchętniej z niej wypisał. Zamiast prawić mu kazania, dobrotliwie kpiła.

– Język to ty zawsze miałaś niewyparzony – powiedział w końcu. – Otóż żyję i jak na siebie, mam się wyjątkowo dobrze.

– I dzwonisz, żeby mi to oznajmić? Cieszę się niezmiernie. – Leontyna przestąpiła z nogi na nogę i poczuła, jak po kręgosłupie spływa jej zimna strużka wody.

– Wyobraź sobie, że ja również. Nie sądziłem, że to jeszcze kiedyś powiem, ale postanowiłem, że jednak tak tanio się nie sprzedam. I w związku z tym zamierzam rozpocząć nowe życie. Z tobą.

– Ze mną? – Osłupiała Leontyna odsunęła od ucha telefon i zerknęła na

niego ze zgrozą.

– No z tobą. Lubię cię, ty też mnie lubisz, a sama mówiłaś...

– Co mówiłam? – przerwała mu Leontyna lekko spanikowana.

Tego się kompletnie nie spodziewała. Na jej gust biedny chłopina postradał rozum.

– No, że jeżeli tylko będę chciał, to mogę do ciebie przyjechać i zamieszkać. I że masz duże mieszkanie i miejsca jest dość...

– No rzeczywiście, mówiłam – zgodziła się ostrożnie. – Ale miałam na myśli takie przyjacielskie zamieszkanie, no wiesz, nie jak kobieta i mężczyzna...

– No, a jakże inaczej? Przecież ty jesteś kobietą, a ja mężczyzną... o Boże... – przerwał na moment. – Leośka, czy ty myślisz, że ja chcę z tobą jak mężczyzna z kobietą? Znaczy, że ty i ja, że... – Zaplątał się.

– Stefan, na litość boską, weź się w garść i powiedz mi, jak facet facetowi... Nie, czekaj, z tego wszystkiego to i ja coś pokręciłam. Jak człowiek człowiekowi mi powiedz, o co ci chodzi – zażądała. – I na wszelki wypadek ci przypomnę, że jestem najstarszą starą panną, jaką znam. I błagam, wyciągnij z tego właściwe wnioski. To jeszcze raz od początku. O co ci chodzi?

– O zwykłe przyjacielskie odwiedziny, tylko że chyba jakoś niefortunnie to wytłumaczyłem. Bo chciałem być taktowny i dać ci szansę na szczerą odpowiedź.

– Stefciu, ty na przyszłość lepiej daj sobie spokój z taktem i wal prosto z mostu – poradziła mu Leontyna, wypuszczając ze świstem wstrzymywane powietrze. – Mało co na zawał nie padłam, toż to brzmiało jak nieudolne oświadczyzny! Na wzmiankę o rozpoczynaniu nowego życia ze mną doznałam lekkiego wstrząsu.

– A bo u nas zawsze takie delikatne sprawy załatwiała Helenka i widzisz,



że jak co do czego przychodzi, to jestem niczym słoń w składzie porcelany – wyznał speszony Stefan.

– Dajmy już temu spokój. – Leontyna miłosiernie się nad nim ulitowała.

– To kiedy przyjeżdżasz?

– Poczekaj, zanim dogadamy szczegóły, muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Bo ja byłbym z kimś – dodał i starsza pani zrozumiała, że ta rozmowa szybko się nie skończy.

Z komórką przy uchu podreptała do łazienki i westchnąwszy ciężko, wyciągnęła korek z wanny. A potem wróciła do pokoju, owinęła się kocem i uważnie wysłuchiwała opowieści Stefana.

Gdy zakończyli rozmowę, ubrała się w grubą, puchatą piżamę i zajrzała do sąsiedniego pokoju. Właściwie był przygotowany na przyjęcie gości. Trzeba będzie tylko wytrzeć kurz – pomyślała i rozdzierająco ziewnęła. Kładąc się do łóżka i otulając kołdrą, pomyślała jeszcze, że już niebawem Kraśniakowa będzie miała o czym gadać.

Pewnie zostanę okrzyknięta najstarszą rozpustnicą i gorszycielką Malowniczego – pomyślała sennie. – Sama w domu z dwoma zupełnie obcymi mężczyznami! Będzie się działo, oj... – Nie dokończyła myśli. Zasnęła.

**M**adeleine obudziło dziwne wrażenie, że ktoś się na nią gapi. Uchyliła powieki i zobaczyła leżącego obok niej Michała. Podpierał głowę ręką i wpatrywał się w nią intensywnie.

– Mmmyy? – wydała z siebie pytający pomruk.

– Wyglądasz cudownie, kiedy śpisz – wymruczał i przysunął się bliżej. – Ale jeszcze piękniej, kiedy się budzisz. – Pochylił się nad nią i pocałował ją w szyję.

– Michał, dzieci zaraz wstaną. – Na powrót przymknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego ciepłych, czułych ust.

– Przekręciłem klucz w zamku, więc nas nie zaskoczą, a poza tym przed momentem sprawdzałem i spały jak susły. A mnie już od jakiegoś czasu zupełnie opuściła senność – szepnął jej wprost do ucha. – Leżałem, patrzyłem na ciebie i pomyślałem, jakby to było cudownie, gdybyśmy mieli jeszcze jedno, takie zupełnie maleńkie dziecko. Ślicznie byś wyglądała z brzuszkiem, co ty na to?

Madeleine znieruchomiała. Romantyczny nastrój w mgnieniu oka z niej wyparował, a jego miejsce zajęła zgroza.

– Zwariowałeś! – zawołała, błyskawicznie siadając i zawijając się szczelnie kołdrą. – Łapy precz, nawet nie próbuj – dodała ostrzegawczo.

– Ale co ja takiego powiedziałem? Że chcę mieć z tobą dziecko? Co w tym złego? I rzeczywiście uważam, że z brzuszkiem byłoby ci do twarzy.

– Dobrze, w porządku, mogę dla twojej przyjemności chodzić po domu z poduszką pod bluzką. Przynajmniej jedyne, co się z takiego brzucha wykluje, to garść pierza. Bo z takiego prawdziwego zazwyczaj wyłazi drący

się, egoistyczny potwór. Ja cię bardzo przepraszam, ale nie piszę się na takie rozrywki. Ty zresztą też nie, tylko oszołomiła cię nadmierna ilość snu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spaliśmy całą noc. A dzisiaj, proszę bardzo, zdarzyło się raz, organizm nienawykły i z miejsca doznał wstrząsu.

– Ale pomyśl sobie, Madziu, takie małe, prześliczne, rozkosznie pulchne maleństwo i...

– Właśnie myślę. I wyobrażam sobie ten horror! Zapluty, wrzeszczący, czerwony koszmar. A poza tym, mój drogi, jakbyś nie pamiętał, to my już mamy trójkę dzieci – powiedziała Madeleine dobitnie.

– I ja się nie zgadzam na żadne dodatkowe. – Spod drzwi dobiegł głos Ani. – Oszałeliście! Przecież jak ono się urodzi, to ja już będę strasznie stara! I znając życie, będę się musiała zajmować tym gówniakiem!

– Jak ty się w ogóle wyrażasz o swoim przyszłym braciszku? – zdenerwował się Michał.

– Po pierwsze, nie zapominaj o słowie „potencjalnym”. A po drugie, dlaczego akurat braciszku? – wtrąciła Madeleine zirytowana. – A jak będzie siostrzyczka, to co? Gorzej?

– Dlaczego od razu gorzej, tak mi się tylko powiedziało!

– Aha! Podświadomość zadziałała typowo po męsku – odparowała Magda. – Odzywają się samcze instynkty! Drzewo, dom i syn!

– Dobrze, nie daj się, ciociu – poparła ją spod drzwi Ania.

– A ty, moja panno, nie podsłuchuj! Jeszcze by tego brakowało, żebyś decydowała o naszym dzie... potencjalnym dziecku. – Zirytowany Michał zerwał się z łóżka. – A ty co? Nic nie powiesz? – zwrócił się do Madeleine z wyrzutem.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że naszego potencjalnego dziecka jeszcze nie ma, a już wywołuje awantury. Sam widzisz, zdolna bestia! A ty tam nie chichocz! – rzuciła w kierunku drzwi. –

W średniowieczu za podsłuchiwanie obcinano uszy – dodała, odwijając się z kołdry i sięgając po szlafrok. – Szoruj mi stąd! Naprawdę wyobrażasz sobie w tym bałaganie jeszcze jedno dziecko? – zwróciła się do Michała, idąc na palcach do drzwi, błyskawicznie przekręcając klucz i otwierając je na oścież.

Tak jak przypuszczała, po drugiej stronie stała nie tylko Ania, ale również i Marcysia, i Franio.

– Ciociu, czy zanim obetniesz mi uszy, mogę wpierw zjeść śniadanko? – Marcysia niewinnie zatrzepotała rękami.

– A czy wy przypadkiem nie wiecie, że nie wolno podsłuchiwać? – Madeleine wzięła się groźnie pod boki.

– My nie podsłuchujemy, tylko zmieramy z głodu – sprostował z godnością Franio. – A czy ta nowa dzidzia już jest? – zainteresował się, zaglądając do sypialni.

– Nie, nie ma. Taka dzidzia nie zjawia się ot, tak – wyjaśniła Magda, rzucając Michałowi mordercze spojrzenie.

– A jak się zjawia? – Franio nie dawał za wygraną.

– A to to ci przystępnie wyłoży wujek. – Uśmiechnęła się rozkosznie. – Przy smażeniu naleśników, co byś jednak z tego głodu nie umarł – dodała. – No co, w końcu to ty zacząłeś, to się teraz tłumacz. – Widząc minę Michała, rozłożyła ręce. – Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. A tak na serio, to ja naprawdę nie dam rady zająć się śniadaniem. Muszę pędzić na rynek, zajrzeć do księgarni, bo nie wiem, jak sobie radzi Julka, i zrobić zakupy. Lodówka świeci pustkami, a przecież jutro mamy gości na kolacji. Przyjeżdża Adrianna, aaa... i zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj dzwonił mój brat a twój ukochany kumpel, też lada moment u nas się zjawi i zostanie na czas nieokreślony. Z tego, co mówił, wywnioskowałam, że grunt mu się pali pod nogami. Jakaś Baśka, Aśka czy inna porzucona nieszczęśnica ma wobec niego mordercze zamiary, i to tak zaawansowane, że nawet wytropiła go

w Warszawie. Więc postanowił schronić się u mnie. Swoją drogą to on się w końcu doigra. Któraś z tych jego przelotnych miłostek wreszcie go dopadnie i dotkliwie okaleczy. Już kilka razy usiłowałam mu przemówić do rozumu, ale za grosz nie pojmuje albo nie chce pojąć tego, co do niego mówię. Może ciebie by prędzej posłuchał... – dodała, popatrując na Michała.

– Tutaj gadanie nie pomoże. Trafi się odpowiednia dziewczyna, to i Antek złagodnieje i zegnje kark. Dokładnie tak było ze mną. Dopóki ty mi się nie przydarzyłaś, byłem taki jak on. Wolny, swobodny, wiecznie zakochany – westchnął tęsknie i z miejsca dostał w głowę celnie rzuconym jaśkiem. – Ała! A to za co?

– Za niewinność – pogroziła mu Magda żartobliwie palcem. – To co? Nakarmisz nasze stadko, panie wolny i swobodny?

– A mam wyjście? – westchnął, odruchowo przygarniając Frania, który bezceremonialnie wpakował mu się na kolana.

– Nie masz – zamiast Magdy odpowiedział Franio. – A po tym jak usmazysz naleśniki, możesz przynieść dzidzię – zezwolił łaskawie. – Będzie spać pod moim łóżkiem. Grześ padnie z zazdrości! – Z zadowoleniem zatarł rączki.

– A co ma do tego Grześ? – Madeleine spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Bo on ma dostać od Świętego Mikołaja psa i cały czas się chwali, że będzie spał u niego pod łóżkiem. Ale takiej podłóżkowej dzidzi nic nie przebiję. Żaden z chłopaków nie ma czegoś takiego.

– Może porozmawiamy o tym kiedy indziej – zaproponowała słabo Madeleine.

– Też tak uważam – mruknął Michał. – Wcale nie żartowałem. I nie zamierzam tak łatwo się poddać – dodał. – Uważam sezon na dyskusję o dzidzi za otwarty.

– Jednak miałam rację. Zwariowałeś. Najadłeś się szaleju. Posiedź sobie w domu z naszą ukochaną trójeczką, to może rozum ci wróci. – Pokiwała głową i zgarnęła z fotela leżący tam sweter. – Idę się ubrać – oznajmiła i zniknęła w łazience, modląc się nielitościwie o to, by tego dnia dzieci były nieznośne jak nigdy dotąd.

To by może ostudziło zapał Michała.

Chyba że właśnie odkrył w sobie zamiłowanie do masochizmu, pomyślała, szcztokując zęby. A biorąc pod uwagę jego zachowanie i poranny ośli upór, niestety to mogło okazać się prawdą.

Adrianna, tak jak było ustalone, szykowała się do drogi. Zanim jednak wyruszyła, rozsądnie pojechała z autem do mechanika. Niestety jej ukochanego pana Tadzia nie było, zamiast niego zastała ubabranego po łokcie w smarze młodziana z brodą do pasa.

– Pan Tadeusz jest na zwolnieniu – oznajmił młodzian, wycierając czarne ręce w czarną szmatę. – Coś się dzieje?

– Nie, tak naprawdę nic, tylko jadę w długą trasę, w góry, wolałabym mieć pewność, że z samochodem wszystko w porządku. Wyjeżdżam jutro z samego rana, sam pan rozumie.

– Rozumiem, dobrze, zaraz zerkniemy – powiedział, biorąc od niej kluczyki i otwierając maskę.

Jego broda fantazyjnie zafalowała, a Adrianna bezwiednie się na nią zagapiła. Nie mogła wręcz oderwać od niej wzroku. Im dłużej jej się przyglądała, tym bardziej jej się wydawało, że broda żyje własnym życiem. Ogarnęło ją wrażenie, że z czymś jej się kojarzy.

Rumcajs – doznała w końcu olśnienia. On też był tak zarośnięty i hodował w zaroście ptaszki, uśmiechnęła się do swoich dziecięcych wspomnień, a młodzian, który w tejże chwili na nią spojrzał, nieoczekiwanie doszedł do wniosku, że jego pierwsze wrażenie było mylne. Wydawało mu się bowiem, że dziewczyna jest szara i nieciekawa. Tymczasem z rozmarzonym spojrzeniem, którym go obrzuciła, z uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz, zniecka wypiękniała.

To jest dopiero moc oddziaływania na kobiety, pomyślał z dumą. Trochę męskiego magnetyzmu i od razu mają się lepiej. Dumnie wypiął pierś.

– No to co my tu mamy... – mruknął, starając się wyglądać jak

najbardziej fachowo i męsko zarazem. – Wydaje się, że wszystko w porządku... A łańcuchy pani ma? – zagadnął i pogłodził się po brodzie.

– A powinnam?

– Jedzie pani w góry, to pewnie będą potrzebne. Żeby samochód trzymał się drogi. Właściwie to ja mogę pomóc, wybrać, pokazać, jak założyć.

– Naprawdę? Mógłby pan? W życiu nie zakładałam łańcuchów – wyznała. – Ale nie chciałabym zabierać panu czasu, w końcu coś pan tam robił. – Wskazała stojący na kanale samochód.

– E tam, w końcu robota nie zajac, nie ucieknie. – Machnął lekceważąco ręką. – To ja tylko zamknę warsztat i możemy jechać – dodał, z rozmachem zatrzaskując maskę jej samochodu i cudem unikając przycięcia brody. – A tak przy okazji, mam na imię Bartek.

– Adrianna – odwzajemniła się, wsiadając do auta. – To ja poczekam przed bramą! – zawołała i wyjechała na ulicę.



Adrianna prowadzona przez nawigację jechała pod adres wskazany przez Bartka.

– Ale ja bym cię przecież poprowadził – zapewniał ją na każdym zakręcie. – Znam drogę na pamięć. O, zobacz, gdybyś zamiast jechać tak, jak ci to ustrojstwo pokazuje, pojechała w prawo...

Ada, słysząc to, przewróciła oczami i pomyślała, że jedynym sposobem zmiany tematu jest odwrócenie jego uwagi. Zerknęła na niego spod oka i zahaczyła wzrokiem o brodę, która, jak dopiero teraz zauważyła, na końcach zawijała mu się w loczki.

– Masz imponujący zarost – palnęła, niewiele myśląc. – Dłuższy niż włosy niejednej dziewczyny i na dodatek podkreślają ci się końcówki...

– Oooo, zwróciłaś na to uwagę. – Obrzucił ją rozognionym spojrzeniem. – Bo widzisz, ta broda to moja największa pasja. Ale żeby tak wyglądała, wymaga mnóstwa pracy. Codziennie ją podkreślam, żeby układała się tak... no wiesz... – Tu popatrzył na nią znacząco i położył rękę na jej kolanie.

– No, nie wiem – powiedziała, jednocześnie łapiąc jego dłoń i odsuwając ją jak najdalej od siebie.

– A, no to ja ci to wszystko zaraz wyłożę. Kupiłem sobie nawet taką książkę, która dokładnie krok po kroku omawia, jak to ma wyglądać. Taka broda to powrót do natury, tylko wiesz... dziki, ale cywilizowany, męski, ale zarazem wypielegnowany. – Rozpędzał się coraz bardziej.

I zanim dotarli do sklepu, Adrianna się dowiedziała, jak ma szcztokować, przycinać i myć swoją brodę, żeby zawsze była piękna i zadbana. Bartek tak się rozochocił, że na nieśmiałą sugestię, że ona nie ma i raczej nigdy nie będzie miała brody, machnął tylko ręką i powiedział, że ostatecznie może

w ten sposób wypiełgnować sobie coś innego. Po takiej propozycji przezornie zamilkła.

Bartek natomiast był nią coraz bardziej oczarowany. Umiała słuchać, gdy zakładał łańcuchy, wpatrywała się w niego jak w obrazek i nie chciała dać mu swojego numeru telefonu. To sprawiło, że natychmiast zapragnął ją zdobyć. Wszak nie codziennie spotyka się takie kobiety. Jednak gdy taki pełnokrwisty mężczyzna już jakąś napotka na swojej drodze, na pewno nie da jej, ot tak sobie, zniknąć.

**D**o domu dotarła dość późno i natychmiast zadzwoniła do Leny.

– Rany julek, dlaczego ja muszę być taka poukładana? – jęknęła, słysząc głos przyjaciółki. – Zachciało mi się sprawdzić przed wyjazdem samochód, to mam za swoje. Gdybym się zdała na łut szczęścia, nie przeżyłabym koszmaru z Rumcajsem w roli głównej – dodała i opowiedziała Marlenie o warsztatowej przygodzie.

– Co chcesz, facet zareagował jak najbardziej prawidłowo. – Lena roześmiała się, wysłuchawszy historii.

– Jak to prawidłowo?

– Ada, na litość boską, pomyśl chwilę. Wchodzisz do warsztatu z miną i wzrokiem zboląłego, zagubionego kurczątko, które to upss!... zapomniało, że nazajutrz wyjeżdża. Wgapiasz się cielecym wzrokiem w faceta...

– Zdecyduj się: kurczątko czy ciele, bo mi wyobraźnia wariuje – przerwała jej bezpardonowo. – A poza tym wgapiałam się w jego brodę, a nie w niego całego – sprostowała urażona.

– I tym gorzej dla ciebie, bo jak się okazało, to jego konik, a ty dałaś głośny wyraz podziwu, ooo...! jaki pan piękny! jaki wspaniały zarost pan wyhodował... mój drogi, dzielny panie! Tak to wyglądało z jego punktu widzenia, kochana.

– Ktoś tu zwariował, albo ty, albo ja! Przecież chwyciłam się tylko pierwszego tematu, który mi przyszedł do głowy. A on mi na to zasugerował, żebym sobie zapuściła brodę. Nie wiem, jak i gdzie...

– No, ja bym miała pewien pomysł, ale litościwie go przemilczę. Jedno ci natomiast powiem: świadomie czy nie, zastosowałaś najstarszy na świecie

sposób podrywu. Jestem biedną księżniczką, uratuj mnie, dzielny rycerzu. Tak to się nazywa. Ale nie przejmuj się, przynajmniej kupiłaś te łańcuchy i nauczyłaś się je zakładać. Ja na śmierć zapomniałam, że mogą ci być potrzebne. Odkąd urodziły się dzieciaki, zimę spędzamy w domu, a co za tym idzie, takie rzeczy wylatują mi z głowy.

– Fakt, jest z tego jakaś wymierna korzyść, tyle tylko, że nie mam pojęcia, jak ja tam teraz dojadę. Chyba ze trzy dni mi to zajmie – mruknęła Ada.

– Ale czemu? – Głos w słuchawce zawibrował zdumieniem.

– Bo z tymi łańcuchami jeździ się koszmarnie!

– Z jakimi łańcuchami?

– No, Lena, żarty sobie stroisz czy jak? Przecież przed chwilą ci powiedziałam, że mi je założył...

– I nie zdjął? – upewniła się Marlana.

– Nie, zostawił. Nie rozumiem, co cię tak rozbawiło – obruszyła się, słysząc, jak przyjaciółka wybucha śmiechem.

– To mu musiałaś porządnie zawrócić w głowie. – Marlana z trudem się opanowała. – Musisz je zakładać tylko tam, gdzie to jest wymagane. Gdzieś ty się uchowała do tej pory, że tego nie wiesz?

– Na nizinach – burknęła Ada. – To co, mam je ściągnąć?

– Koniecznie. A wracając do twojego Rumcajsa, to dobrze usłyszałam, że nie dałaś mu numeru telefonu?

– Doskonale.

– I naprawdę nie chcesz, żeby go miał?

– Za nic w świecie.

– No to w trymiga się rozłączaj i dzwoń do swojego mechanika. Jak znam życie, ten twój brodaty Romeo będzie chciał go zdobyć za wszelką cenę

i jeśli dobrze kombinuje, to wyłga go od pana Tadeusza.

– Pan Tadzio nigdy mu go nie da.

– Ada, ty w ogóle nie znasz życia. Wystarczy, że Rumcajs powie mu, że z twoim wozem jest coś nie tak – dokończyła z pobłażaniem Lena.

– O matko, to możliwe. To ja się zaraz odezwę, tylko najpierw...

– Dzwon! – przerwała jej przyjaciółka, rozłączając rozmowę.

Pan Tadeusz niestety nie odebrał od razu. Sygnał jego telefonu wskazywał, że właśnie rozmawia z kimś innym. Gdy w końcu udało jej się do niego dodzwonić, nie pozwolił jej dojść do głosu.

– Dziecko, ty wiesz, że ja cię bardzo lubię – powitał ją niestandardowym wyznaniem.

– Oooo... – zająknęła się zaskoczona. – Bardzo się cieszę i z wzajemnością.

Na całe szczęście mogła powiedzieć to szczerze, bo rzeczywiście darzyła pana Tadeusza wielką sympatią.

– I dlatego lojalnie cię ostrzegam, to nie jest dobry pomysł. To złoty mechanik, robota mu się w rękach pali, ale poza tym straszny z niego bawidamek i w ogóle nic dobrego. Ja tam się na damskich gustach nie znam, ale od takich picusiów-glancusiów to bym jednak trzymał się z dala. Ale skoro sama go prosiłaś o numer telefonu, to mu w końcu ten twój dałem.

– Sama go prosiłam o jego numer... – wyjąkała Adrianna, bez skutku usiłując coś z tego wszystkiego zrozumieć.

– No tak. Widać przemyślał sprawę i chce jednak się do ciebie, Adeńko, odezwać i zapewne umówić, i zbałamu... hmmm... No sama wiesz, co chciałem powiedzieć. Ja tam nie lubię się wtrącać w nie swoje sprawy, ale jedno ci muszę powiedzieć. Życia to ty z nim dobrego mieć nie będziesz. Pracuje u mnie dopiero od dwóch miesięcy, a ja już cały korowód jego panien widziałem. A ile z płaczem przychodzi i łez do kanału samochodowego wylewa! Aż żal patrzeć. I ja ci, Adeńko, zawsze samochód naprawię, olej zmienię, ale ze złamanym sercem tak łatwo mi nie pójdzie. Tu nie ma części zamiennych. Więc ty to jeszcze dobrze przemyśl.

– Ale ja wcale...

Przerwała, bo uznała, że właściwie nie ma sensu tłumaczyć panu Tadziovi, że to wszystko wyglądało zgoła inaczej. I tak by jej pewnie nie uwierzył, myśląc, że jest jej głupio i dlatego kręci.

– Nieważne – westchnęła. – Rozumiem, że mój numer mu pan dał?

– No dałem, bo tak pomyślałem, że jeszcze uda ci się zdobyć do niego kontakt... A to zawsze jednak lepiej jak mężczyzna, nawet taki uwodziciel spod ciemnej gwiazdy, wydzwania do kobiety, a nie na odwrót... Ale na mój gust lepiej by było, żeby nie dzwonił.

– Może trudno w to panu uwierzyć, ale też bym tak wolała – mruknęła i pożegnała zatroskanego mechanika.

No to pięknie! Muszę wyglądać na nieźle zdesperowaną, skoro nawet poczciwy pan Tadzio uwierzył, że mogłabym się dopraszać o uwagę tego lalusia. No nic, może jednak nie zadzwoni – pomyślała i zerknęła na stojącą w przedpokoju spakowaną walizkę.

Najwyższa pora zanieść ją do bagażnika i ściągnąć te nieszczęsne łańcuchy. Żeby jutro móc po prostu wyjechać. Nie oglądając się za siebie i zapominając o sklepach pełnych świątecznych ozdób, wszędobylskich kolędach, pastorałkach i cudach, które tyle razy mogły się zdarzyć, ale zawsze omijały ją z daleka.

Dziki, mroźne góry, zasypane śniegiem, który sprawia, że ich mieszkańcy muszą się zająć praktycznymi sprawami i co za tym idzie, nie mają czasu na myślenie o dopieszczeniu świąt Bożego Narodzenia, to było właśnie to, czego potrzebowała.

Nazajutrz rano wsiadła do auta i ustawiła nawigację. Jednak nie od razu jej posłuchała i zamiast w prawo, pojechała w lewo. Zatrzymała samochód tuż pod znajomą furtką. Wsiadła i zapatrzyła się w ciemne jeszcze okna. Już niedługo tam w środku znów stanie duża, pachnąca lasem, pięknie udekorowana choinka. Dzieci będą patrzyły na nią z zachwytem, nie zdając sobie sprawy, że tuż obok nich, zupełnie niewidoczna, stoi też ona. Dziewczynka, która nigdy nie chciała stąd odejść, bo tylko w tym domu była naprawdę szczęśliwa. Zresztą nie tylko z tego miejsca nie chciała się ruszyć. Adrianna również nie mogła się jej pozbyć. Mimo że wielokrotnie próbowała, mała Ada zawsze wracała z żalem, tęsknotą i ogromem nieszczęścia, sprawiając, że dużej Adriannie chciało się wyc z rozpaczy.

Może gdy wyjadę daleko stąd, uda mi się w końcu ją zgubić, pomyślała i z czułością pogłaskała pręty furtki. Stała jeszcze chwilę, zaciskając z całych sił obleczone grubą rękawiczką palce na klamce, po czym odwróciła się i wsiadła do samochodu. I nawet udało jej się nie rozplakać. Zimny, lodowaty grudzień bez litości wgryzał się w jej serce.



**A**drianna, planując podróż, naiwnie sobie wyobrażała, że w czasie jazdy będzie mogła podziwiać widoki i napawać się pięknem przyrody.

Dość szybko jednak musiała zmodyfikować te plany. Po pierwsze, ledwo ruszyła, śnieg, który tego ranka wyjątkowo nie padał, przypomniał sobie o swoich powinnościach i postanowił nadrobić poranne zaległości. Zaczął sypać z taką intensywnością, że żeby cokolwiek widzieć, Ada zmuszona była prowadzić z nosem nieomal przyklejonym do szyby. Na kokpicie auta zaświeciła się podwójna i bardzo pomarańczowa gwiazdka, wkurwiona śnieżynka, jak ją w duchu nazywała, która informowała, że nawierzchnia jest wyjątkowo śliska. Dopóki trasa prowadziła przez miasteczka, było znośnie, ale gdy nawigacja z właściwą sobie beztróską skierowała ją na boczne drogi, stało się jasne, że musi jechać bardzo powoli, bo samochód niebezpiecznie tańczył na nieodśnieżonej trasie. Padający coraz intensywniej śnieg tworzył coś w rodzaju wirującego tunelu i Adę ogarnęło wrażenie, że za moment zostanie tam wessana i przeniesiona do jakiegoś innego świata. Gdy w końcu po kilku długich jak wieczność godzinach dojechała do miasteczka o wdzięcznej nazwie Malownicze, była ledwo żywa. Zjechała na najbliższą stację benzynową i wystukała numer Madeleine.

Matko, niech się stanie cud i niech tym razem będzie w zasięgu – pomyślała, żarliwie przyciskając komórkę do ucha.

Gdy ostatni raz rozmawiała z Magdą, ta jej mówiła, że mieszka na obrzeżach i nie jest tak prosto do niej trafić.

– Gdy pierwszy raz tu przyjechałam, wydawało mi się, że wjeżdżam w szczerę pole i mojego domu w ogóle tam nie ma. Dopiero gdy nieomal zupełnie straciłam nadzieję, wyłonił się znienacka zza zakrętu. Ale to było

lato. Teraz w tej bieli wszystko ginie. Drogi i ścieżki się zacierają. Powinnam zasadzić aleję z drzew widoczną już z oddali, tak jak to czynili nasi dziadowie. Prawie do każdego dworu taka prowadziła.

– A ja myślałam, że oni to robili ze względów estetycznych i snobistycznych – wyznała Adrianna.

– Pewnie to też, ale jedno drugiego nie wyklucza. Aleje miały podczas zim wskazywać drogę do domów, a że wyglądały imponująco, to już inna sprawa. Tak czy siak, samej trudno ci będzie trafić, wyślij mi z drogi esemesa i napisz, o której mniej więcej będziesz, to po ciebie wyjadę i spotkamy się w rynku.

I tak się właśnie umówiły. Problem polegał na tym, że Adriannie kompletnie to wyleciało z głowy. Esemes nie został napisany i teraz nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję na łut szczęścia, które widać tym razem jej sprzyjało, bo Madeleine odebrała natychmiast.

– Nareszcie, już się zaczęłam niepokoić, zima rozszalała się na dobre. A zapowiadają, że w nocy będzie jeszcze gorzej. Gdzie jesteś? – przeszła do konkretów.

– Minęłam tabliczkę z napisem „Malownicze” i zatrzymałam się na stacji benzynowej. Takiej z wielkim żubrem stojącym przed wejściem – zaraportowała.

– A, to już wiem, gdzie jesteś. Po drugiej stronie miasteczka. Musisz dojechać do rynku. Masz nawigację, to niech cię poprowadzi do centrum. I jak już dotrzesz, znajdź księgarnię, tam na ciebie będę czekała. Prosta droga.

No, jeżeli to jest ta prosta droga, to jestem ciekawa, jak wygląda kręta, myślała po chwili, sunąc w ślimaczym tempie szosą, która składała się z samych zawijasów. Właściwie to nawet była wdzięczna losowi za śnieg i praktycznie zerową widoczność. Przynajmniej zmuszały ją do patrzenia

przed siebie, bo gdy raz się odważyła oderwać wzrok od drogi i zerknąć w bok, jej oczom ukazała się majestatycznie pobielona i ziejąca grozą przepaść. Po drugiej stronie rozciągało się urwisko, nad którym wznosił się ośnieżony las. Droga była tak wąska, że na samą myśl o wymijaniu się z drugim autem dostawała dreszczy. Sytuacja poprawiła się nieco, gdy dotarła do pierwszych zabudowań. Zniknęły złowrogie przepaście, droga zrobiła się ciut szersza.

Chyba jednak to przeżyję, pomyślała i rozluźniła kurczowo zaciśnięte na kierownicy palce.

Albo i nie – to była kolejna, pełna przerażenia myśl, która przemknęła przez jej głowę. I bynajmniej nie dotyczyła drogi ani innego realnego zagrożenia. Adrianna po prostu dotarła do rynku i ujrzała coś, czego totalnie się nie spodziewała.

Jej wyobrażenie o dzikich górskich ludziach, zajętych od świtu do nocy odśnieżaniem, kopaniem tuneli w śniegu i podsypywaniem drew do kominków, legło bezpowrotnie w gruzach.

Wysiadła z samochodu i przymknęła na chwilę oczy. Niestety, gdy je ponownie otworzyła, nic się nie zmieniło. Na środku prostokątnego placu stała ogromna choinka przystrojona wielkimi bombkami. W kryształowych soplach odbijały się migoczące kolorowe światełka lampek; niczym prawdziwe piernikowe lukrowane serca lśniły od brokatu. Szklane anioły chwyciły w swoje skrzydła odłamki światła. Na gałęziach drzewka pyszniły się gigantyczne listki ostrokrzewu kuszące czerwienią kuleczek. Ada w całym swoim życiu nie widziała piękniej przystrojonej choinki. Jakby tego było mało, większość sklepów rozlokowanych w pierzejach rynku również już emanowała świątecznym klimatem. Na drzwiach pierwszego, do którego podeszła, wisiał wieniec upleciony z zielonych gałązek i przystrojony miniaturowymi baleronikami, szyneczkami i różowymi świnkami.

– No tak jakby w temacie... – mruknęła, patrząc na szyld z napisem „Mięsny”.

Przy kolejnym sklepiku jakaś kobieta, chwiejąc się na drabinie, upinała nad drzwiami girlandę całą otuloną maleńkimi bombeczkami i srebrnymi gwiazdeczkami. I tak było wszędzie. Rynek opanowało istne dekoracyjne szaleństwo.

Jasne, to się mogło tylko mnie przytrafić, pomyślała z nagłym rozbawieniem. Cóż to ja planowałam? Nie oglądać się za siebie, zapomnieć o sklepach pełnych świątecznych ozdób, wszędobylskich kolędach, pastorałkach i cudach. Hmm... Chyba jednak nie będzie to takie łatwe, wzięwszy pod uwagę, że uciekając przed Bożym Narodzeniem, trafiłam do jakiejś choleralnej wioski Świętego Mikołaja.

Jeszcze raz rozejrzała się wokół. Zauważyła, że tuż koło choinki leży wielka sterta desek, przy której zgromadziła się grupka mężczyzn.

Może któryś z nich będzie wiedział, gdzie jest księgarnia. Już miała do nich podejść i o to spytać, gdy komórka w jej kieszeni zawibrowała, informując o nadejściu wiadomości. Gdy zerknęła na wyświetlacz, zobaczyła, że jedna przyszła na Messengera, a druga esemesem. Pierwsza była od matki.

*Posprzątaj mi w domu, bo niewykluczone, że tuż po świętach przywiozę ze sobą Karla, a nie chciałabym się musieć wstydzić. Wprawdzie porządki nigdy nie były twoją mocną stroną, ale raz możesz się przyłożyć. Możesz też postawić jakiś stroik, bo na Karla święta działają bardzo inspirująco, nawet nie wiesz, jaki z niego wyłazi świntuszek, gdy widzi mnie w stroju Śnieżynki... Jak chcesz, mogę ci taki kupić. I naprawdę mogłabyś już przestać się dąsać i coś do mnie napisać. Jego synowie dzwonią codziennie, a mi jest głupio,*

*że jedyna córka milczy jak zaklęta. Karl już się dopytuje, co z tobą nie tak. Nie bardzo wiem, jak mam mu wyjaśnić, że dorosła dziewczyna strzela focha z powodu czegoś tak trywialnego jak święta. W końcu są rok w rok, więc o co tyle krzyku? Kolację możemy zjeść zawsze, choć na twoim miejscu, Pączuszk, raczej bym zrezygnowała z jedzenia wieczorem. Brak tej całej świątecznej wyżerki tylko ci na dobre wyjdzie, tak że właściwie powinnaś mi podziękować.*

Adrianna przez moment wpatrywała się w wiadomość, zagryzając z zakłopotania dolną wargę. Właściwie treść jej nie zaskoczyła. Matka do perfekcji opanowała sztukę oczarowywania mężczyzn w pierwszej fazie znajomości. Była w tym wyjątkowo dobra. I nie byłoby nic dziwnego nawet w tym, gdyby Karl się dał przekonać do przyjazdu do niej. Ada mogła się założyć, że pan Kraków w tej chwili przednio się bawił w jej towarzystwie. Choć pewnie musiał za to słono zapłacić. Strój śnieżynki też robił swoje i czynił Karla hojniejszym. Skrzywiła się i nagle przed oczami przesunęła się zepchnięta na dno pamięci scena...

**B**yło to tuż przed feriami zimowymi. Wróciła ze szkoły i zastała w drzwiach wymienione zamki. Zdezorientowana stała na klatce schodowej, trzymając w ręku bezużyteczne klucze. W końcu zrezygnowana usiadła na wycieraczce, czekając na matkę.

Nie miała dokąd pójść. Pani Dusi nie było, wyjechała na kilka dni do córki. Marlena od razu po szkole wpakowała się do samochodu rodziców i razem z nimi pojechała do babci. W końcu następnego dnia rozpoczynały się ferie.

Ada, przytulając policzek do zimnych drzwi, zrozumiała, że została całkiem sama.

Matka wróciła późnym wieczorem i obrzuciła ją obojętnym spojrzeniem.

– Nie możesz tu zostać – rzuciła lodowato. – Rysiek za tobą nie przepada i powiedział wprost, że albo ty, albo on.

– To gdzie mam pójść? – spytała zdrętwiała z zimna, które powolutku zaczynało przenikać wprost do jej serca.

Nie musiała pytać, by wiedzieć, jakiego wyboru dokonała matka.

– Cóż, nie zostawię cię przecież bez dachu nad głową – burknęła i kazała Adzie iść za sobą.

Wywiozła ją wtedy na obrzeża miasteczka, do starego drewniaka, który wydawał się dziewczynie ciemny i straszny.

– Wynajęłam ci tu pokój z kuchnią. Potrzebujemy z Ryśkiem trochę czasu dla siebie. A poza tym psujesz mu nieustannie nastrój swoją kwaśną, wydłużoną miną. Słuchaj, obiecał mi, że jeśli się okaże, że jestem tą jedyną, to mi kupi apartament w centrum. W tym nowoczesnym bloku, co go

teraz budują. To by było coś, nie sądzisz? I wtedy, rzecz jasna, wrócisz. Teraz nikt się nie może dowiedzieć, gdzie mieszkasz, bo wiesz, jak by ludzie zaczęli gadać. A to wszystko dla naszego dobra. Czynsz jest opłacony dwa miesiące z góry. Rysio twierdzi, że takim rozpaskudzonym pannicom jak ty przyda się trochę samodzielności. A sam też ma dwie córki, więc chyba wie, co mówi.

– Mamo, ty go znasz zaledwie miesiąc. Nic o nim nie wiesz – usiłowała przemówić jej do rozsądku.

– I dlatego potrzebujemy trochę swobody, żeby się dotrzeć. – Puściła do niej oko. – Masz tu parę groszy i nie zawracaj mi głowy. – Wetknęła jej w lodowate dłonie kilka banknotów. – Rysio chce teraz nacieszyć się wyłącznie mną. A poza tym spójrz na to od innej strony: wiele nastolatek by chciało, żeby ich matki tak im ufały. W końcu możesz się poczuć jak dorosła – dodała, posłała jej całusa i zniknęła.

Adrianna przez moment wsłuchiwała się w echo jej kroków, które odbijało się od ścian wysokiego korytarza. Gdy umilkło, drżącymi dłońmi przekręciła klucz w zamku. Miała piętnaście lat i znała życie o wiele lepiej niż jej rówieśniczki. Od dawna wiedziała, że może liczyć tylko i wyłącznie na siebie. A mimo to, gdy za matką zamknęły się drzwi, poczuła się opuszczona i samotna. Potwornie się bała. Za oknami panował całkiem obcy mrok, w którym czaiły się złowrogie cienie. Wiatr szumiał i tęsknie zawodził. I było przeraźliwie zimno. Tak jakby nikt nie odkręcił ogrzewania.

Jutro spróbuję to wszystko jakoś ogarnąć, postanowiła, i szcękając zębami, usiadła na stojącym pod ścianą łóżku. Nie zdejmując kurtki, owinęła się wychłodzoną kołdrą i schowała głowę pod poduszkę. Tak dotrwała do świtu.

Niestety światło poranka niewiele zmieniło i o pokoju nadal nie można było powiedzieć niczego dobrego. Ale przynajmniej zniknęły czające się

w kątach upiory i lęki. Nie rozstając się z kołdrą, którą zarzuciła na ramiona, rozejrzała się wokół siebie i spostrzegła, że pod ścianą stoi jej własny plecak. Gdy do niego zajrzała, zobaczyła swoje swetry, spodnie i wsadzone do bocznej kieszeni dwie książki. A więc matka i jej aktualny gach planowali jej wyprowadzkę już od jakiegoś czasu. Podeszła do okna, na jego szybach mróz wyrzeźbił liście i kwiaty. Powietrze było lodowate. Z niechęcią odłożyła kołdrę, przekręciła w zamku klucz i wyjrzała na ciemny korytarz. Był pusty i cichy. Adrianna poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz. Zamknęła za sobą drzwi i zbiegła po skrzypiących schodach w dół, po czym wypadła na zasypane śniegiem podwórze i nieomal zderzyła się z dźwigającą wiadro wody staruszką.

– Przepraszam – wysapała. – Pomóc pani?

– A, nie trzeba. – Tamta spojrzała na nią przenikliwie. – A ty to jesteś ta nowa, co to zajmuje mieszkanie po Nowakowej?

– Jeżeli to jest ten pokój na piętrze, to pewnie ja – przytaknęła, odbierając z rąk starszej pani ciężki kubek. – To tutaj nie ma bieżącej wody? – zapytała, stawiając wiadro przed drzwiami, pod które ją podprowadziła sąsiadka.

– Dziecko, to ty nie wiesz, jaki lokal najęłaś? – Staruszka spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Cóż... Tak naprawdę to wynajęła go dla mnie inna osoba – wybąkała speszona. – Nawet nie miałam okazji wcześniej go obejrzeć.

– Pewnie ta rozchichotana paniusia, co tu była z takim jednym, który ją podszczypywał po pośladkach. Ani on, ani ona mi się nie spodobali. Teraz widzę, że nawet do niej jesteś podobna... Choć tobie przynajmniej dobrze z oczu patrzy. Nie martw się, nie będę cię ciągnąć za język – dodała, widząc, że Ada się wycofuje w kierunku wyjścia. – Dość mam swoich problemów, Stachu znowu zaniemógł, na leki pójdzie prawie cała emerytura i znów nie będziemy mieli za co węgla kupić – westchnęła. – A wody w środku nie ma,



pompa jest z tyłu na podwórku. Naprzeciw ciebie mieszka stary Klepał, właśnie wziął pieniądze, a co za tym idzie, przez następne dwa tygodnie będzie pił na umór. Uważaj na niego, bo czasem myli mieszkania. Krzywdy ci żadnej nie zrobi, ale jak już wlezie i się uwali na łóżko, to póki nie wytrzeźwieje, żadna siła go nie ruszy – dodała i spojrzała na Adę z zastanowieniem. – A w piecu już rozpałaś?

– W piecu? – zdziwiła się. – Nawet nie wiem, że tam jest piec, nie wiem, jak i czym...

– No, to jest tak, jak myślałam, zostawili cię – wymamrotała staruszka, kiwając głową. – Na ludziach to ja się znam jak nikt. Szkoda, że z tego żadnych pieniędzy nie ma, bobym była bogata. Poczekaj tu, wstawię wodę do środka, a potem pójde i ci wszystko pokaże – dodała litościwie i zniknęła za grubymi drewnianymi drzwiami.

Po chwili pojawiła się z powrotem.

– Pokaż, jakie masz klucze – zażądała. – Chodź ze mną – dodała i po chwili znów się znalazły na podwórzu. – Tu jest komórka, tutaj są drzwi Nowakowej, teraz twoje – tłumaczyła, pokazując Adzie małe obdrapane drzwiczki zamknięte na dużą kłódkę. – Ten klucz powinien pasować... I pasuje. – Uśmiechnęła się tryumfująco. – O, widzisz, węgla jeszcze po Janince trochę zostało, trzeba naładować w wiaderko. A teraz chodź na górę.

W mieszkaniu od razu podeszła do stojącego w rogu pieca. Koło niego leżały gazety, sterta drobnych drewnienek i trochę grubszych szczap.

– Najpierw wkładasz papier, na to drzazgi, potem grubsze drewno, a na końcu podsypujesz węglem. I musisz dokładać, bo ci wygaśnie – ostrzegła, podkładając pod papier zapaloną zapałkę. – Nauczysz się, to nie jest wielka filozofia. – Poklepała Adę po ręku.

Dziewczyna robiła wszystko, co w jej mocy, żeby się nauczyć i jakoś przeżyć następne dni. Wiedziała, że zwyczajnie musi przeczekać szaleństwo

matki. Nie było sensu jej się przeciwstawiać. Poza tym nie umiałyby jej powiedzieć „nie”. Odkąd z nią zamieszkała, stale usiłowała ją zadowolić i sprostać jej oczekiwaniom. Co prawda, bez większych rezultatów, ale na to wpływu nie miała. Nie istniała żadna alternatywa. Przecież nie miała nikogo innego. Była uzależniona od humorów i kaprysów matki. Zresztą doskonale wiedziała, że za moment Rysiek zniknie z jej życia i wtedy Teresa przypomni sobie o córce. Tak było zawsze. Gdy facet ją zostawiał, Ada wracała do łask. Matka musiała przecież móc się przed kimś wyzalić. I mieć kogoś, kto się nią zaopiekuje, gdy będzie tonąć we łzach po kolejnej zawiedzionej miłości.

I zapewne teraz też by to wszystko jakoś przetrwała, gdyby nie to, że po dwóch dniach w środku nocy ktoś zaczął dobijać się do jej drzwi. Ada struchlała ze strachu, skulona w rogu łóżka zakryła dłońmi uszy, żeby nie słyszeć pijackiego bełkotu, łomotania i szarpania klamką. Domyśliła się, że to pewnie ten nieszkodliwy sąsiad pomylił mieszkania. Jednak w tej chwili trudno jej było uwierzyć w to, że jest niegroźny. Ogarnął ją strach. Zęby same zaczęły szczekać i dziewczyna poczuła, że jeżeli natychmiast stąd nie ucieknie, najpewniej oszaleje. Gdy w końcu hałasy na korytarzu ucichły, podeszła na palcach do drzwi i delikatnie je uchyliła, po czym przekonawszy się, że nikogo tam nie ma, zbiegła na dół. Wypadła w zimny mrok rozjaśniony śniegiem i bladym światłem latarni. Półżywa ze strachu dotarła pod blok matki i spojrzała w ciemne okna.

I tak mnie nie wpuści, pomyślała i gęsto zamrugowała, żeby przegonić cisnące się do oczu łzy. Ale na nic się to nie zdało, nie zdołała ich powstrzymać i dwie gorące strużki spłynęły po jej zmarzniętych policzkach.

Nie mam siły, pomyślała z rozpaczą. I nie mogę tam wrócić. Za nic w świecie. Jej zaszklony wzrok zahaczył o okna pani Dusi. I w tej samej chwili ją olśniło – wiedziała, co ma robić. Pobiegnęła pod urząd pocztowy, tam gdzie stał automat telefoniczny. Wyszperała z kieszeni portfel, po czym wydobyła z

niego złożoną na cztery karteczkę i garść drobniaków. Wrzuciwszy monetę, wykręciła zapisany na kartce numer. Pani Dusia, wyjeżdżając, zostawiła go jej na wszelki wypadek. Po drugiej stronie długo nikt nie podnosił słuchawki. Gdy w końcu ją podniesiono, głos w telefonie był półprzytomny i zaspany.

– Dobry wieczór – wyjąkała, myśląc, że ten zwrot nijak nie pasuje do trzeciej nad ranem, ale nic innego jej nie przychodziło do głowy. – Mam na imię Adrianna i muszę porozmawiać z panią Dusią.

– O tej porze? Stało się coś? Mama śpi. – Głos domagał się wyjaśnień.

– Ja wiem, że jest środek nocy, ale to nie może czekać. To... – W słuchawce coś zaszleściło i Ada usłyszała w tle głos sąsiadki.

– Ktoś do mnie? – zapytała tamta, przejmując telefon.

– Pani Dusiu, tak się strasznie boję. – Ada, słysząc ten dobry, znajomy i pełen troski głos, całkowicie straciła panowanie nad sobą i rozpaczliwie zaszlochała.

– Adeńko, kochanie, nie płacz, co się stało i gdzie ty jesteś?

– Pod pocztą, nie mogę tam wrócić, próbowałam, ale nie mogę! Mama mnie zabije, nie powinnam do pani dzwonić – mówiła nieskładnie. – Ale ja tam nie wrócę, za nic w świecie! Boję się tego pijaka z naprzeciwka i tego, że ta Nowakowa umarła w tym mieszkaniu! I tam jest tak strasznie zimno, i węgiel się kończy, i...

– Poczekaj, nic z tego nie rozumiem. Jaki pijak, jaka Nowakowa? Zresztą nieważne, to nie jest dobry moment na wyjaśnienia. Rano wrócę i wszystko mi po kolei opowiesz. A teraz posłuchaj uważnie, naprzeciw naszego bloku, w tym takim punktowcu pod dwójką, mieszka moja znajoma, pani Lidka, pamiętasz ją?

– Tak. – Ada mocno zacisnęła zgrabiałą rękę na czarnej słuchawce.

– Dobrze, ja teraz do niej zadzwonię i powiem, że przyjdiesz. Da ci

klucze od mojego mieszkania, nie będziesz się bała u mnie zostać?

– Przecież nie pierwszy raz będę spała sama – wyszeptała, czując, jak wielki, stutonowy kamień spada jej z serca.

A następnego dnia, po tym jak pani Dusia wróciła i wysłuchała opowieści Ady, rozpętało się piekło. Dziewczyna nigdy nie widziała, żeby starsza pani była tak wzburzona. Niewiele myśląc, skierowała się do mieszkania Teresy i nie pukając, wparowała do środka.

Zastała ją leżącą z Ryszardem w łóżku.

– A paniusia co tutaj wyprawia!?! – zbulwersował się Rysiek.

– Ty lepiej milcz! – poradziła mu Dusia złowrogo. – A ty posłuchaj mnie uważnie, bo nie powtórzę tego po raz drugi – zwróciła się do Teresy, nie dając jej dojść do słowa. – To był ostatni raz! Jeżeli jeszcze raz się coś takiego powtórzy, pójdę z tym na policję, rozumiesz? Dopóki żyję, nigdy już nie skrzywdzisz tego dziecka w ten sposób. A jeżeli znów spróbujesz, wszyscy – rozumiesz? – wszyscy: sąsiedzi, sprzedawczyni w sklepie, listonosz i każdy, kto przyjdzie mi do głowy, usłyszy o tym, co wyprawiasz. Milczałam, ale to już zaszło za daleko! Skoro musisz się puszczać i zdejmować majtki przed każdym, kto tego zapragnie, to twoja sprawa, ale nie kosztem dziewczynki! Dość! Teraz Ada zostaje u mnie! – dodała i wyszła, trzas-kając drzwiami.

– Do tej pory myślałam, że ona jest po prostu zwyczajnie głupia – mamrotała wzburzona, wracając do domu. – Ale myliłam się. Nie dość, że jest pusta, to na dodatek bezmyślna i zła!

Pani Dusia wiedziała, co robi. Zagroziła Teresie tym, czego tamta najbardziej się bała. Nie przeżyłaby dostania się na języki. Nie po to dbała przez te wszystkie lata o pozory, żeby teraz to wszystko zaprzepaścić. Oczywiście, gdy przydybała Adę na klatce, wysyczała jej do ucha, że kała własne gniazdo i że jeszcze pożałuje. Ale na pogrożkach się skończyło i nie

próbowała zmusić dziewczyny do powrotu do wynajętego mieszkania.

I oczywiście po jakimś czasie, gdy pewnego dnia Ryszard ukradkiem zwinął manatki i ulotnił się jak sen złoty, Ada wróciła do domu.

– Nie możesz mnie teraz zostawić samej. Ja się z tego nie podniosę, nie dam rady! Coś sobie zrobię – zapowiedziała Teresa córce.

– Nie powinnaś jej ustępować. Przecież ona tobą manipuluje. To, co robi, to zwykły szantaż – tłumaczyła jej pani Dusia, patrząc, jak jeszcze tego samego dnia dziewczyna pakuje swoje rzeczy.

Ada wiedziała, że starsza pani ma rację, ale w końcu to była jej matka. Jedyna, jaką miała. Matka, której nie mówi się „nie”.

– **A**turystka to mi na moje wprawne oko wygląda na smutną i zagubioną. – Drgnęła, słysząc obok siebie lekko schrypnięty głos.

Zamrugła gwałtownie, wyrwana z niewesołych wspomnień, i ze zdumieniem spojrzała na stojącego przed nią osobnika. Miał na sobie nieco wyliniały, jakby za obszerny owczy kożuszek, bardzo długi, różowo-musztardowy szalik, który majtał mu się w okolicach kolan, i czapkę uszatkę z czymś w rodzaju pokażnej antenki na czubku. I na kilometr wionął przeterminowanym kaczem.

– A to tak od razu widać, że ja nietutejsza? – odparła, bo jednak wypadało coś odpowiedzieć, i z zainteresowaniem przyjrzała się antence, która za każdym razem, gdy właściciel czapki przekręcał głowę, zmieniała położenie.

– No od razu, ale niech no się turystka tak nie przejmuję, to tylko dla mnie jest jasne jak słońce. Ja tutaj każdego znam. – Uśmiechnął się i popatrzył na nią lekko przekrwionymi oczami. – Miecio jestem. Latem lokalny artysta, a zimą wytwórca regionalnych trunków.

– A to tak można? Być artystą sezonowym?

– A można, a nawet trzeba. Bo ja, widzi turystka, jestem muzyk lokalny, ale pracuję na wolnym powietrzu. To zimą nie ma sezonu. Ale latem razem z kolegami to tak umiemy zaśpiewać i tak ponawywijać, że ho, ho!... – oznajmił z wyraźną dumą. – Chce turystka posłuchać? Przygotowuję nowe, letnie numery, żeby było i nowocześnie, i na ludowo, będzie turystka pierwsza, której to odśpiewam.

– No skoro tak, to oczywiście... niech pan śpiewa... – wyjąkała skonsternowana i nieznacznie się odsunęła, bo lokalny artysta wręcz parował

spożytymi trunkami, pewnie tymi regionalnymi, o których wspominał.

Adrianna zakodowała sobie naprędce, żeby za skarby świata nie dać się namówić na żaden tutejszy alkoholowy wyrób.

– No to uwaga, zaczynam – zapowiedział Miecio, odchrząkując.

*Jedziem my se wozem,  
Chłopaków gromada,  
Będziem jak ten piorun,  
Co na dziewczki spada!*

Ryknął tak, że Adrianna aż podskoczyła.

– Daje po uszach, no nie? – Zatarł ręce z zadowoleniem.

– O tak, akurat z tym trudno by się było nie zgodzić – przytaknęła skwapliwie.

– To może jeszcze jedną próbkę? – Lokalny artysta ku przerażeniu Ady najwyraźniej dopiero nabierał rozpędu.

– Panie Mieciu, a co mi pan przyjaciółkę straszy, co? – rozległ się opodal roześmiany głos.

Adrianna obejrzała się i zobaczyła stojącą za sobą kobietę, w której z miejsca rozpoznała Magdę. Madeleine mimo upływu lat w ogóle się nie zmieniła.

Przez moment patrzyły na siebie, stojąc bez ruchu, aż w końcu w tej samej chwili wyciągnęły ku sobie ręce i mocno się uścisnęły.

– No proszę, to turystka, a do mojej panienki przyjechała. – Głos lokalnego artysty wibrował wzruszeniem. – Aż mnie coś w dołku ściska, jak tak widzę, jak panienka turystkę wita! Mnie też by mogła panienka choć raz tak do piersi przygarnąć – dodał z rozmarzeniem.

– Panie Mieciu, też ma pan pomysły! Dawno już przecież ustaliliśmy, że

moja pierś należy do kogo innego i że to, co nas łączy, to czysto platoniczne uczucie. – Madeleine mrugnęła porozumiewawczo do Adrianny. – A poza tym ciekawe, co by na to powiedziała pańska żona, która notabene przed momentem była u mnie w księgarni i pytała o pana.

– I co jej panienska powiedziała? – Miecio wyraźnie się zaniepokoił.

– Prawdę. Że nie mam pojęcia, gdzie pana licho poniosło. Ale ona w końcu pana znajdzie i coś mi się zdaje, że nie wpadnie w zachwyty, gdy poczuje to co ja teraz. – Madeleine wymownie pociągnęła nosem.

– A, spokojnie, na całe szczęście harpia jedna katar złapała. – Miecio beztrąsko machnął ręką. – Co ja mam z tą kobitą, to po prostu trudno uwierzyć. Krew, pot i łzy, i zero zrozumienia dla duszy artystycznej! Ale widać, taki mój los.

– I z powodu tego artyzmu zalatuje pan gorzelnią od samego rana? – Madeleine wzięła się pod boki.

– Lubię, jak mnie panienska tak beszta – rozczulił się Miecio. – A poza tym mówiłem przecież, że teraz robię zimowy interes. I cóż ja na to poradzę, że praca wymaga ode mnie poświęcenia. Gdybym ładował węgiel, to bym był cały czarny, a jako regionalny producent trunków hmmm... sama panienska rozumie. Muszę mieć pewność, że sprzedaję dobry towar. Próbować trzeba, nawet jeżeli się nie chce. – Zrobił zboląłą minę. – Na szczęście nie jestem sam, bo w pojedynkę to bym rady nie dał. A tak z kolegami mamy dyżury i na zmianę degustujemy. Jak jeden już się przepracuje, to drugi go zmienia. Jakby turystka szukała pracy, to u nas...

– Panie Mieciu – przerwała mu Madeleine groźnie.

– Ano tak, oczywiście, to ja znikam, bo muszę pędzić do Łysego. Druga zmiana – dodał i fantazyjnie zarzuciwszy szalik na ramię, odszedł, raz po raz oglądając się za siebie.

– Na mój gust to ta zmiana będzie już trzecia, o ile nie czwarta –



mruknęła Madeleine. – Miałaś niesamowity fart, od razu się natknęłaś na najbarwniejszy koloryt lokalny, jaki kiedykolwiek spotkałam.

– Właśnie miałam zapytać o ten jego strój. Ten musztardowo-różowy szalik, antenka na czapce... Intrygujące.

– Prawda, że trudno nie zwrócić na to uwagi? Nasz Miecio od jakiegoś czasu usiłuje być eleganckim mężczyzną i nosi się z francuska – prychnęła śmiechem Magda. – Znaczący tak wygląda szyk paryski Mieciovymi oczami. Za chorobę nie trafisz, skąd on wpada na te modowe pomysły. Krecja, którą widziałas, to odsłona zimowa. Latem tradycyjnie nosi koronkowy żabot. Od razu ci powiem, że ten ostatni to specjalnie dla mnie. Podobnie jak ty natknęłam się na pana Miecia pierwszego dnia, gdy tu przyjechałam, i biedak ubrał sobie, że kocha mnie nad życie. Nawet francuskiego się dla mnie zaczął uczyć i razem z kumplami przychodzić do mnie na lekcje.

– Tymi kumplami od degustacji? – upewniła się Adrianna, robiąc wielkie oczy.

– Tymi samymi. Na swój sposób rozślawili nawet nasze Malownicze. – Madeleine śmiała się już na całego. – Turyści pstrykają im zdjęcia, jak wysiadują pod sklepem, popijając tanie wino i wkuwając francuskie słówka. Teraz mają wolne, moi uczniowie, nie turyści, rzecz jasna, bo zaczął się okres przedświąteczny. I strasznie wąsko mi się z czasem zrobiło, więc odwołałam wszystkie lekcje. Prowadzę jeszcze tylko zajęcia dla dzieciaków na plebanii – dodała tonem wyjaśnienia. – A co do Miecia, to staram się mieć do niego cierpliwość. Jego żona prosiła mnie, bym, broń Boże, go nie zniechęcała i nie przeganiała. A ta kobieta i tak już ma z nim krzyż pański, nie chcę jej dokładać nowych zmartwień.

– Czekał, bo nie bardzo rozumiem... – Ada potrząsnęła głową. – On cię kocha, platonicznie czy nie, ale jednak, robi do ciebie maślane oczy i smali cholewki, a jego żona jeszcze cię prosi, żebyś na to pozwalała? – Adrianna

bez skutku usiłowała poskładać w logiczną całość to, co usłyszała.

– Też z początku nie rozumiałam, tym bardziej że wszyscy mnie przestrzegali, że z Mieciovą lepiej nie zadzierać. Sam pan Miecio mnie ostrzegł, że niestety, ale ma żonę straszną heterę i że w związku z tym to będzie trudna miłość. A potem się okazało, że biedaczka dzięki temu cielęcemu zachwyтови Mieczysława mogła trochę odetchnąć. Bo zaczął mniej pić, ubierać się, cóż... dziwnie, bo dziwnie, lecz czysto, i w ogóle zrobił się bardziej podobny do ludzi. Ale czekaj, ja cię tu zagaduję, a ty pewnie padasz na twarz. Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę. Możesz iść ze mną albo poczekać w księgarni. To mi zajmie dosłownie chwilkę. Krysia upiekła kłopotki, kupiłam więc od razu całe pudełko i część chcę podrzucić Leontynie do Kuferka. Kłopotki są pyszne, mówię ci, niebo w gębie, a nieczęsto można je dostać, bo Krysia piecze je, tylko gdy spadają na nią jakieś poważne problemy. Swoją drogą to ją muszę do nas zaprosić i pociągnąć za język, zawsze to lepiej człowiekowi się robi na sercu, jak się może wygadać. Chociaż i bez tego wiem, że pewnie chodzi o Kacpra. Faceci – prychnęła z dezaprobatą. – To co, odprowadzić cię do księgarni czy mi potowarzyszysz?

– Chętnie rozprostuję kości. Naprawdę. – Ada uśmiechnęła się i rozsądnie postanowiła nie dopytywać, kim u licha są Krysia i Leontyna, o co chodzi z kuferkiem i żulikami wkuwającymi francuski dla przyjemności swojego kolegi.

Na pewno sama się w tym wszystkim wkrótce połapię – pomyślała, przecinając na ukos lśniący, błyszczący od ozdób świątecznych rynek.

I zupełnie umknęło jej uwagi, że ledwo tu przyjechała, a już została wciągnięta w życie miasteczka. Na razie delikatnie i powierzchownie, ale na tyle skutecznie, by zepchnąć na drugi plan to, co jeszcze przed chwilą sprawiało jej ból. Wiadomość od Teresy pozostała bez odpowiedzi. O tej

drugiej, nieodczytanej, zupełnie zapomniała.

Tego dnia Leontynę roznosiła złość. Zaczęło się od poranka. Poruszanie się w kopnym śniegu może było dobre dla młodych i dziarskich, ale dla niej stanowiło nie lada wyzwanie.

Chyba musiałam do reszty postradać rozum, gdy się ucieszyłam na widok tego białego zimnego paskudztwa, myślała zirytowana, przystając co chwila dla złapania oddechu. Gdy w końcu dotarła do Kuferka, była półżywa ze zmęczenia. Wszedłszy do środka, odruchowo poklepała zadziornego anioła po gipsowych loczkach, po czym przeniosła rękę na główkę smutnego i czulego pogładziła. Instyktownie czuła, że temu drugiemu potrzeba więcej delikatności.

Chwilowo tylko na tyle starczyło jej energii. Nie rozpinając płaszcza, przysiadła na fotelu i przez chwilę głęboko oddychała, starając się uspokoić bijące szybko serce.

To już nie na moje lata, westchnęła, obrzucając niechętnym spojrzeniem kartony, które od wizyty Marysi nadal stały nietknięte na podłodze.

Jakoś nie miała serca, żeby się zająć rozpakowywaniem. A poza tym, póki nie zaglądała do środka, póty nie musiała się zastanawiać nad tym, co zrobić z wyjętymi rzeczami. Już teraz półki się uginały.

Cóż, jęknęła w duchu, zbliżają się święta, ludzie będą szukać wyjątkowych drobiazgów dla bliskich, to i u mnie pewnie w końcu zrobi się luźniej. Wyciągnęła rękę i zapaliła wielką stojącą lampę. Mechaty złoty klosz natychmiast rozjaśnił wnętrze ciepłym, łagodnym światłem. Zrobiło jej się ciut lepiej.

– Głupi i rozkapryszony babsztyl z ciebie – zbeształa się pod nosem. – Jazda do roboty, leniu przebrzydły, a zaraz ci wszystkie depresje wywietrzeją

z głowy! – dodała, patrząc na swoje odbicie w ogromnym przedwojennym lustrze.

Pracy rzeczywiście było sporo. Właśnie dziś całe Malownicze uroczyście zaczynało przygotowywać się na nadejście świąt. Motywem przewodnim tego roku miał być anioł. Leontyna dawno już obmyśliła koncepcję bożonarodzeniowej wystawy. Oczywiście dwa anioły, zadziorny i smutny, miały w niej odegrać przewodnią rolę.

A poza tym będzie i Święty Mikołaj z wielkim workiem, i pięknie mieniąca się pastelowym szkłem patera, na której będą piętrzyły się miniaturowe pierniczki, i duże pierniki, a do tego żłóbek, na którego skraju przycupną małe porcelanowe cherubinki.

Starsza pani uśmiechnęła się sama do siebie i zabrała do roboty. Zły nastrój ulotnił się jak kamfora.

I akurat wtedy, gdy zrobiła sobie przerwę, parząc w fikuśnym czajniczku kawę, przy drzwiach zadźwięczał dzwonek. Leontyna wyjrzała z zaplecza i rzuciła okiem w stronę wejścia. W drzwiach jej sklepu stał wysoki, patykowaty jegomość, w długim, sięgającym niemal stóp, czarnym płaszczu, którego kołnierz postawiony był tak, że ginęła w nim połowa twarzy. To, co z niego wystawało, składało się głównie z wielkiego, krzywego nochala i małych, chytrych, rozbieganych oczek.

Wraz z nim do sklepu wtargnęła dziwna, lepka wilgoć. Leontyna mimo woli wzdrygnęła się i ciaśniej otuliła wełnianą chustą. Przez moment uważnie się przyglądała nieznanemu. Jego długa, chuda, spowita od stóp do głów w czerń postać ewidentnie się z kimś jej kojarzyła. Za Boga nie wiedziała jednak z kim. Nochal chwilę kręcił się po sklepie, markując zainteresowanie porcelanowymi filiżankami, a potem niby od niechcienia podszedł do witryny i objął przelotnym spojrzeniem siedzące na niej anioły, po czym odwrócił się w stronę Leontyny. Chytre oczka na ułamek sekundy zatrzymały się na jej

twarży. Widać Nochalowi tyle wystarczyło, by wyrobić sobie o niej zdanie. Wyprostował się, położył kołnierz, odsłaniając szpiczasty, niedogolony podbródek, i przywołał na oblicze pobłażliwy uśmiech.

– Ile? – zapytał i niedbałym gestem wskazał za siebie.

– Dla pana zbyt dużo – odparła krótko. Z ukontentowaniem spostrzegła ledwie widoczny grymas niezadowolenia, który sprawił, że wąskie usta przybysza mocniej się zacisnęły.

Jednak, trzeba mu było przyznać, szybko się opanował.

– No tak, mogłem się domyślić, stara dobra szkoła handlu! – rzekł tonem pełnym szacunku i w okamgnieniu z cwaniaka przeistoczył się w dżentelmena starej daty.

A raczej próbował. Leontyna zbyt długo żyła na tym świecie, by dać się na to nabrać. Nawet gdyby od razu włożył uprzejmą maskę, to zostawała jeszcze ta dziwna, przejmująca wilgoć, która go otaczała. I dotkliwe przeświadczenie, że nie tylko cherubiny z wystawy, ale też żaden z przedmiotów z jej sklepu nie może się dostać w jego łapska. No, może poza porcelanową pasterką, która od początku sprawiała Leontynie kłopot. Pierwszy raz trafiła na taki okaz. Była po prostu nijaka, pusta i nigdzie nie pasowała. Wyniosła i jakby martwa. Tak, tę mogłaby oddać nawet Nochalowi. Za odpowiednią kwotę, rzecz jasna. Na pasterce i tak nie zrobiłoby to żadnego wrażenia. Zatopiona w myślach nie zauważyła, że mężczyzna od jakiegoś czasu spogląda na nią wyczekująco. Widać o coś pytał.

– Może pan powtórzyć, zamyśliłam się – powiedziała z przepaszającym uśmiechem.

Nochal, bo Nochal, ale jednak klient.

– Mówiłem, że chyba mnie pani, moja duszko, nie doceniła. – Przemówił tonem dobrotliwego wujaszka, jednocześnie usiłując przybrać poczciwy

wyraz twarzy. Nie robił tego chyba zbyt często, szło mu bowiem opornie. – Mógłbym tym aniołom podarować drugie życie. Współpracuję z fachowcami, którzy znają się na renowacji takich staroci. To co? Porozmawiamy o cenie? Zanim coś pani powie, z miejsca obiecuję, że dam dwadzieścia procent więcej od ceny wyjściowej. W granicach rozsądku oczywiście.

– Oczywiście – przytaknęła Leontyna, mrużąc oczy.

– Wiedziałem, że jakoś dojdziemy do porozumienia. – Nochal zatarł z zadowoleniem rękę. – To ile?

– Jak na razie, nie są na sprzedaż. Plus dwadzieścia procent, co daje nam wynik „za żadne skarby świata”. Zarezerwowane. – Wzruszyła ramionami na wszelki wypadek, chcąc uciąć potencjalną dyskusję. – Ale żeby nie poczuł się pan zbyt rozczarowany, mam dla pana inną propozycję – dodała, podchodząc do półki, na której wciśnięta w kąt kurzyła się porcelanowa pasterka. – Rzadki okaz, trzymany dla specjalnych klientów – rzekła zadowolona, że mimo wszystko udało jej się nie skłamać.

Wszak pasterka była jedyna w swoim rodzaju. Nikomu budzącemu sympatię by jej nie sprzedała. *Summa summarum*, mówiła samą prawdę. Był to i rzadki okaz, i wyjątkowy klient.

Podążyła Nochalowi pasterkę i z ulgą spostrzegła przez szybę zbliżającą się do sklepu Madeleine z jakąś nieznaną dziewczyną.

– Dobrze, rzeczywiście ma coś w sobie, wezmę ją – zgodził się Nochal – ale te anioły...

– A, widzi pan, właśnie przyszły klientki, które już za nie wpłaciły zadatek – przerwała mu Leontyna, wskazując na wchodzące Adriannę i Madeleine. – To by było niepoważne, gdybym teraz sprzedała je panu...

– To nie wchodzi w grę – wtrąciła Magda, robiąc oburzoną minę. – Jestem bardzo przywiązana, do.... eee... cóż ja to chciałam powiedzieć...

– Do aniołów – podpowiedziała jej usłużnie Leontyna.

– O, właśnie, do aniołów.

– Mówiłam. – Starsza pani błyskawicznie zapakowała pasterkę w papier i podała ją Nochalowi, inkasując należność.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, odetchnęła z ulgą.

– Chyba was do mnie dobre wiatry przywiały. Dzięki Bogu, że z miejsca złapałaś, o co mi chodzi – zwróciła się do Madeleine.

– Ja bym w to raczej wmieszała tego stojącego po drugiej stronie, ogoniastego i rogatego. W końcu łągałam jak z nut. – Dziewczyna położyła na ladzie paczkę z ciastkami zapakowaną w kremowy papier. – A których to aniołów nie chciałaś mu sprzedać?

– Właściwie to nie chciałam mu sprzedać niczego poza tą jedną pasterką, którą z czystym sumieniem oddałabym każdemu – sprecyzowała Leontyna, wzruszając ramionami. – A jemu chodziło przede wszystkim o dwa cherubiny z wystawy. Za skarby świata nie dopuściłabym do tego, by trafiły w jego ręce. Jegomość w ogóle przypominał mi kogoś... takiego lepkiego i niesympatycznego... tylko nie mogę sobie uprzytomnić kogo...

– Mnie się on skojarzył ze szpiegiem z krainy deszczowców – odezwała się milcząca dotąd Adrianna, rozglądając się po zapełnionym do granic wnętrzu.

W jednym z kątów tłoczyły się fotele i foteliki różnej wielkości i maści, stoliczki sprawiały wrażenie, że potykają się o własne nogi, i tylko duży dębowy stół stał w wyraźnie wygospodarowanym dlań miejscu. Oświetlała go wisząca nad nim głęboko zielona lampa.

– O to, to! Właśnie tak! Kraina deszczowców! – Ucieszyła się Leontyna. – Szczęście, że mi pomogłaś w rozwikłaniu tej zagadki, boby mnie to cały czas męczyło. Ale czy mi się zdaje, czy my się widzimy po raz pierwszy? – Leontyna popatrzyła uważnie na Adrianę.



– A, widzicie, jaka ze mnie gapa. – Madeleine lekko klepnęła się wierzchem dłoni w czoło. – Już naprawiam tę gafę. Leontyno, poznajcie się, to jest moja przyjaciółka Adrianna, Adrianno to jest... hmmm... chyba powinnam powiedzieć ciocia, ale jakoś tak się utarło, że mówię po prostu Leontyna.

– I ty, dziecko, też się tak do mnie zwracaj. – Starsza pani się uśmiechnęła. – Napijcie się kawy? Widzę, że i coś słodkiego się znajdzie – dodała, popatrując na paczkę przyniesioną przez Magdę. – Dobrze trafiłyście, mam właśnie przerwę w zmianie wystawy. Coś mi w tym roku nie idzie... – westchnęła. – Chyba ten bałagan w środku mnie denerwuje i rozprasza.

– No właśnie widzę, że te pudełka stoją tu już od jakiegoś czasu. To zupełnie do ciebie, Leosiu, niepodobne.

– Boję się je ruszyć. Zawsze byłam zdania, że nie ma czegoś takiego jak zbyt mało miejsca, bo zawsze się daje wygospodarować dodatkową przestrzeń. A tymczasem wychodzi na to, że jednak się myliłam.

– Też to w kółko powtarzam w księgarni, że nie istnieje coś takiego jak za dużo książek, może być tylko za mało półek – wtrąciła Madeleine.

– I obie macie racje. – Adrianna uważnie lustrowała wnętrze. – Tutaj też, gdyby to z głową przeorganizować, zmieściłoby się wszystko.

– Oho, skoro ona mówi, to wie – roześmiała się Magda. – Jest dekoratorką i architektem wnętrz.

– I mówisz, dziecko, że jest szansa, żeby to wszystko jakoś uporządkować? – Leontyna spojrzała na nią z zainteresowaniem i nadzieją.

– Nie tylko jest szansa, ale i na sto procent się uda. Jeżeli pani nie będzie przeszkadzało, że się szarogęszę, to mogę jutro przyjść i razem zrobimy tu przemeblowanie – powiedziała i umilkła speszona.

Sama nie wiedziała, co ją podkusiło, żeby proponować coś takiego. Przecież z założenia miała siedzieć w zimowej samotni i próbować

dogadywać się sama z sobą. Popijając wino. Nie rozmawiając z nikim. Zapominając o nadchodzących świętach i wszędobylskim grudniu, który pachniał piernikami, cynamonem i zielonym lasem. Czyli tym wszystkim, co po śmierci taty stało się dla niej nieosiągalne.

Tylko jak miała o tym wszystkim zapomnieć, skoro jutro znów będzie musiała patrzeć na ociekający świątecznością rynek? A z tego, co mówiła Magda, to był dopiero początek. Pierwszy dzień przygotowań. Miasteczko ponoć co roku brało udział w jakimś konkursie na najładniejszy rynek w okolicy i kilkakrotnie wygrało; od tamtego czasu mieszkańcy robili wszystko, żeby nadal dzierżyć świąteczną palmę pierwszeństwa.

Ponownie zerknęła na starszą panią. Jeszcze mogła się wycofać i wymigać od rzuconej pochopnie propozycji. Ale wiedziała też, że tego nie zrobi. W Leontynie było coś, co jej przypominało panią Dusię – ta sama kruchość połączona z żelaznym charakterem. I podobnie jak niegdyś w oczach swojej opiekunki, u tej starszej pani dostrzegła tak samo wiele ciepła.

Ostatecznie godzić się sama ze sobą mogę w trakcie przedstawiania tych wszystkich bibelotów, pomyślała.

– To co, jutro przychodzę i będziemy działać – rzekła z lekkim uśmiechem.

Skupiona na oglądaniu sklepu nie zauważyła, że Madeleine ze zdumieniem unosi brwi. Z tego, co usłyszała od Marleny, spodziewała się, że Ada zamknie się w pokoju i nie będzie chciała stamtąd nosa wyściubić. Przygotowała się na ciężką batalię, by wydobyć Adę ze skorupy, w której zamierzała się zamknąć. Tymczasem zadziało się coś, czego nie umiała sprecyzować, a co załatwiało część roboty za nią.

I dobrze, pomyślała, przyglądając się ukradkiem przyjaciółce ze studenckich lat. Ktoś, kto ma tyle smutku w oczach, potrzebuje od czasu do

czasu odrobiny magii. Najlepiej tej zwyczajnej, codziennej, płynącej od życzliwych i troskliwych ludzi.

Gdy Leontyna i Adrianna umawiały się na następny dzień, Nochal wsiadł do samochodu i pogwizdując radośnie, odjechał w kierunku domu. Towarzyszyły mu starannie opakowana paczuszka i poczucie zwycięstwa.

Biedak nie zdawał sobie sprawy, że chcąc się przypodobać Leontynie, niechcący trafił w sedno: starsza pani rzeczywiście była przedstawicielką starej dobrej szkoły i w handlu nie miała sobie równych. Wiedziała, jakich argumentów użyć, by rozbudzić w kliencie żądzę posiadania. W wypadku Nochala zrobiła to tak perfekcyjnie, że ten wyszedł z Kuferka z przeświadczeniem, że właśnie ubił interes życia. Dopiero gdy wszedł do domu i rozpakował paczuszkę, przez głowę przemknęła mu niepokojąca myśl, że stało się coś, co nigdy nie powinno mieć miejsca.

Na cholere! mi to jaskrawe paskudztwo? – jęknął w duchu, obracając chłodną figurkę w dłoni. – I dlaczego, na miłość boską, zapłaciłem za nią taki majątek? Rozum mi musiało odjąć! Trzeba zapamiętać, by omijać tę staruchę... – Tu jakby się zmieszał sam przed sobą. Jakoś głupio mu było nawet tak myśleć. – No, staruszkę – poprawił się po namyśle, tak, staruszkę. Szerokim łukiem.

I jej sklep również... Choć było w tym wnętrzu i w tej starszej kobiecie coś intrygującego i na dobrą sprawę chętnie odwiedziłby ją jeszcze raz, uświadomił sobie i zdumiał się jeszcze bardziej. Nigdy nie miał takich dylematów. Zawsze był stanowczy, cwany i twardo stąpający po ziemi.

Zaczarowała mnie, pomyślał i z przerażeniem złapał się za głowę. Delikatnie odstawił porcelanową pasterkę jak najdalej od siebie i poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

Nigdy, chociażbym nie wiadomo jaką miał na to ochotę. Moja stopa tam więcej nie postanie, postanowił.

I gdyby Leontyna wiedziała, jakie uczyniła na nim wrażenie, pewnie zdziwiłaby się niepomierne. A tak odczuwała tylko lekkie zadowolenie, że udało jej się za jednym zamachem spławić natręta i pozbyć nadętej, zimnej pasterki. Na jej gust ta dwójka pasowała do siebie jak ulał.

Adrianna dotarła z Magdą do jej domu późnym popołudniem. Gdy wysiadła z auta, z miejsca zapadła się w głęboki śnieg i równie głęboką ciszę. Granatowy zimowy zmrok otulał ciemną bryłę domu, niebo lśniło tysiącem gwiazd. Adrianna zadarła wysoko głowę i nagle doznała wrażenia, że oto znalazła się w miejscu, gdzie wystarczy wyciągnąć rękę, by sięgnąć nieba. Madeleine bez słowa stanęła obok niej i obie zapatrzyły się w gwiazdy.

– W mieście się tego nie zobaczy – szepnęła Ada.

– W mieście się tego nie usłyszysz – dodała Magda. – Tej ciszy, która momentami aż kłuje w uszy. Teraz tego nie widać aż tak, bo śnieg wszystko rozjaśnia, ale latem noce są tu... bo ja wiem... takie pierwotne, ciemne. Bije z nich moc. Nigdy nie zapomnę tej pierwszej, którą tu spędziłam. Byłam śmiertelnie przerażona, totalny mieszcuch wrzucony w dziki, nieznany świat. – Zaśmiała się cicho. – No, ale ty nie musisz się tym martwić, za dużo nas tu teraz mieszka, by jakiegokolwiek strachy odważyły się tu zapuszczać, a ciszą i spokojem rozkoszuj się, dopóki możesz, bo jak tylko na horyzoncie zjawia się dzieci, to o jednym i drugim będzie można tylko pomarzyć. Choć akurat chyba ich nie ma. Dom jest ciemny, pewnie Michał zabrał je do miasteczka, żeby wspólnie z innymi małolatami udekorowały dolne gałązki naszej rynkowej choinki. A wiesz, że tuż przed Wigilią zawieszamy na niej karteczki z prośbami? W zeszłym roku ludzie to nawet całe listy pisali.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że w tym dziwnym miejscu wierzycie w Świętego Mikołaja? – zdziwiła się Adrianna.

– Nie, w Mikołaja to niekoniecznie, ale w anioła to i owszem. Kiedyś ci o tym opowiem, ale na razie chodźmy do domu i skorzystajmy z tego, że

mogę ci w spokoju zaprezentować pokój – dodała i poprowadziła Adę za sobą.

Otworzyła drzwi, po czym pstryknęła włącznik światła, ale korytarz nadal pozostał ciemny.

– Oho, znów się przepaliła żarówka, poczekaj, zaraz włączę w drugim pomieszczeniu.

Adrianna posłusznie przystanęła i nagle poczuła, że serce w niej zamiera. Coś obok niej przemknęło, ocierając się lekko o jej kurtkę. Niby nic, zaledwie muśnięcie, ale z całą pewnością było to coś materialnego. Albo i nie?

– Hej, jest tu ktoś?! – zawołała, z trudem usiłując panować nad głosem.

Wtem to coś zmaterializowało się tuż za nią i chwyciło ją mocno za ramiona. Przerazona dziewczyna wrzasnęła i zrobiła pierwszą rzecz, jakiej nauczył ją trener na kursie samoobrony. Walnęła potencjalnego napastnika łokciem w brzuch, a następnie doprawiła tam, gdzie na jej wycucie powinien mieć krok.

Z odgłosu, jaki ją dobiegł, wywnioskowała, że trafiła w punkt. W tym samym momencie rozbłysło światło, ukazując przygiętego do podłogi mężczyznę, i Madeleine, która mrużąc oczy w nagłej jasności, usiłowała zrozumieć, co się właściwie stało. Ada jednak nie zamierzała czekać na to, aż którekolwiek z nich dojdzie do siebie, i wzięła zamach torebką.

– Nie! – wrzasnęli jednym głosem Magda i facet, Ada zaś zamarła w pół ruchu.

– Jezus Maria, skąd ty wytrzasnęłaś taką wariatkę! – wychrypiął mężczyzna, odsuwając się jak najdalej od Ady.

– Z kątowni – prychnęła Madeleine rozeźlona. – Czy ty nigdy nie wydoroslejesz, do cholery? O mało nie umarliśmy na zawał! To mój brat, Antek – zwróciła się do osłupiałej Ady. – Jak zwykle, trzymają się go

szczenięce żarty. Przepraszam cię za niego.

– Sam umiem przeprosić, jeżeli zachodzi taka potrzeba. – Wyprostował się z godnością, acz z widocznym trudem. – To miał być psikus, prąd już jakiś czas temu odłączyli, więc siedząc w tych ciemnościach, pomyślałem, że będzie zabawnie... Nie wiedziałem, że będziesz z kimś – dodał tonem wyjaśnienia. – Ty tak zawsze śmiesznie kwiczysz, jak się czegoś przestraszysz. A poza tym mnie jakoś nikt nie żałuje, a oberwałem całkiem porządnie. Kto by przypuszczał, że takie chucherko umie tak solidnie przywalić. – Pokręcił głową i ku zaskoczeniu Adrianny puścił do niej oko.

– Przepraszam, to był odruch – bąknęła.

– Przynajmniej będę wiedział, z kim mogę wieczorem iść w miasto. – Roześmiał się, ukradkiem rozmasowując sobie brzuch i przestępując z nogi na nogę. – Możesz spokojnie zostać moim bodyguardem. A tak na serio, siostra ma rację, zasłużyłem sobie. To nie był żart najwyższych lotów, ale gdy zobaczyłem światła samochodu, nie mogłem się oprzeć.

– I to jest twój największy problem, Tusi, właśnie to, że nie możesz się oprzeć. – Madeleine z pełną premedytacją użyła znienawidzonego przez brata zdrobnienia. – Mam z tobą do pogadania, mama dzwoniła. Nie myśl, że ci się upiecze – dodała z groźnym błyskiem w oku.

– Tylko nie Tusi, wypraszam sobie...

– To w takim razie może ja was zostawię samych – taktownie zaproponowała Adrianna.

– Tak, jasne, idź do kuchni i posiedź tam sobie, a ja cię zawołam, jak skończymy – sarknęła Madeleine.

– Eeee, w porządku, tylko gdzie jest kuchnia? – Dziewczyna rozejrzała się niepewnie dookoła.

– Oszalałaś? Przecież to miał być żart! My z Antonim mamy sporo wolnego czasu i zdążymy sobie wszystko wyjaśnić, cała noc przed nami



i kilka dni również. – Po czym zwróciła się do brata: – A ty przydad się na coś. Idź i przynieś bagaże Ady. Samochód jest otwarty. – Uczyniła dłonią nieokreślony gest, wskazując, gdzie mniej więcej zaparkowała auto. – Chodź, Ada, może uda nam się w końcu dotrzeć na piętro – rzekła do przyjaciółki – wykorzystajmy to, że światło wróciło.

– A może się z powrotem zawieruszyć?

Ada właśnie zdała sobie sprawę, że życie tutaj może jednak wyglądać trochę inaczej, niż sobie wyobrażała.

I może w związku z takimi atrakcjami dobrze, że ten samotny domek w górach nie wypalił, pomyślała. Bo gdyby tak w zupełnej dziczy, w obcym miejscu światło zagubiło się na amen... Umarłabym ze strachu. Jednak w takiej sytuacji lepiej mieć pod bokiem kogoś, do kogo można się odezwać.

– Miejmy nadzieję, że wróciło na stałe – odparła Madeleine. – Przy opadach śniegu przerwy w dostawach prądu zdarzają się często. Dlatego tuż przy łóżku położyłam ci latarkę. Zresztą zaraz zobaczysz. Wybrałam ci pokój na końcu korytarza. Widok masz tak, jak obiecałam, na góry, sarny rzeczywiście przychodzą na podwórko, będziesz mogła je obserwować z okna, łazienkę masz koło sypialni. Tylko z tym stuprocentowym spokojem może nie do końca utrafiłam – dodała ze skrucą w głosie, zapalając światło.

Oczom Adrianny ukazał się jasny, przestronny pokój, z dużym podwójnym łóżkiem, przykrytym szydełkową jasnobłękitną kapą. Na podłodze panoszył się puchaty kremowy dywan. W okiennej wnęce stały przedwojenny okrągły stolik i dwa fotele z wełnianymi pledami w biało-granatową kratę na oparciach. Półkę nad łóżkiem apetycznie zapełniały książki. W kącie było biurko zrobione ze starego stolika od maszyny do szycia.

– Marlena mówiła, że projektujesz, pomyślałam, że biurko może ci się przydać. – Madeleine podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. – Nic nie

mówisz, nie podoba ci się? – zapytała zaniepokojona.

– Daj spokój – wyszeptała ze wzruszeniem Adrianna. – Czy mi się podoba? Tu jest tak... Tak jakby ktoś dobry i miły mocno mnie przytulił. – Zamilkła, czując, że jeśli powie coś więcej, to nie zapanuje nad wzruszeniem i się rozpłacze.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuła się tak, jakby po długiej wędrówce trafiła wreszcie do miejsca, które mogła nazwać domem.

**A**drianna położyła się do łóżka bardzo późno. Najpierw wrócił mąż Madeleine Michał, z dziećmi, i niezręcznie było się nie przedstawić.

A potem nawet nie zauważyła, kiedy ze wszystkimi zasiadła przy ogromnym prostokątnym stole w kuchni i obierając ugotowane na twardo jajka i krojąc cebulę, została wciągnięta w sam środek rodzinnego wieczoru. Dzieciaki kłóciły się i przekomarzały, a gdy w końcu zostały zapędzone do łóżek, Madeleine, krztusząc się ze śmiechu, opowiedziała Michałowi o ich powrocie do domu.

– Oj, naprawdę, nie masz już o czym gadać – usiłował powstrzymać ją Antoni.

– No, wiesz co, stary, byś się wstydził ukrywać przed najlepszym kumplem takie rzeczy. – Ubawiony Michał wyjął z kredensu karafkę z rubinową nalewką. – To żadna kompromitacja, tylko czysta klasyka. Nie kojarzysz? „Kobieta mnie bije!” Albo: „No wiesz! Nasza cywilizacja zawałiła się w gruzy, a tobie tylko dupy w głowie!”.

– Michał, jak cię zaraz palnę...

– Ale za co... ja tylko cytuję... – Michał zrobił niewinną minę.

– Aha, ty mi insynuujesz, i to podle. Ale fakt faktem, *Seksmisja* jest nie do pobicia.

– To prawda. Wiecie, że ja w tym filmie po raz pierwszy w tak dużym zbliżeniu zobaczyłam męskie przyrodzenie? – wtrąciła Magda. – I było to naprawdę szokujące.

– Bo to w ogóle były inne czasy – skwitował Antek. – Żeby zobaczyć kawałek golizny, ileż to się człowiek musiał nakombinować... – Tu przerwał i rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Ady.

Ładna była. Zwłaszcza gdy zapominała o tym, że powinna się kontrolować. Tak jak teraz, śmiała się, oczy jej błyszczały, włosy miękko opadały na ramiona. Aż chciałoby się je pogłaskać, zanurzyć w nich palce...

– Antoś, chodź ze mną na chwilę do twojego pokoju, muszę ci coś pokazać. – Z rozkosznych rojeń wyrwał go głos Madeleine.

Ledwo wyszli z kuchni i odeszli kawałek w głąb korytarza, Magda przystanąła i spojrzała na niego surowo.

– Nawet o tym nie myśl – syknęła.

– Coś ty, przecież ja...

– Antek, daruj sobie, doskonale znam to twoje spojrzenie! Niestety, na nieszczęście dziewczyn jesteś po prostu diabelnie przystojny, a one dają się na to łapać jak muchy na lep. I tak, tak, ja wiem, to jest ich problem, a twoje życie. Ale od Ady trzymaj się z daleka. Bardzo cię proszę. Ona ma dość innych kłopotów, złamane serce jest jej naprawdę do tego wszystkiego niepotrzebne.

– Ale dlaczego ty od razu zakładasz, że ja mam nieuczciwe zamiary, co?

– Bo cię znam. I zostawmy to, i tak muszę z tobą poważnie porozmawiać, ale nie w tej chwili. Teraz wróćmy tam i spędźmy miłą wieczór.

I tak właśnie zrobili. Jednak Antek nie mógł sobie odmówić, by choć od czasu do czasu nie zerkać na Adę. I im bardziej do niego docierało, że ona w ogóle nie zwraca na niego uwagi, tym częściej na nią popatrywał. Prawdę mówiąc, nie przywykł do tego, żeby dziewczęta go ignorowały.

Biedna Madeleine nieświadomie zrobiła coś zupełnie odwrotnego, niż zamierzała. Zapomniała, besztając Antoniego, że zakazany owoc najbardziej kusi i najlepiej smakuje.

O wiadomości od matki i drugim nieodczytanym esemesie Ada przypomniała sobie, dopiero leżąc w łóżku. Sięgnęła po telefon i jeszcze raz przebiegła wzrokiem po tekście.

Tym razem skoncentrowała się tylko na nim, nie pozwalając dojść do głosu wspomnieniom ani opuszczonej, małej dziewczynce. I tak tamta zbyt często domagała się uwagi. Adriannę bardzo to niepokoiło; odkąd zamieszkała sama, starała się w ogóle nie myśleć o przeszłości. Oczywiście miewała chwile słabości, zwłaszcza grudzień i święta dawały jej się we znaki, ale do tej pory jakoś sobie z tym radziła. Dopiero w tym roku, po tym jak ją Teresa omamiła wizją pięknych, rodzinnych świąt, coś w niej pękło. Tak jakby ta jedna, decydująca kropla przelała czarę goryczy.

*Karl już dopytuje się, co z tobą nie tak.*

Zatrzymała wzrok na tym jednym zdaniu.

No właśnie, też bym chciała to wiedzieć. Co ze mną jest nie tak? – zapytała się w duchu. I w tym samym momencie przypomniała sobie dawno temu wypowiedziane przez panią Dusię słowa: „Ona tobą manipuluje, to się nigdy nie zmieni, póki nie odważysz się powiedzieć »nie«”.

W zamyśleniu bawiła się komórką i w końcu kliknęła ikonkę z wiadomościami esemesowymi.

*Skarbie, moja broda i ja nie możemy się już doczekać spotkania. Gdzie jesteś, puchaty króliczku? Uchyl rąbka tajemnicy, a zjawię się i cię dopadnę!* – odczytała.

– O Boże, do kompletu jeszcze ten się objawił – mruknęła.

I nagle poczuła narastający bunt. Pączuszek, puchaty króliczek... No, to

zaraz zobaczymy, czy pani Dusia miała rację – pomyślała i otworzyła wiadomość od matki.

*Nie. – Wystukała zdecydowanie. – Nie. Nie posprzątam ci mieszkania. Nie – nie chcę być śnieżynką, nie – nie mam ochoty mieć z tobą nic wspólnego. NIE, NIE i jeszcze raz NIE.*

Skończyła pisać i się zawahała. Było już grubo po pierwszej w nocy, a jej matka nie życzyła sobie żadnych wiadomości o tej porze.

Ale ledwo zdała sobie sprawę, nad czym się zastanawia, wszystko się w niej zagotowało z jeszcze większą siłą.

– Chrzanić to – burknęła i zdecydowanie kliknęła ikonkę „wyślij”.

A potem wróciła do esemesa od brodacza. Tutaj nie wysilała się na żadne tłumaczenia. Napisała po prostu „nie”.

I tyle wystarczy, uznała, po czym wyłączyła komórkę i zgasiła lampkę. Otuliła się kołdrą i pomyślała, że pani Dusia, jeżeli patrzy na nią gdzieś z góry, na pewno jest z niej dumna. I że jutro będzie się bała włączyć telefon. W tej chwili jednak postanowiła w ogóle o tym nie myśleć. Zamknęła oczy i powoli dała się ukołysać ciszy.

O budziła się, gdy na dworze panowała jeszcze kompletna ciemność. Przez moment przewracała się z boku na bok, próbując zasnąć, ale wnet zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Wstała, wciągnęła na siebie dżinsy, puchaty sweter, a na stopy grube wełniane skarpety. Na palcach podeszła do drzwi i starając się nie robić hałasu, przemknęła jak duch do kuchni. W egipskich ciemnościach usiłowała wymacać na ścianie włącznik.

– Z drugiej strony. – Niespodziewanie rozległ się głos, na którego dźwięk Adrianna omal nie dostała palpacji serca. – Zresztą poczekaj, tu na szafce jest lampka – dodał ów ktoś i w tej samej chwili kuchnię zalało światło.

– Czy to będzie nasza nowa świecka tradycja? – prychnęła dziewczyna na widok Antka. – Za każdym razem będziesz się zaczyjał w ciemnościach i mnie straszyl?

– Tym razem to czysty przypadek. – Uśmiechnął się, unosząc zawadiacko jedną brew. – Nie sądziłem, że jeszcze ktoś poza mną wstanie tak wcześnie. Widzę, że nie tylko ja mam problem ze spaniem w nowym miejscu – powiedział, otwierając kredens i wyjmując z niego granatową filiżankę ze złoconym brzegiem i fikuśnie wygiętym uszkiem. – Siadaj, właśnie zaparzyłem kawę – dodał i sięgnął po stojący na środku stołu dzbanek z zaokrąglonym brzuszkim i lekko obtłuczonym dzióbkiem.

– Dziękuję. – Adrianna przysiadła i otuliła dłońmi parującą filiżankę. – U mnie to nie nowe miejsce, raczej przyzwyczajenie. Zwykle wstaję wcześnie. Patrzenie, jak z odmetów nocy wyłania się nowy dzień, to prawie jak obecność przy narodzinach – rzekła zamyślona. – To ten jedyny w swoim rodzaju moment, gdy wszystko jeszcze może się zdarzyć. Każdy poranek to zarazem któryś z kolei pierwszy krok, a pierwszy krok zawsze daje nadzieję,

że wszystko jest jeszcze przed nami, to lepsze, nieznanne, oczekiwane... – Przerwała, bo dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że wypowiada to wszystko na głos.

Obrzuciła Antoniego spłoszonym spojrzeniem, ale nie dostrzegła na jego twarzy ani rozbawienia, ani kpiny.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło, żeby... no wiesz... Zabrzmiało to górnolotnie i niepoważnie – bąknęła.

– Zabrzmiało to bardzo poważnie, mądrze i autentycznie – powiedział, nie odrywając od niej wzroku. – Tak jakbyś zasłuchała się w siebie i podzieliła ze mną tym, co jest najbardziej twoje. I tym bardziej jestem zaszczycony, bo po twojej reakcji wnioskuję, że nie zdarza ci się to zbyt często. A wiesz, że gdzieś kiedyś przeczytałem, że marzenia rodzą się o świcie? – Zajrzał jej w oczy.

A spojrzenie miał ciepłe i miękkie. Zmierzwił włosy zawadiacko opadały mu na czoło. Jednodniowy zarost sprawiał, że wyglądał zarazem chłopięco i męsko. Już wczoraj nie umknęło jej uwagi, że jest wysoki i mocny. Przystojniak pierwszej wody. I chyba właśnie zaczynał z nią flirtować. A na to zupełnie nie była gotowa. I zupełnie nie wiedziała, co z tym fantem zrobić.

Unikać, odpowiedział jej wewnętrzny głos.

– Cóż, hmmm... chyba nie tylko one. – Uśmiechnęła się z ulgą, bo nieoczekiwanie z pomocą przyszedł jej przypadek.

W głębi korytarza rozległo się trzaśnięcie drzwiami i po chwili w szparze kuchennych drzwi ukazała się rozczochrana głowa Frania.

– Gdzie jest ciocia? – zapytał półprzytomnie, wodząc zaspanymi oczami od Antka do Ady.

– Zdaje mi się, że jeszcze śpi. – Mężczyzna niechętnie oderwał wzrok od zarumienionej twarzy siedzącej naprzeciw niego dziewczyny.



– Już nie. – Tuż za Franiem wyłoniła się ziewająca Madeleine, usiłując trafić ręką w wiszący rękaw szlafroka.

– Jeść! – Franio na jej widok wyraźnie się ożywił.

– Nie wiem dlaczego, ale to dziecko, gdy tylko mnie zobaczy, zamienia się w chodzący przewód pokarmowy – mruknęła Magda. – To mnie trochę niepokoi. Jest jeszcze kawa? – Podniosła pokrywkę dzbanuszka i zajrzała do środka. – A swoją drogą, was też Bóg opuścił? – zwróciła się do brata i przyjaciółki. – Czemu nie śpicie? Tonio, ty to w ogóle będziesz półprzytomny. Ile ty spałeś? Dwie, trzy godziny? Po tym jak ci zmyłam głowę, siedzieliście jeszcze z Michałem...

– A, bo było sobie darować to głędzenie – odparł z dezaprobatą – nie wiesz, że taki typ jak ja po prostu tak ma? Z natury rzeczy szukam kłopotów.

– I co? Znajdujesz? – Ada, widząc jego minę, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Nie zawsze, ale samo szukanie też sprawia mi sporą frajdę – wyznał z rozbijającą szczerością.

– A ciocia wie, że Marcysia i Ania właśnie rozdzierają się na strzępy? – wtrącił się Franio niezadowolony z tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

– O masz ci los! To one też już są na nogach? – zdziwiła się Magda. – I oczywiście od rana drą koty!

– Kota tam nie widziałem, ale radzą sobie bez niego – poinformował Franio rzeczowo.

– Drzeć koty to znaczy... Zresztą nieważne, potem ci to wyjaśnię. Powiedz mi lepiej, o co tym razem im poszło.

– O piękno Marcysi – wyjaśnił chłopiec. – Obcięła sukienkę Ani do połowy. Bo chciała wyglądać potwornie. Powiedziałem jej, że ta sukienka wcale nie jest jej potrzebna, bo i tak niezły z niej potwór, a ona zamiast docenić to, jeszcze na mnie nakrzyczała. – Chłopiec był wyraźnie rozżalony.

– No, to rzeczywiście pięknie! Boże, daj mi cierpliwość...! – Magda z brzdękiem nałożyła pokrywkę na dzbanuszek i wypadła z kuchni.

Tuż za nią podążył Franio.

– Hmm... Chyba przygotuję świeżą kawę. – Antek podniósł się od stołu. – Coś mi mówi, że będzie jej potrzebna i że za moment rozpęta się tutaj codzienne, poranne piekło.

Jak się okazało, wiedział, co mówił.

– Ona zupełnie zwariowała! – dobiegł ich krzyk Ani. – Czy ciocia widzi, co zrobiła z moją kiecką? Przecież teraz to się już do niczego nie nadaje!

– A właśnie, że się nadaje! A ty i tak jej nie nosiłaś! – zaoponowała Marcysia. – A ja nie mam żadnej nowej sukienki, za to mam nowego pana od angielskiego i on powiedział, że kobieta musi być wytworna! Słyszysz, mały gamoniu? Wytworna, a nie potworna! – Ostatnie zdanie skierowane było do Franka.

– Ciociu, ja ją za chwilę naprawdę wytwornie ukatrupię – zapowiedziała Ania, zgrzytając zębami.

– Coś mi się zdaje, że to jest poważniejsza sprawa, niż mi się z początku wydawało – rzekła Magda, patrząc na Marcysię spod oka. – Porozmawiamy o tym przy śniadaniu. Do tego czasu niech nikt nikogo nie morduje ani nie bije – dodała i pomaszerowała do kuchni. – Dzięki – mruknęła, przyjmując od Antka parujący kubek. – Dobry brat nie jest zły – powiedziała, z lubością zaciągając się kawowym aromatem.

– Pewnie, ma też tę zaletę, że nie podbiera ci ciuchów ani kosmetyków – roześmiał się Tonio.

– A tam to o co dokładnie poszło? – zagadnęła Adrianna.

– O wytworność Marcysi i gust pana od angielskiego – wyjaśniła Magda.  
– Coś mi się wydaje, że mała się w nim zadurzyła.

– Jeżeli to prawda, to plus tego jest taki, że Marcysia będzie znała

perfekcyjnie język. – Adrianna dopiła resztkę kawy. – Pamiętam, jak w podstawówce, chyba w piątej klasie, pojawił się młody przystojny geograf. Większość dziewczyn nagle odkryła w sobie bezbrzeżną miłość do mapy i stron świata.

– I ty też? – Antek popatrzył na nią z zainteresowaniem.

– A nie, ja nie. – Ada nagle posmutniała i zamilkła.

Bo jak miała wyznać, że już wtedy wiedziała, że miłość jest nie dla niej. Jej nikt nie potrafił kochać. A i ona nie umiała zaufać. A przecież miłość to przede wszystkim ufność. Przeświadczenie, że można zamknąć oczy, podać tej drugiej osobie rękę i po omacku pójść tam, dokąd cię poprowadzi. A ona nie była do tego zdolna. Miała, owszem, kilku chłopców, umawiała się na randki, ale nie umiała uwierzyć, że ktoś mógłby ją pokochać i przy niej trwać.

A gdyby nawet, to bała się o tym w ogóle myśleć. Przecież zawsze mogła umrzeć – tak jak ojciec. Albo stać się taką jak matka. Nie mogła na to nikogo narazić. Samotność dawało się znieść. Zwłaszcza gdy na co dzień się o niej nie myślało.

Unikając wzroku Antka, opłukała filiżankę, odstawiła ją na suszarkę i głośno oznajmiła, że musi się przygotować do spotkania z Leontyną.

– Chciałabym jeszcze przemyśleć, jak najlepiej wykorzystać całą tę przestrzeń.

Skłamała, bo tak naprawdę dopiero na miejscu chciała się wnikliwie przyjrzeć sklepikowi. Ale wizyta u starszej pani stanowiła dobry pretekst, żeby uciąć niewygodny temat i bezpiecznie schronić się w swoim pokoju.

No, to pięknie zaczynam, pomyślała, odwracając fotel przodem do okna i otulając się pledem. Jestem potwornym tchórzem, cały czas uciekam, wyrzucała sobie.

I jakoś umknęło jej uwagi, że właśnie to wymaga niekiedy największej

determinacji. Żeby rzucić dotychczasowe życie w cholerę i powiedzieć temu, co nas boli, „nie”.

Nie niepokojona przez nikogo przeczekwała poranne zamieszanie i dopiero gdy zobaczyła, jak Madeleine z dziećmi wsiada do samochodu i odjeżdża, zeszła na dół, włożyła kurtkę i wyszła na zewnątrz. Z miejsca poczuła charakterystyczne szczypanie w nosie. Chwył tęgi mróz. Na moment przystanęła na schodkach werandy, podniosła oczy i znieruchomiała. Bezwiednie przycisnęła rękę do piersi i z zachwytem chłonęła widok, który wczoraj zasłoniła noc.

Jak okiem sięgnąć, rozciągały się przed nią zaśnieżone szczyty gór, dotykając gdzieś wiszących nisko chmur. Tu i ówdzie prześwitywały plamy ciemnej świerkowej zieleni.

Stojąc na werandzie starego domu, Adrianna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oto znalazła się w najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Czuła się tak, jakby góry otoczyły opiekuńczo złożonymi dłońmi całą dolinę, wszystkich jej mieszkańców, ten budynek i w szczególności ją samą. W tej samej chwili zza chmur na krótko przebiło się słońce. Góry zaśniły srebrzyście diamencikami zmrożonego śniegu. Podmuch wiatru porwał w swe objęcia śniegowy pył, ozłocił go słonecznym światłem i sypnął na oniemiałą z zachwytu dziewczynę.

To musi być dobry znak, pomyślała Adrianna.

– Góry są rzeczywiście piękne o tej porze roku – szepnęła do siebie i podziękowała dobrym mocom za to, że tamtego wieczoru w parku zesłały jej starszego pana, dzięki któremu znalazła się właśnie tutaj.

Zachwyty i oczarowanie minęły jej jak ręką odjął w chwili, gdy się okazało, że samochód nie chce odpalić. Silnik rzeził i charczał, a po paru sekundach całkiem zgasł. Niestety, był to dopiero początek kłopotów, bo gdy chciała podnieść maskę, ta zaciąwszy się, ani drgnęła. Szarpnęła nią kilka razy, ale bez skutku.

– No, co jest do ciężkiej anielki... – mruknęła, biorąc się pod boki i podejrzliwie spoglądając na klapę. – Takich numerów to ty mi jeszcze, Maniek, nie wycinałeś! A jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu i to już powinno cię do czegoś zobowiązywać! – zwróciła się do samochodu.

– Nazwałaś swoje auto? – Rozbawiony Antek nie wiedzieć jak i kiedy znalazł się obok niej.

– Oczywiście – odparła rezolutnie. – Samochodów jest niezliczona ilość, ale Maniek tylko jeden. Też byś nie chciał, żeby mówili o tobie po prostu człowiek.

– Skądinąd masz rację – zgodził się Antek. – Co nie zmienia faktu, że na mój gust Maniek przegrał pierwsze starcie z zimą. Akumulator mu zdechł. W nocy chwycił naprawdę duży mróz. Poczekaj, wyjmę go i podłączymy.

– No i tu zaczyna się niewielki problem, bo nie da się otworzyć klapy. – Ada odsunęła się, robiąc Antkowi miejsce.

I rzeczywiście, mimo użycia siły maska pozostała niewzruszona.

– Ha, no to pięknie! Nie wiesz, ile stąd jest kilometrów do miasteczka? – Adrianna otrzepała zaśniewane rękawiczki.

– Latem w sam raz na porządny spacer, po którym wróciłabyś zmęczona, ale zimą stanowczo zbyt wiele.

– Skoro tak... To może wezwę taksówkę. Jeżdżą tu jakieś, prawda?

– Nie mam pojęcia. – Skłamał bez mrugnięcia okiem.

Doskonale wiedział, że postój taksówek jest tuż koło dworca. Ale awaria Mańka była mu niebywale na rękę, stwarzając doskonałą okazję ku temu, by pobyć z Adrianną sam na sam, i Antoni ani myślał z tego daru losu zrezygnować. Nie wiedzieć czemu, im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym więcej chciał się o niej dowiedzieć. Intrygowała go promieniująca od niej aura tajemniczości i fascynowały momenty, w których się zapominała i mówiła to, o czym myślała. Gdy zaczynała się uśmiechać, zmieniała się nie do poznania. Piękniała. Choć, jak zauważył, rzadko kiedy ten uśmiech odbijał się również w oczach. I właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że pragnie zobaczyć je kiedyś roześmiane. Świetlistoszare, rozmarzone, z iskrą rozbawienia – byłyby nie do zapomnienia.

– Ale ja się muszę dostać do centrum! – zawołała z rozpaczą. – Obiecałam, że dziś na nowo zaaranżujemy wnętrze sklepiku. Wspominałam o tym rano. Kuferek Leontyny? Dobrze mówię? Chyba tak się nazywa to miejsce.

– Nie chyba, ale na pewno – odparł. – A skoro musisz się dostać na rynek, to przecież cię podwiozę. A wrócić możesz albo z Magdą, albo zadzwonisz po mnie i też przyjadę. Nie, nie będziesz mi przeszkadzała, nie, nie mam nic ciekawszego do roboty. – Uprzedził niezadane jeszcze pytania i szelmowsko się uśmiechnął. – To co, wskakujesz? – Otworzył przed nią drzwi dużego terenowego auta.

– Dziękuję ci bardzo. – Ada uznała, że krygowanie się nie ma sensu. – Zobacz, a twój odpala jak złoto – dodała z zazdrością, słysząc miłe dla ucha mruknięcie silnika.

– Trzeba twojemu Mańkowi postawić Elkę za wzór – rzekł wesoło, zapinając pas.

– No proszę, Elka! – prychnęła, udając oburzenie. – To co to było za pytanie o nazywanie samochodu?

– Cóż, to była reakcja na odkrycie nieoczekiwanego pokrewieństwa dusz. – Roześmiał się. – Tyle że ty masz Mańka, a ja przezornie zdecydowałem się na kobietę. Zawsze uważałem, że są bardziej uparte i wytrwałe i byle mróz ich nie zmoże. Elka jest tego potwierdzeniem, nigdy mnie nie zawiodła. – Z zadowoleniem pogładził kierownicę.

– A właśnie, skoro jesteśmy przy niezawodności, to co ja mam zrobić z Mańkiem? Jakoś muszę się do niego dobrać, nie mogę przecież zostać bez samochodu.

– Będzie trzeba pokombinować. A jak nie, to...

*Myślę sobie, że  
ta zima kiedyś musi minąć.  
Zazieleni się,  
urośnie kilka drzew.  
Niedojedzony chleb  
w ustach zdąży się rozpuścić,  
a niedopity rum  
rozgrzeje jeszcze krew...\**

Śpiewał, wybijając palcami rytm na kierownicy.

– Mhm, ty to wiesz, jak człowieka pocieszyć – burknęła. – Mam jednak nadzieję, że nie będę musiała czekać do końca zimy, że coś się zazieleni. A swoją drogą masz niesamowity głos. Mógłbyś spokojnie śpiewać.

– Ha, kiedyś śpiewałem i grałem na gitarze. – Uśmiechnął się. – Mieliśmy z chłopakami z osiedla własny zespół. Był nawet taki moment, że jeździliśmy grać na weselach. Stare dzieje. Choć do tej pory czasem zdarza



mi się pobrzdakać i ponucić. Dziewczyny to lubią. – Puścił do niej oko.

– A ty lubisz dziewczyny. – Adrianna pokiwała głową.

– Fakt, wnoszą sporo delikatności i wdzięku w nasz brutalny, prosty męski świat. Tylko proszę, nie próbuj mnie umoralniać! Wystarczy, że moja siostra już mi zmyła głowę.

– A więc tym cię męczyła w środku nocy.

– Dokładnie. Myśli, że przyjechałem tutaj, żeby zaszyć się przed porzuconą dziewczyną. Niewdzięcznica!

– W sensie twoja siostra czy ta porzucona?

– Magda, rzecz jasna. Jakby nie wiedziała, że to nie jest w moim stylu chować głowę w piasek. Owszem, nigdy nie brakowało mi dziewczyn, ale zawsze rozstawałem się z nimi godnie.

– Aha, zawsze...

– No dobra, pomijając desperatki i histeryczki. Ale tych było stosunkowo niewiele. Nie o tym chciałem mówić. Posłużyłem się wymówką ścigającej panny, żeby móc tu przyjechać i trochę dopomóc Madeleine. W tym roku będzie u niej gigantyczna wigilia, zapowiada się tłum ludzi, przyda jej się jakaś wyręka. W normalnych okolicznościach pewnie przyjechaliby rodzice, ale tata niedawno przeszedł ciężkie zapalenie płuc i musi się oszczędzać, a mama z kolei nie chce spuścić go z oka, przekonana, że jak tylko zniknie za drzwiami, to ojciec natychmiast zacznie hulaszczy tryb życia, a co za tym idzie, zginie marnie. Więc w zastępstwie zjawiłem się ja.

– I co, nie mogłeś wprost powiedzieć, że chcesz pomóc?

– Mogłem, ale wtedy moja uparta siostra odesłałaby mnie do domu, przekonując, że ze wszystkim dadzą sobie radę. A widziałaś, co się działo dziś rano. Porannym hymnem tego domu powinna być piosenka *Mamą być*.

– Nie kojarzę, zaśpiewasz kawałek?

– Proszę bardzo.

*Ach mamą być*

*Ach mamą*

*To prawie jest to samo*

*Co w kopalni na przodku pracować przy młotku*

*Jeszcze oczu nie otworzę*

*A już palec w oko włożysz*

*Życia mego cud i treść*

*„Mama, mama, ja chcę jeść!”*

– I dalej coś tam, coś tam, nie pamiętam – wtrącił – a potem leci mój ulubiony fragment:

*Więc się wyczołguję z wyrka*

*By nakarmić mego synka*

*By ten cud mój i sens życia*

*Już zaprzestał swego wycia (...)\*\**

– Dalej nie pamiętam, ale sama przyznasz, że pasuje jak ulał. Dzieciaki dają popalić, całe to towarzystwo trzeba ubrać, nakarmić, porozwozić, przypilnować – ciągnął, nie czekając na jej reakcję. – A gdzie w tym wszystkim zrobienie świątecznych zakupów, popakowanie prezentów, ugotowanie tony żarcia, że o czymś takim prozaicznym jak praca nie wspomnę. Naprawdę przydam się i jej, i Michałowi. A poza tym strasznie się za nimi wszystkimi stęskniłem. Ten dom ma w sobie taką magię, że chce się do niego wracać. Nawet jeśli się jest samotnym wilkiem i włóczęgą jak ja. A tu patrz, z przyjemnością wkładam kapcie i przeistaczam się w dobrego wujka, troskliwego brata i kumpla. I przychodzi mi to bez trudu. I to jest równocześnie coś pięknego i przerażającego. Dobrze, jesteśmy na miejscu. –

Gwałtownie uciął temat, zatrzymując samochód przed sklepikiem ze starociami. – Poczekaj, na wszelki wypadek dam ci swój numer, w razie czego dzwoń.

Adrianna dla świętego spokoju wklepała cyferki, ale i tak nie zamierzała z niego korzystać. Antek, owszem, był miły, sympatyczny i przystojny. I zaczynał jej się nawet podobać. To wystarczyło, by trzymać się od niego z daleka. Nie potrzebowała jej było dodatkowych problemów. Tych, które już miała, było aż nadto. Co oczywiście nie przeszkadzało jej się zastanawiać nad tym, co takiego przerażającego może być w ciepłym, dobrym domu oraz poczuciu stałości i stabilizacji.

O tak, Antek niewątpliwie tchnął aurą tajemniczości i dzikiej, nieokiełznanej męskości. A jak wiadomo, ten zestaw cech od prawieków przyciągał kobiety niczym magnes, nawet te przekonane, że nigdy się nie dadzą na to złapać.

---

\* Fragment piosenki *Nim stanie się tak* autorstwa Wojciecha Waglewskiego.

\*\* Fragment piosenki *Mamą być* autorstwa Marty Bizoń.

Ewelina stała na peronie i patrzyła w ślad za znikającym w oddali pociągiem. Jego turkot wciąż się odbijał echem w jej głowie, mimo że przeminął i został uniesiony w siną dal.

Nie mogła się pozbyć wątpliwości, czy aby na pewno dobrze zrobiła, zgadzając się, a nawet czynnie uczestnicząc w szalonym planie swego ojca i jego przyjaciela.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że jej aprobatą lub jej brak niewiele by zmieniły. Ostatecznie tato był dorosły, i tak więc zrobiłby to, na co by miał ochotę. Choć może, kto wie, gdyby próbowała mu wyperswadować ten cały wyjazd, w końcu by posłuchał. Szkopuł jednak w tym, że po raz pierwszy od śmierci mamy wykazał chęć do życia. Ba, włożył nawet koszulę z krawatem. Ewelina podejrzewała, że to Mateusz mu go zawiązał, bo przecież ojciec nigdy nie opanował tej sztuki, a na jej nieśmiałe propozycje pomocy nieodmiennie odpowiadał twardym „nie”.

„Nikt nie umie wiązać krawatów tak jak Helenka” – powiadał i zazwyczaj kończył tym dyskusję, odwracając się do okna.

Trudny był w tym swoim smutku. Nie dostrzegający, że przecież nie tylko on stracił żonę, ale i jego dzieci matkę.

– Słuchaj, teraz to już przepadło, nie ma się co gryźć ani martwić. – Z zamyślenia wyrwał ją głos brata Andrzeja. – Kto wie, może to najlepsze, co mogło nas wszystkich spotkać – dodał po chwili milczenia.

– I kto to mówi? – ironizowała. – Przez kilka ostatnich dni słuchałam o tym, jaki to idiotyczny pomysł i jak to ojciec nie może nigdzie jechać bez opieki. A teraz co? Nagła zmiana?

– Bo nie mógł jechać w tym stanie, w jakim go widziałem przed wizytą

Mateusza. Na niczym mu nie zależało. Ale gdy do niego zadzwoniłem i usłyszałem, jak mówi... wiesz... w tym dziarskim tonie i docinkach odnalazłem dawnego ojca. A potem przyjechałem i zobaczyłem ten błysk w jego oczach, zdecydowanie w ruchach. Po prostu szok! Odżył nam staruszek. Zrozumiałem, że masz rację. – Umilkł raptem, chuchnął kilka razy i zapatrzył na wydobywające się z ust obłoczeki pary, po czym na nowo podjął wątek: – Choć skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie martwię. Ta cała konspiracja z mojego punktu widzenia była zupełnie niepotrzebna. Ukrywanie przed Kamilem, dokąd jadą...

– Jakoś specjalnie nie trzeba było tego ukrywać. Nikt do mnie nie dzwonił, nie pytał ani wujka u nas nie szukał. Co też wydaje mi się dziwne i nie do pomyślenia. Gdyby nasz ojciec zniknął, to jednym z pierwszych miejsc, w którym bym go szukała, byłby cmentarz i grób mamy, rzecz jasna, a zaraz drugim mieszkanie Mateusza. Ale wracając do tajemnicy, mnie się wydaje, że to właśnie ona najbardziej ich nakręcała. – Ewelina nieoczekiwanie dla samej siebie prychnęła śmiechem. – Nawet zapytałam o to tatę i wiesz, co mi na to odrzekł? Że to jest powrót ich młodości, akcje, konspiracje, kluczenie. Że ta młodość durna była i chmurna, i wojenna, ale jedno w niej było bez wątpienia piękne.

– Ciekaw jestem co. – Andrzej uniósł wysoko brwi.

– A to, że byli młodzi. – Uśmiechnęła się i głęboko westchnęła. – Myślę, że my nigdy tego nie pojmiemy... – dodała w zadumie. – Tak samo jak nie mogę zrozumieć, dlaczego Kamil w ogóle pomyślał o oddaniu wujka do domu starców. Nawet gdyby miał kłopoty z pamięcią, nawet gdyby sobie nie radził, to zawsze przecież można zatrudnić opiekunkę. Stać ich. Choć paradoksalnie to właśnie im i ich brakowi serca należy zawdzięczać to, że tacie wróciła chęć do życia. Z początku usiłowałam ich namówić, żeby zostali na miejscu, ale ojciec uparcie twierdził, że z dala od domu lepiej mu

się myśli i że chce wrócić z gotowym planem storpedowania zamysłów Kamila.

– O ile orientuję się w tym, jak to u nich w domu wygląda, to Kamil ma najmniej do powiedzenia i raczej storpedować trzeba Beatę. To ona wszystkim trzęsie, Kamilem również. Dopóki wujek był potrzebny, to koło niego skakała, a potem... – Zamiast kończyć, machnął ręką. – A ty, co tak nagle spoważniałaś? – Spojrzał z uwagą na Ewelinę.

Siostra przez moment milczała, bawiąc się frędzlami od szalika, po czym podniosła na brata przepełnione smutkiem oczy.

– Bez sensu o tym mówić, bo wszystko już postanowione, ale... Trudno mi sobie wyobrazić święta w tym roku. Usiąść do wigilii bez mamy i taty... Puste miejsce przy stole będzie krzyczało, a ja razem z nim – wyrzuciła z siebie.

– Mnie to też trochę przeraża. Ale mam wrażenie, siostrzyczko, że właśnie dotarliśmy do takiego etapu w życiu, przed którym nikt nas nie ostrzegł ani do niego nie przygotował. Zamieniliśmy się rolami. – Andrzej objął siostrę ramieniem. – Do tej pory to rodzice ponosili różne wyrzeczenia, często nawet cierpieli, byleby tylko nam było lepiej. A teraz przyszła kolej na nas.

– To znaczy? – Pociągnęła nosem.

– To znaczy, że teraz my musimy zaufać tacie i tak jak kiedyś on nam, tak teraz my jemu powinniśmy umożliwić wyfrunięcie z gniazda. Pozwolić mu wybrać to, co dla niego najlepsze. Zaufać, nie zapominając jednocześnie o tym, że największym dowodem zaufania jest kontrola. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Będziemy dzwonić, rozmawiać, trzymać rękę na pulsie. Ale coś mi mówi, że Mateusz zjawił się u ojca w najlepszym z możliwych momencie. Pamiętasz, jak mama często powtarzała, że u nich w życiu zawsze w sytuacjach kryzysowych zdarzało się coś takiego, co pozwalało im wyjść

na prostą?

– Mama nazywała to cudami i czuwaniem Opatrzności – przypomniało się Ewelinie. – Zobacz, a ja się tyle natrudziłam, żeby podsuwać mu miłe starsze panie, a o Mateuszu nie pomyślałam ani razu. – Zaśmiała się słabo, ukradkiem wycierając łzy. – Ale masz rację, Andrzeju, teraz przede wszystkim trzeba patrzeć na dobro taty. Jak dobrze pójdzie, to następną wigilię spędzimy wspólnie. – Wysoko podniosła głowę i pomyślała, że chyba właśnie zrozumiała, o czym mają przypominać święta Bożego Narodzenia.

O miłości, co przede wszystkim troszczy się o tych, których się kocha. I o tym, że czasem siebie samego trzeba postawić na drugim miejscu.

– Podwiesz mnie do domu taty? – nieoczekiwanie zmieniła temat. – Mimo że nikogo w nim nie ma, ubiorę tę ich wyliniałą sztuczną choinkę. Mama co roku powtarzała, że niedługo zostaną z niej same druty i że czas najwyższy wystawić ją na śmietnik...

– Na co tata odpowiadał, że on też jest stary i wyliniały i czy w związku z tym jego też planuje eksmitować na wysypisko – wszedł jej w słowo Andrzej. – A potem razem ubierali tego drapaką, bawiąc się przy tym jak para małych dzieci.

– Co chcesz, ta choinka była z nimi od zawsze. Od pierwszych wspólnych świąt. Szczerze mówiąc, nigdy nie mówiłam tego głośno, ale też nie wyobrażam sobie, żeby miało jej nie być. Święta nie byłyby pełne – zaśmiała się Ewelina.

Potem już w domu ojca, ubierając starą, łysawą choinkę, pomyślała, że ten łysielec to dla niej najpiękniejsze na świecie drzewko. Pamiętające dotyk maminych rąk, przechowujące w swoich rzadkich igłach śmiech rodziców, dziecięcą niecierpliwość jej i Andrzeja, radość z bycia razem. Gdy powiesiła ostatnią bombkę, zgasiła światło i zapaliła choinkowe lampki. W pokoju natychmiast zrobiło się ciepło i wionęło tajemnicą. Usiadła w fotelu i na

moment zamknęła oczy. Sama nie wiedziała, kiedy przysnęła. Śniło jej się coś nieokreślonego, dobrego i miłego. Pełnego spokoju. Gdy się obudziła, miała wrażenie, że czuje na policzku pieszczotliwe muśnięcie matczynej dłoni. A do drzwi ktoś natarczywie pukał. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że ten dźwięk już od jakiegoś czasu przedostawał się do jej uśpionej świadomości. Podniosła się i poszła do przedpokoju. Na klatce, opleciony półmrokiem stał Kamil, syn Mateusza.

– O, cześć! – Widać było, że jest zaskoczony jej widokiem. – Słuchaj, właściwie to przyszedłem do wujka Stefana.

– Nie ma go – odpowiedziała krótko.

– Jak to nie ma? Zresztą mniejsza z tym. Przychodzę w konkretnej sprawie i skoro wujka nie ma, może ty coś wiesz. Ojciec zniknął jakiś czas temu z domu. Byłem w delegacji, dopiero dziś wróciłem. Miał popłacić rachunki, zapisać Jagnę do lekarza, w końcu to jego wnuczka, a on co? Ot, tak sobie po prostu wyparowuje! I...

– Kamil, ludzie nie wyparowują – przerwała mu, opierając się o futrynę. – Ludzie odchodzą. I ty powinienesz Bogu dziękować, że twój ojciec się ubrał, spakował i wyszedł. Bo jeszcze masz szansę sprawić, żeby wrócił. Będziesz mógł go dotknąć, przytulić, popatrzeć głęboko w oczy i powiedzieć mu, jak bardzo go kochasz. Nie zmarnuj tego – dodała niespodziewanie miękko.

Pewnie gdyby rozmawiała z nim rano, z jej ust padłyby zgoła inne słowa. Ale atmosfera mieszkania rodziców, choinka i wyśniona obecność matki sprawiły, że nagle w stojącym na progu mężczyźnie zobaczyła małego, zagubionego chłopca.

– Ale ty wiesz, gdzie on jest – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, wiem, wszystko z nim w porządku. Ale niczego więcej ci nie powiem. No, może jeszcze tylko to, żebyś przestał zastanawiać się, czego on nie zrobił dla ciebie, za to pomyślał, co ty możesz zrobić dla niego. – I nie



czekając na jego odpowiedź, zamknęła mu przed nosem drzwi.

Może mama miała rację, gdy mówiła, że nad wszystkim czuwa Opatrzność, pomyślała. Dobra i wyrozumiała. I może w tym wyjeździe też maczała palce? Może Mateusz musiał przyjść do ojca, żeby ten się w końcu otrząsnął i poczuł kogoś potrzebny? Może wujek musiał zniknąć, żeby jego nieobecność uzmysłowiła Kamilowi i reszcie, jak bardzo jest dla nich ważny? W zamyśleniu popatrzyła na fotografię mamy. Jej twarz trochę ginęła w cieniu; długi warkocz przerzucony przez ramię nadawał jej rysom dziewczęcy, psotny wyraz.

I raptem wydało jej się, że na ułamek sekundy ta twarz ożyła, a mama łobuzersko mrugnęła do niej okiem. I wtedy, niewiele myśląc, Ewelina do niej odmrugnęła. Jeżeli jeszcze miała jakieś wątpliwości w kwestii cudów i Opatrzności, to właśnie się ich pozbyła.

Leontyna tego ranka wyjątkowo wcześniej pojawiła się w Kuferku. Nie spała zbyt dobrze. Męczyła ją świadomość, że po raz pierwszy w życiu oddała stery w czyjeś ręce. Pozwoliła komuś zaprowadzać swoje rządy. I szczerze mówiąc, trochę tego żałowała, choć rozsądek podpowiadał jej, że to najlepsze rozwiązanie. Mimo to przyszła do sklepu na tyle wcześniej, by w samotności móc usiąść wśród swoich podopiecznych i wsłuchać się w ich uczucia. Ostatecznie, gdyby odniosła wrażenie, że zasiała popłoch, mogła się jeszcze wycofać. Nie zapalając światła, rozsiadła się w nieco wypłowiałym i wytartym fotelu uszaku i przymknęła oczy. Nie wyczuła nawet cienia zaniepokojenia.

To znaczy, że wszystko jest dobrze, pomyślała, wstając i zapalając zieloną lampę nad stołem, który przywiozła Marysia. Nadal nie znalazła dla niego odpowiedniego człowieka. Nie zjawił się nikt, kto wzbudziłby w niej dostateczne zaufanie. A i on nie przekonał się do nikogo, kto odwiedzał do tej pory sklep. Leontynę ogarnęło przekonanie, że za każdym razem, gdy ktoś się do niego zbliżał, mebel dosłownie truchlał i gdyby tylko mógł zmusić swoje ciężkie nogi do współpracy, uciekałby, gdzie pieprz rośnie. Widać jeszcze nie dojrzał do zmian.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze. – Poklepała go uspokajająco po idealnie nawoskowanym blacie. – Nie musisz się niczym martwić, nie dam cię przestawić. A swoją drogą ciekawe, co tu takiego można zrobić, żeby wyczarować więcej przestrzeni – zamruczała i sceptycznie rozejrzała się po zapchanym do granic wnętrzu.

Obawiam się, że to były czcze przechwałki, pomyślała, pesymistycznie kiwając głową.

Nie chciała sama przed sobą przyznać, że takie rozwiązanie nawet by jej odpowiadało. W końcu lepsza dobrze znana, stara bieda od zupełnie obcej, którą będzie trzeba od początku poznawać i oswajać.

Już po kilku pierwszych godzinach, które Adrianna spędziła u niej w sklepie, starsza pani musiała ze wstydem przyznać, że zgrzeszyła brakiem wiary. Dziewczyna najpierw podzieliła sklep na strefy, po czym bez mrugnięcia okiem przyjęła informację, że dębowy stół i wisząca nad nim lampa mają zostać tam, gdzie są.

– Tak samo jak tamten fotel uszak. – Starsza pani wskazała zacieniony kąt sklepu. – Stoi tam od dawien dawna i absolutnie sobie nie wyobraża, by mógł stanąć gdziekolwiek indziej. – To rzekłszy, Leontyna przyjęła waleczną postawę, która świadczyła o tym, że w razie potrzeby gotowa jest bronić go własną pierśią.

Adrianna, widząc to, nieznacznie się uśmiechnęła. O ile jeszcze rano miała wątpliwości, czy dobrze uczyniła, wrywając się z propozycją pomocy, o tyle w tej chwili pozbyła się ich bezpowrotnie. Stało się dla niej jasne, że ta nieco zdziwaczała staruszka skradła jej serce.

– Akurat ani stół, ani fotel mi nie przeszkadzają – zapewniła Leontynę. – Widać, że są tam, gdzie być powinny, wyglądają na takie, bo ja wiem... zadowolone... – Uśmiechnęła się i mimo woli pogłaskała oparcie starego fotela, nie mając pojęcia, że właśnie tymi słowami i czułym gestem zyskała sympatię starszej pani.

Dopiero teraz Leontyna tak naprawdę odetchnęła z ulgą. Adrianna okazała się pokrewną duszą, można było jej zaufać.

– Rozumiem, że z resztą nie jest tak dobrze? – zapytała.

– Cóż... Przepraszam za szczerłość, ale wygląda to trochę tak jak na peronie, gdzie wszyscy pchają się na siebie, usiłując zobaczyć, czy to przypadkiem ich pociąg nie nadjeżdża. – Mówiąc to, dziewczyna zestawiała ze

sobą dwa małe biureczka. – O! To będzie tymczasowy blat roboczy –  
wyjaśniła, po czym zakasała rękawy i wzięła się do pracy.

Około południa Leontyna mogła śmiało przyznać, że teraz jej sklep, po drobnych zmianach, wyglądał o niebo lepiej. Wszystko nagle zaczęło do siebie pasować. Małe stoliczki stanęły w przytulnych zakamarkach, szydełkowe obrusiki i serwetki znalazły blaty, które złagodniały pod ich dotykiem, lampy zostały pogrupowane, a część z nich już wtulała się w ciemne kąty, nie mogąc się doczekać chwili, w której rozjaśnia je ciepłymi kręgami światła.

– To chyba pora na przerwę – zagadnęła Leontyna, patrząc z podziwem na wydobyte na światło dzienne rzeczy, które nieoczekiwanie nabrały blasku i wyglądały tak, jakby wstąpiło w nie nowe życie. – Dziewczyno, masz niebawala dar – wyrwało jej się z głębi serca.

– Lubię przedmioty z duszą, takie, które mają wiele do opowiedzenia.

– I to widać. Ale zanim się rozgadamy, powiedz, czy wolisz się napić herbaty czy kawy? – Leontyna pstryknęła włącznik elektrycznego czajnika.

– Kawy – zdecydowała z uśmiechem i spojrzała na niedokończoną wystawę. – Tym miejscem to chyba trzeba by się zająć w pierwszej kolejności – mruknęła. – W końcu to witryny przyciągają klientów, a nam przydadzą się kupujący.

– No, właśnie tak się zastanawiam, czy nie mogłybyśmy wspólnie pochylić się nad tym tematem. Właściwie nie zamierzałam cię o to prosić, bo szczerze mówiąc, zanim przyszłaś, zdążyłam kilka razy pożałować, że nie zaprotestowałam, gdy wczoraj zaproponowałaś mi swoją pomoc. Przestraszyłam się, że zrobisz mi tutaj totalny kipisz, zasypiesz nowoczesnymi pomysłami... – Zrobiła skruszoną minę i spojrzała na nią przepaszająco.

– To na pocieszenie powiem pani, że nie była pani odosobniona w swoich uczuciach – odparła Adrianna. – Ja też kilkakrotnie stukałam się w czoło i pytałam, co mnie podkusiło, by wybiegać przed szereg i pakować nos w nie swoje sprawy. Nawet przyszło mi na myśl, że powinnam się z tego w jakiś zgrabny sposób wymiksować. Ale potem przypomniałam sobie te wszystkie rzeczy, które wczoraj widziałam, a które aż prosiły, aby je poukładać tak, by było im dobrze, no i przypomniałam też sobie panią...

– Miałaś mówić mi po imieniu – przerwała jej Leontyna.

– Tak, pamiętam, że mi to pani proponowała, ale jakoś nie mogę. Tym bardziej że przypomina mi pani osobę, która była dla mnie bardzo ważna. Kochałam ją jak babcię, której nigdy nie miałam, ale nigdy nie powiedziałam do niej inaczej jak „pani Dusiu”.

– Więc na razie zostańmy przy tej pani. – Leontyna uśmiechnęła się lekko. – To co, skoro obie się do siebie przekonałyśmy, to pomogłabyś mi przy tej wystawie? Wspominałam już chyba, że motywem przewodnim jest anioł, ale u mnie na pewno będzie ich więcej. Ma być bożonarodzeniowo, więc pomyślałam o starych paterach wypełnionych pierniczkami, o diable i Świętym Mikołaju. Tam, skąd pochodzę, na każdej wystawie świątecznej obowiązkowo musiał pojawić się diabeł. Postanowiłam więc sięgnąć do korzeni i wydobyć go z mroków zapomnienia. Niby to wszystko mam, gotowe elementy, ale jakoś w tym roku nie chcą mi się złożyć w całość.

– Cóż... – westchnęła Ada. – Nie wiem, jak mam to powiedzieć... Mogę spróbować, ale ja się ze świętami nie bardzo lubię – zdobyła się na szczerść. – Prawdę mówiąc, chciałam od nich uciec na koniec świata, wydawało mi się, że w takiej niewielkiej mieścinie jak Malownicze mnie nie dopadną...

– No, to wyobrażam sobie twój szok, gdy wczoraj zobaczyłaś nasz rynek. – Leontyna prychnęła śmiechem.

Takiej reakcji Adrianna kompletnie się nie spodziewała.

To chyba domena starszych ludzi, pomyślała ze zdumieniem. Najpierw ten starszy pan spotkany w parku wcale się nie oburzył, nie usiłował mnie przekonać ani nawrócić na święta, teraz ta lekka kpina właścicielki Kuferka!

– No fakt, byłam zdumiona... Chociaż nie, zdumienie to za mało powiedziane. Oszołomiona lepiej tu pasuje. Poczułam się, jakby mnie jakiś złośliwy chochlik przeniósł wprost do wioski Świętego Mikołaja. Ale otrząsnęłam się w miarę szybko. Szczerze mówiąc, to nawet ciekawe, że mieszkańcy potrafią się tak zorganizować i robić tyle rzeczy wspólnie.

– To proste, wystarczy, że załączy się duch rywalizacji. Nikt nie chce pozwolić, by jego wystawa, balkon, kwietnik czy to co tam na rynku ma, wyglądało gorzej niż u sąsiada – roześmiała się Leontyna. – A część wspólna to już jakoś tak z rozpędu idzie. Sporo pracy wkłada w to nasz proboszcz. W tym roku na przykład po raz pierwszy będziemy mieli na rynku żywą szopkę. Ponoć nawet Jezusek ma być taki całkiem prawdziwy, bo dziewczyna, która gra Marię, załatwiła sobie dzieciątko.

– To się nazywa determinacja. – Adrianna zrobiła wielkie oczy. – Tak specjalnie do szopki je sobie sprawiła? – Poczuła, że wbrew przekonaniu, że nie znosi plotek, teraz jest szalenie ciekawa wszelkich szczegółów.

– O, widzę, że ktoś tu ma kosmate myśli. – Starsza pani żartobliwie pogroziła jej palcem. – Dzieciątko pochodzi z innego źródła, to znaczy od kuzynki, która dwa miesiące temu urodziła. Do tej pory nikt nie wie, kto jest ojcem, bo dziewczyna nabrała wody w usta i nie chce nic powiedzieć, więc nasz ksiądz proboszcz stwierdził, że to wprawdzie nie jest niepokalane poczęcie, ale na pewno zagadkowe, maluch będzie więc jak znalazł...

– Macie księdza z poczuciem humoru – mruknęła skonsternowana Ada.

– Na całe szczęście, gdybym to ja decydowała, kto może zostać duchownym, przede wszystkim egzaminowałabym takiego kandydata z umiejętności dobrotliwego śmiechu. I dopiero gdyby zdał, mógłby włożyć



sutanę. To co będzie z tą wystawą? Chyba nie pozwolimy, żeby była gorsza od innych. – Leontyna gładko wróciła do interesującego ją tematu.

– Widzę, że chce mnie pani wziąć pod włos. Duch rywalizacji, tak?

– Rozgryzłaś mnie, punkt dla ciebie.

– Cóż, nie wiem, czy będę umiała. – Adrianna przysiadła na niewielkim, wyściełanym granatowym materiałem fotelu i w zamyśleniu sięgnęła po filiżankę pełną kawy. – Tak jak mówiłam, ja i święta to niezbyt zgrany duet. Właściwie jedyne moje dobre wspomnienie związane ze świąteczną atmosferą to ubieranie choinki – powiedziała i przymknęła oczy.

Znów zobaczyła swój stary dom, ramiona taty, które unosiły ją wysoko, wysoko, poczuła na twarzy muśnięcie zielonych gałązek. I nawet się nie zorientowała, kiedy zaczęła mówić. Opowiedziała starszej pani o ubieraniu drzewka, o oczekiwaniu, o piosence, którą śpiewała choince.

– A potem, potem nie było już nic. Dorosłam i zaczęłam się kłócić z grudniem i świętami. Najpierw starałam się, by nie czyniły na mnie żadnego wrażenia, ale to mi się w ogóle nie udawało. Zresztą byłabym niesprawiedliwa, gdybym powiedziała, że byłam całkiem sama. Moja przyjaciółka robiła wszystko, co w jej mocy, żebyśmy – święta i ja – znów się polubili. Jednak one nie są moje. A najgorsze jest to, że zawsze w grudniu pojawia się ona. Tamta mała, skrzywdzona, czekająca Bóg wie na co Ada. Na te cuda, które się nie zdarzają, na ducha świąt, który nie istnieje! – zakończyła z goryczą. – Zatrzuwa mi życie i sieje zamęt. Czasem wolałabym po prostu nie pamiętać! Ani tego starego życia, ani ojca, który przecież odszedł tak nagle, ani tamtych świąt – wyrwało jej się z głębi serca.

– I co, postanowiłaś się jej pozbyć? Tej małej? – domyśliła się Leontyna.  
– Przyjechałaś tu z zamiarem zgubienia jej w zaśnieżonych górach.

– To by mi wiele ułatwiło. – Pokiwała głową.

– Hmm... Masz przed sobą kogoś, kto absolutnie nie powinien w tej

kwestii udzielać żadnych rad – powiedziała powoli. – Ale jednak spróbuję, bo coś niecoś nas łączy. Przez wiele lat święta stawały mi kością w gardle. Najpierw była wojna. Wigilie poszarzały, oziębły, nabrały innego znaczenia. Ale byli mama, tata, siostra. Wspólny stół, nawet jeżeli pustawy, bo jedzenia na nim było tyle, co kot napłakał, nadal był naszym stołem i nie brakowało rąk do przełamywania się opłatkiem. To był też swoisty cud. Trochę się od siebie różniły te wojenne od tych współczesnych. A potem, po powstaniu, święta zaczęły pachnieć tęsknotą. Ale trzeba było żyć. Wtedy też bym ci powiedziała, że najchętniej uciekłabym przed świętami na koniec świata. A tak naprawdę, z perspektywy lat wiem, że chciałam przede wszystkim uciec od samej siebie. I to właśnie tej, która była tak głupio, po szczenięcemu szczęśliwa.

– I co, udało się pani?

– Nie, wiele lat później zrozumiałam, że to jest niewykonalne. I bardzo szkodliwe, bo właśnie na tych szczęśliwych chwilach powinniśmy budować przyszłość. Nawet jeśli było ich niewiele, i tak stanowią o wiele trwalszy fundament niż złe i gorzkie doświadczenia. Ale taka mądra to ja jestem dopiero teraz, po latach. Wtedy tylko się złościłam, zżymałam i miałam ochotę posłać grudzień do diabła. Zwłaszcza gdy się okazało, że zostałam sama, a moim jedynym towarzyszem jest kot, który co tu dużo kryć, kocha mnie na swój koci sposób, ale nie przełamie się opłatkiem, nie zaśpiewa kolędy ani nie powie „wesołych świąt”. To dopiero była klęska obleczona w banalne określenie „stara panna”. Cóż... Dla większości ludzi nie było w tej mojej sytuacji niczego nadzwyczajnego. Leciwe stare panny przecież tak kończą. Z kotem i żalem do całego świata. Tylko że ja nigdy nie chciałam być banalna. Ani rozżalona. Więc wzięłam sprawy w swoje ręce i postanowiłam jakoś się dogadać z grudniem i świętami.

– Oho, rzeczywiście coś nas łączy. Zabrzmiało znajomo. – Ada

uśmiechnęła się blado.

– Przecież mówiłam. I wtedy wyszło na to, że jestem niebywałą szczęściarą. Po tylu samotnych latach, gdy w końcu zachciało mi się rozejrzeć dookoła, okazało się, że wokół mnie jest mnóstwo ludzi, którzy mnie pokochali. Znalazłam Magdę, która oprócz tego, że jest uroczym, dobrym człowiekiem, to dodatkowo okazała się moją krewniaczką, poznałam też chłopca, którego traktuję jak własnego wnuka, a i on mnie ubabciowił, i wielu, wielu innych ludzi. Duża część z nich była cały czas obok mnie, tylko ja, zapatrzona i zasłuchana w swój żal, ich nie dostrzegałam.

– To piękne, ale to, co sprawdziło się u pani, niekoniecznie musi zadziałać na innych – mruknęła Ada.

– Oczywiście masz rację, nie ma jednego słusznego rozwiązania – zgodziła się z nią Leontyna. – Ale jedno ci powiem: żal to strata czasu, to przeszłość, która okalecza cię w teraźniejszości. Niestety, nie ja to wymyśliłam, ale usłyszałam i zapamiętałam. I jeżeli mogłabym ci coś doradzić, to nie uciekaj przed tą małą, która przecież i tak cię wszędzie dogoni.

– Nie uciekać... Marlina, moja przyjaciółka, mówiła mi to samo. Radziła oswoić i grudzień, i święta, i tę dziewczynkę.

– Mądrą masz przyjaciółkę, ale oswojenie nie wystarczy. Nie znam całej twojej historii ani ciebie zbyt dobrze, ale z tego, co mówiłaś, zrozumiałam, że uciekasz przed wspomnieniami. A może pomyśl o tym, żeby zamiast pozbywać się tego małego skrzywdzonego dziecka, zaprzyjaźnić się z nim? Ta dziewczynka, którą nosisz w sobie, przede wszystkim potrzebuje miłości i tego, żeby ją ktoś bezwarunkowo pokochał. Ona to ty. Nie dasz rady jej tak po prostu wyeksmitować. Będzie wracać, a nie ma na świecie nikogo bardziej upartego niż dziecko, które czegoś pragnie.

– Z jednej strony to, co pani mówi, brzmi mądrze, ale z drugiej zupełnie

nie wiem, jak miałabym to zrobić. Zresztą, nieważne, nie wiem co mnie podkusiło, żeby tyle o sobie opowiadać. – Machnęła ręką i jednym haustem dopiła kawę. – Zrobimy tę wystawę. Mam nawet pomysł, ale nieco się różni od tego zamysłu, który mi pani przedstawiła. Proszę posłuchać. – Odstawiła kubek, dźwignęła się z fotela i pochyliła w stronę witryny.

Zamieniwszy się w słuch, Leontyna z wolna zaczęła pojmować zamysł Ady i po chwili na jej twarzy odmalował się czysty zachwyt.

No, kochana, jeżeli ty nie znasz się na świętach, to ja jestem mnich buddyjski, stwierdziła w duchu.

A potem nagle spoważniała i pomyślała, że Adriannie koniecznie trzeba podać rękę. Cały szkopuł polegał na tym, żeby zrobić to w tym momencie, w którym dziewczyna zrozumie, że warto ją uchwycić.

Niepostrzeżenie szybko minęło kilka kolejnych dni. Malowniczo codziennie piękniało. Na wystawach przy rynku rozpanoszyły się anioły, pastelowe bombki zdobiły pozawieszane na drzwiach wieńce. Popołudniami mężczyźni i chłopcy zbierali się na środku placu i budowali z desek urokliwą stajenkę, w której oprócz Marii, Józefa i Dzieciątka miały się znaleźć również prawdziwy osioł, koza, a nawet kilka owiec. W powietrzu coraz wyraźniej czuć było święta. Zbliżał się ten jeden jedyny dzień w roku, w którym aniołowie zstępowali z nieba na ziemię, z mniejszym trudem wybaczało się krzywdy, a miłość podawało w maleńkich kruszynach opłatka. Dzień, w którym wszystko mogło się zdarzyć, nawet jeżeli kompletnie straciło się w to wiarę.

**M**ateusz i Stefan przybyli do miasteczka kilka dni temu i zdążyli się już rozgościć u Leontyny na dobre. W ciągu dnia chodzili na spacer, a wieczory spędzali wspólnie z gospodynią, grając w karty i racząc się ku zdrowotności nalewką malinową.

Szybko jednak zaczęła im doskwierać nuda. Zwłaszcza Stefan nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Słuchaj, dlaczego my właściwie codziennie brniemy przez ten kopny śnieg w górę uliczki? – zapytał któregoś razu, wyglądając przez okno.

– Bo pierwszego dnia tam poszliśmy i odkryliśmy tę zabawną rzeźbę babiny w chuście. A potem wpadłeś na pomysł, żeby jej założyć te wielkie czerwone korale, które wycygałeś od Leontyny – przypomniał mu Mateusz.

– No, ale skoro już je założyliśmy, to chyba nie musimy tam codziennie chodzić – burknął nie wiedząc czemu rozdrażniony Stefek.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chcę pokazywać palcem, kto potem się uparł, żeby dołożyć jej jeszcze prawdziwą chustkę na głowę. Dobrze, że przynajmniej wybiłem ci z głowy robienie jej rumieńców szminką, bo to byłoby już niszczenie mienia i mógłbyś za to pójść do kozy. I zapewne spędziłbyś tam Wigilię, a ja jako dobry kumpel musiałbym też coś ponawywijać, żebyś nie siedział tam sam. – Mateusz rozparł się w fotelu i zupełnie nie wydawał się przejęty humorami przyjaciela.

– Od razu do kozy! Sam przyznasz, że jej twarz wygląda jakoś tak ziemiście...

– Stefan, na litość boską, skoro ona jest zrobiona z czegoś na kształt kamienia, to jaka ma być? Ziemisty to jej naturalny kolor. Tak patrzę na ciebie i myślę, że to zamurowanie się w domu po śmierci Helenki musiało od

ciebie wymagać niesamowitej determinacji! Tu jesteśmy zaledwie kilka dni, a ciebie już nosi i nie możesz sobie miejsca znaleźć!

– To na pewno lepsze niż zapuszczanie korzeni w fotelu i gapienie się w telewizor – burknął Stefan, rozglądając się po pokoju, gdy wtem jego wzrok zahaczył o szafę. – Mateusz, spójrz, czy mnie przypadkiem wzrok nie myli? – zapytał, przystawiając do mebla wysoki taboret. – Jak babcię kocham, to harmonia i banjo, chodź, pomóż mi, ja je ściągnę, a ty odbierzesz – zadysponował i nie czekając na reakcję przyjaciela, wdrapał się na stołek i sięgnął po instrumenty. – Zobacz, i to całkiem sprawne.

– Rzeczywiście, w idealnym stanie! A pamiętasz te wszystkie urodziny Lideczki i Helenki, na których przygrywaliśmy? Na stole śledziki, sałatka jarzynowa...

– Czysta wódeczka i muzyczka do tańca nam gra – wszedł mu w słowo Stefan. – A pamiętasz, jak roboty nie mieliśmy i graliśmy po podwórkach?

– No ba! Choć jak tak o tym myślę, to mam wrażenie, że to byliśmy całkiem inni my.

– No i to właśnie należałoby zmienić. – W oczach Stefana zapaliły się ogniki.

– To znaczy? Nie lubię, gdy brzmisz tak młodzieńczo i entuzjastycznie, bo to prawie zawsze oznacza ogromne kłopoty.

– Ubieraj się. – W odpowiedzi Stefan sięgnął po wiszący na wieszaku kożuszek i rzucił go do przyjaciela. – Przypomnimy sobie o tym, jak to drzewiej bywało – dodał, wzuwając buty.

– No, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że teraz dla odmiany pójdziemy przygrywać naszej ziemistej babinie?

– A nie, absolutnie. Maszerujemy w całkiem inną stronę. Jak kochać, to księcia, jak kraść, to miliony, a jak grać, to na rynku!

– Oszalałeś! Przecież tam podobno jest jakaś wystawa świąteczna...

– I najwyższy czas, żebyśmy ją obejrżeli i pokazali ludziom, jak się w młodości bawiliśmy. Niech wiedzą, ile tracą, i trochę pozazdrozczą. – Z czułością założył harmonię na zapiętą pod szyję kurtkę podbijaną misiem.

– A teraz nie marudź, tylko bierz banjo i chodź, bo się zgrzejemy i pozaziębiamy. A przecież nie chcemy sprawiać kłopotów naszej kochanej, gościnnej Leontynie.

– Gdybyś ty o nią się rzeczywiście tak troszczył, to raczej zostałbyś w domu – sarknął jego przyjaciel, chcąc nie chcąc, podążając w ślad za nim.

– Nie marudź, nie marudź, widzę, że musisz sobie przypomnieć, co to znaczy mieć ułańską fantazję. I jakem Stefan, pomogę ci tego dokonać. – Zaśmiał się, maszerując dziarsko przez zaśnieżoną, opadającą stromo w dół uliczkę.



**N**a rynku było gwarnie i dość tłoczno. Starsi panowie dotarli tam nieźle zasapani. Zaskoczeni przystanęli, przyglądając się świątecznemu wystrojowi.

– Mają rozmach – rzekł w końcu Stefan, poprawiając przekrzywiającą się nieustannie harmonię. – Leontyna tym razem nie przesadzała, gdy mówiła, że ich rynek w okresie przedświątecznym zmienia się w miniaturowe bożonarodzeniowe miasteczko. Ale o jednym nie pomyśleli. Wiesz, czego tu brak?

– Nie mam pojęcia, ale obawiam się, że ty mi za chwilę to powiesz – burknął Mateusz, przytupując dla rozgrzewki.

– Kolędników tu nie mają, gapciu! – Stefan poklepał go po ramieniu. – No, ale od czego my jesteśmy! To co, zaczynamy od pastorałek czy od razu się bierzemy do kolęd? Zobaczysz, jaką zrobimy furorę!

– A panowie, to co tu zamierzają wyczyniać? Bo ja ostrzegam, że to jest mój rejon muzyczny! – usłyszeli tuż za plecami.

Odwrócili się i zobaczyli dziwaczne indywiduum, okutane w różowo-musztardowy szalik, spod którego wyglądały nieco mętne oczka.

– A my tak tylko rozrywkowo i okazjonalnie, pomyśleliśmy, że można by coś zagrać... Harmonię znaleźliśmy u znajomej na szafie i tak nas jakoś wzięło na muzykowanie – ugodowo wyjaśnił Mateusz, gromiąc jednocześnie Stefana wzrokiem.

Już widział po jego minie, że przyjaciel miałby ochotę z miejsca pójść na udry. Jakby zapominając, że wiek po temu nie ten, a i niezbyt bezpiecznie wszczynać awantury na nieznanym terenie.

– A do kogo to obcy przyjechali? – Osobnik wytarł nos ogromną, obszytą koronką chustką.

– Do pani Leontyny, ale zresztą, co to za pytania? To jakieś przesłuchanie czy jak? – Zdenerwowany Stefan w końcu dorwał się do głosu.

– Aaa, do naszej Leontynki, to znaczy, że z was swoje chłopiska! Bo wiecie, ja tutaj robię muzyczną oprawę, ale dopiero latem. Do lata chyba nie zostajecie?

– A broń Boże!

– A, to i dobrze! To grajcie sobie do woli. Miecio jestem, lokalny artysta latem, a teraz producent regionalnych trunków – dodał jakby z rozpędu.

– Trunków? – Stefanowi zaświeciły się oczy. – Bimberek? – zaszeptał konspiracyjnie.

– No i z miejsca się na kolegach poznałem. – Miecio wyglądał na prawdziwie wzruszonego. – Bimberek jak złoto. Zapraszam tam pod sklep, zaraz zde gustujemy, a jak posmakuje, to odsprzedam w dobrej cenie – dodał, prowadząc za sobą zachwyconego Stefana i lekko zdenerwowanego Mateusza. – Grążel, panowie na próbną degustację – mruknął do koleśia, który stał na tyłach sklepu.

A potem sprawy potoczyły się już własnym, płynnym rytmem. Gdy po kilku kieliszkach wychodzili na rynek, byli rozchichotani i w doskonałej komitywie z towarzyszącym im Miciem.

– To robimy tak, najpierw ja, jako miejscowy, zaczynam z przyśpiewką, a potem wy dajecie, a ja się dołączę – zaordynował, po czym ustawił się pod ogromną choinką i huknął:

*Jestem jak ten jaszczq̄b*

*Co po niebie lata*

*A ty jesteś moja*

*Jak ta mysz puchata.*

Wydarł się wniebogłosy, a Stefan wbił w niego pełne oszołomienia spojrzenie. Zresztą nie był w tym odosobniony. Wszyscy, którzy w tym momencie znajdowali się w okolicach drzewka, zamilkli i zapatrzyli się na Miecicia oczami, w których malowała się groza pomieszana ze zdumieniem.

– A widzicie, mówiłem, mój artyzm robi wrażenie. – Miecicio był wyraźnie ukontentowany. – A teraz wasza kolej, no dalej. – Trącił Stefana w ramię.

– A tak, rzeczywiście. – Starszy pan wybudził się z letargu i poczuł, że bimberk właśnie dociera mu do głowy i trochę jakby utrudnia koncentrację. – To co to ja miałem... – wybąkał. Odniósł niejasne wrażenie, że po Mieciciowym repertuarze powinien zaśpiewać coś takiego, co będzie choć trochę korespondowało z jaszczębiem (przez moment musiał pomyśleć, zanim do niego dotarło, że jaszcząb to to samo co jastrząb) i myszą puchatą. Wizja nastrojowych kolęd i pastorałek uleciała w siną dal. Na szczęście wczoraj wieczorem oglądali razem z Leontyną *Lata dwudzieste, lata trzydzieste* i tego wspomnienia uczepił się Stefan jak ostatniej deski ratunku.

– Dobra, ja gram i śpiewam, a ty mi akompaniujesz. Weź, bracie, lagę, znasz to – zaszeptał do Mateusza i już po chwili rynek wypełniły dźwięki skocznej melodii, a potem głośno śpiewane słowa piosenki:

*Jesteśmy z tamtej strony Wisły, z naprzeciwka,  
mamy swój fason i swój własny szyk.  
Gdy nam na wódkę brak, lubimy popić piwka,  
w tem nie dorówna nam warszawski żaden łyk!*

*Rzuć, bracie, blagę. I chodź na Pragę!  
Weź grubą lagę, melonik tyż!*

*Zobaczysz w trawie dziewczynki nagie,  
każda na wagę, ma to, co wiesz!  
Byle łamagę! I Babę Jagę!  
U nas się bierze pod żeberko i za kark!  
Więc ponieś flagę, weź na odwagę  
i chodź na Pragę pod lunapark! \**

Mateusz grał i jednocześnie usiłował podrygiwać w takt melodii, ale wybitnie przeszkadzał mu w tym Miecio, który rozochocony wciąż podchodził mu pod rękę i w odpowiednich momentach sugestywnie pokazywał, co to jego zdaniem nagie dziewczynki mają do zaoferowania. Można się było przy tym domyślić, że lokalny artysta gustuje w dość obszernych paniach, które mają czym odetchnąć i na czym usiąść.

I właśnie w tym momencie, gdy Miecio wspinał się na wyżyny pantomimicznej ekspresji, na rynku pojawiła się Leontyna i widząc wywijającego pod drzewem hołubce producenta regionalnych trunków i przytupujących w takt wygrywanej melodii swoich gości, na moment zamarła.

– Chyba jednak musimy przełożyć zakup sztucznego śniegu na później – oznajmiła słabym głosem idącej obok niej Adriannie.

– Bo? – Dziewczyna pytająco uniosła brwi.

– Widzisz tamtych dwóch pod choinką? To właśnie ci panowie, o których ci wspominałam.

– Ci, którzy do pani przyjechali? Wygląda na to, że nieźle się bawią, mają dość rozrywkowe charaktery. – Ada mimo usilnych starań nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. – Oho, i o ile mnie wzrok nie myli, widzę tam również pana Miecia – dodała, przekrzywiając głowę i przyglądając się, jak lokalny artysta chwyta w objęcia Mateusza i porywa go do spontanicznego

tańca.

– Niestety, wzrok masz sokoli – jęknęła Leontyna. – A swoją drogą, kiedy zdążyłaś go poznać?

– Pierwszego dnia, chciał mnie uraczyć regionalnym trunkiem swojej produkcji, ale udało mi się tego uniknąć.

– W przeciwieństwie do tych tam. – Leontyna z niepokojem przyglądała się temu, co się dzieje pod przystrojonym drzewkiem.

Niestety, tłum gapiów stale rósł, wśród nich ku swojej rozpaczycy Leontyna dostrzegła właścicielkę mięsnego.

– Jak na złość, jakieś złośliwe lichy musiało ją tu przygnąć – mruknęła, biorąc głęboki oddech. – Teraz to już przesądzone, dostanę się na języki połowy Malowniczego. Tamta w czerwonej kurtce to Kraśniakowa, skarbnica wszelkich miasteczkowych plotek – wyjaśniła Adzie. – Wszystkim wiadomo, że jak się czegoś nie wie, wystarczy zajrzeć do mięsnego. To ma nawet swój specyficzny urok, ale tylko wtedy, gdy się nie jest główną atrakcją i obiektem obgadywania...

– To w takim razie nie ma co tu stać, tylko trzeba działać – zauważyła rozsądnie Adrianna. – Coby miała jak najmniej do powiedzenia. Chyba nie zostaje nam nic innego, jak zgarnąć tych pani trubadurów i uciec stąd. Proponuję szybką akcję. Bierzemy ich z zaskoczenia i...

– No i co dalej? Prowadzić ich do domu to będzie istna droga przez mękę. Nawet we dwie będzie nam trudno sobie z nimi poradzić. Pół drogi biegnie pod górkę, a coś mi mówi, że nie będą zbyt stabilni i łatwi w obsłudze. Każdego innego dnia zadzwoniłabym do Magdy, żeby mnie z nimi podwiozła, ale dziś pojechała do Frania, do szkoły, na przedstawienie.

– Dobrze, w takim razie ja spróbuję załatwić transport – mruknęła Adrianna i wystukała na komórce numer Antoniego.

Ten sam, z którego miała nigdy w życiu nie skorzystać. Ale cóż, sytuacja

wymagała natychmiastowego działania. Czymkolwiek uraczył starszych panów lokalny producent trunków, to coś właśnie nabierało mocy. Nawet z tej odległości było widać, że z minuty na minutę Stefana i Mateusza coraz bardziej rozbiera.

– No co tam? – odezwał się w słuchawce Antek. – Magda mówiła, że do wieczora będziesz dłubała przy zimowej wystawie w Kufierku, jakaś zmiana planów?

– Wyjaśnię ci wszystko później, teraz potrzebuję pomocy. A właściwie nie ja, ale pani Leontyna. Przyjedziesz?

– Przyjadę. Powiedz tylko, gdzie cię szukać.

– Wystarczy, że podjedziesz na rynek. Uwierz, trudno nas będzie przeoczyć – dodała, patrząc na to, co się wyprawia pod choinką.

– Niestety. – Leontyna pokiwała głową i obie ruszyły w kierunku roztańczonych mężczyzn.

---

\* Piosenka Kapeli Czerniakowskiej, tekst Tadeusza Stacha.

Antek przyjechał naprawdę szybko. Bez zbędnych komentarzy wpakował domorosłych artystów do samochodu i odwiózł ich pod adres wskazany przez Leontynę, po czym pomógł jej wspólnie z Adą doprowadzić ich na górę i dotransportować do łóżek.

– No, to chyba porządki w sklepie dokończymy dopiero jutro – westchnęła starsza pani, przymykając drzwi do gościnnego pokoju. – Jedno mnie tylko martwi, wychodząc, nie włączyłam alarmu. A nie mogę przecież pójść i zostawić tych tutaj samych.

– To może my podjedziemy i włączymy? – zaproponował Antoni. – A klucze przywieziemy w drodze powrotnej.

– A bardzo ci się spieszy? – Ada spojrzała na niego pytająco. – Bo gdybyś mógł na mnie chwilę poczekać, skończyłabym wystawę. Na jutro byłaby gotowa i można by ją było od rana odsłonić. To mi zajmie jakąś godzinkę, no, może półtorej...

– Nie ma najmniejszego problemu.

– No to po raz pierwszy od wielu lat moja własna witryna będzie niespodzianką również dla mnie. – Leontyna uśmiechnęła się i wręczyła im klucze do Kuferka.

A potem zza firanki obserwowała, jak wychodzą na zaśnieżoną ulicę, jak się przekomarzają i z czegoś śmieją i jak Antoni poprawia zsuwającą się z włosów dziewczyny czapkę. I widząc to wszystko, uśmiechnęła się do siebie i pomyślała, że lubi patrzeć na takie fidrygałki, które najczęściej są zapowiedzią czegoś wielkiego. I że właściwie dobrze się stało, że nie włączyła tego alarmu i że nie skończyły wystawy wspólnie. Głupawy wybryk Stefana i Mateusza nieoczekiwanie przyniósł sporo dobrego.

Sklep Leontyny przez te kilka dni zmienił się nie do poznania. Na półkach zrobiło się mniej tłoczno, meble zaczęły tworzyć urokliwe kąciaki, a w powietrzu wyczuwało się czar minionych dni, podkreślany korzennym aromatem, który unosił się znad porozstawianych na szafkach i szafeczkach pater wypełnionych po brzegi pierniczkami.

– Właściwie to wchodząc tutaj, mam wrażenie, że natychmiast powinienem przywdziać frak i włożyć cylinder – rzekł z uśmiechem Antek. – Moje sprane dżinsy jakoś nie bardzo pasują. Ale mimo to może przyda ci się beznadziejnie współczesny pomocnik – dodał, podchodząc do Ady.

– Przyda. Choć chętnie bym cię zobaczyła w takim staromodnym fraku i meloniku. Pasowałyby do ciebie. Masz urodę przedwojennego amanta. Ale że na bezrybiu i rak ryba, więc jakoś pogodzę się z twoim prozaicznym, współczesnym wcieleniem. Na tamtym stole ułożone są wszystkie potrzebne rzeczy. W kolejności. Podawaj po prostu jedną po drugiej, zaczynając od tego anioła z obitym skrzydłem.

– Uuu, bidakowi coś w życiu widać nie wyszło, nie tylko skrzydło ma nadkruszone, cały jest jakiś poobijany...

– I dlatego go lubię. Jest taki jak ja – wyrwało się Adriannie z głębi serca. – U mnie też sporo tych obtarć i ubytków... – Zamilkła, przestraszona tym, co bez udziału woli powiedziała.

Cholera, że też musiało mi się wymyślić, pomyślała, ustawiając anioła na wystawie, i w tym samym momencie poczuła ręce Antoniego na swoich ramionach. Odwrócił ją przodem do siebie i przez moment patrzył w oczy. A potem ją przygarnął i delikatnie zaczął kołysać. Sam nie wiedział, skąd mu się to wzięło. W jej głosie było tyle bezbrzeżnego smutku, że chciał ją



pocieszyć, ale w każdym innym wypadku zabrałby się do tego w standardowy, dobrze znany i sprawdzony sposób. Cały szkopuł polegał na tym, że Adrianna nie była taka jak inne. Była wyjątkowa, wiedział o tym od samego początku, odkąd walnęła go łokciem w brzuch. Nie był małym, nie wmawiał więc sobie, że w ciągu kilku dni znalazł miłość na całe życie. Ale wiedział też, że po raz pierwszy spotkał kogoś, kto budzi w nim tyle czułości i troski.

Obserwował ją bacznie przez ostatnie dni i jego uwagi nie umknął fakt, że gdy odczytuje wiadomości na komórce, pochmurnieje. Jej oczy ciemnieją. Nie trzeba było być jasnowidzem, by się domyślić, że nosi w sobie jakąś wielką tajemnicę i niezabliźnioną ranę. I że ktoś, kogo coraz bardziej nie lubił (nazywał go w duchu komórkowcem), robi wszystko, by jeszcze bardziej tę ranę rozjrzeć. I to zapewne przez tego właśnie komórkowca dziewczyna tak panicznie bała się bliskości. To, że teraz pozwoliła mu się przytulić, poczytywał za cud. A cudów nie wolno lekceważyć, tym mocniej więc otulił ją ramionami.

– Nie musisz się martwić, zobaczysz, zwichnięte skrzydła jeszcze się zrosną – wyszeptał, pochylając głowę i opierając policzek o jej włosy. – A do tego czasu pamiętaj, że ja tu jestem, i zawsze gdy będziesz potrzebowała, podam ci rękę i plaster na te obtłuczenia też – dodał, uśmiechając się, i jeszcze mocniej ją przytulił. – Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będę tu z tobą stał do końca świata i jeden dzień dłużej, aż poczujesz, że nie chcesz przed niczym uciekać. Przede mną też nie. I że jesteś bezpieczna. Chciałbym, żebyś mi pozwoliła być twoim przyjacielem. Co ty na to? – zapytał cichutko.

– Przyjacielem? – powtórzyła Adrianna, wsłuchując się w bicie jego serca.

– Tak, nie jestem może najlepszym kandydatem do poważnych związków, jakoś mi to nie wychodzi. Ale przyjaźnić się potrafię jak mało kto.

– Sam nie wiedział, dlaczego to mówi, skoro całym sobą pragnął ją pocałować.

– To się świetnie składa, bo mi też najlepiej wychodzi bycie przyjaciółką – wyszeptała wprost w jego sweter, nie rozumiejąc, dlaczego zamiast ulgi poczuła rozczarowanie. – To co, przyjaźń? – Z niechęcią wysunęła się z jego ramion.

– Przyjaźń – potwierdził z niezadowoleniem, robiąc krok do tyłu i sięgając po drugiego anioła.

A potem pracowali w ciszy i skupieniu. Jak to przyjaciele mają w zwyczaju. Czasem ich palce stykały się ze sobą i wtedy oboje cofali ręce, udając, że niczego nie zauważyli i że właściwie nic się nie stało. Gdy skończyli, wyszli przed sklep i przystanęli naprzeciw przeszklonej witryny.

– Zimowy, anielski krajobraz sentymentalny...

Adrianna czule położyła dłoń na szybie, za którą rozpościerała się wysypana drobnym białym migoczącym żwirkiem aleja parkowa. Stały przy niej miniaturowe ławeczki, ozdobione poduchami sztucznego śniegu, który łudząco przypominał ten prawdziwy. Na oparciu ławek przysiadły małe aniołki zasłuchane w to, co się wokół działo. Zapatrzone w umieszczoną pośrodku zaśnieżonego skwerku choinkę, która była odzwierciedleniem tej stojącej na malowniczym rynku. Wyglądał zza niej diabeł zawadiaka. Na górze Ada zawiesiła dorożkarskie latarnie, w których płonęły świece, rzucając chybotliwe cienie. A pod latarniami zasiadły dwa anioły: jeden zafrasowany, drugi zadziorny.

I w tej samej chwili Antoni jakby od niechcienia wyciągnął rękę i poprawił niesforny kosmyk wymykający się jej spod czapki. Przesunął przy tym palcem po jej policzku, czule zahaczając o kącik ust, i na dłużej zatrzymał się na podbródku.

Ale przecież nie ma w tym nic dziwnego – pomyślała Adrianna.

Przyjaciele się czasem dotykają, poprawiają sobie czapki i szaliki... a nawet obejmują. Poczuła, jak jej serce przyspiesza, gdy Antek otoczył ją ramieniem. I w tej chwili zobaczyła ich odbicie w wystawie: stali przytuleni pod czujnym, baczным spojrzeniem aniołów. I pasowali do siebie, choć praktycznie się nie znali. A może właśnie dlatego.

– Popatrz, to będzie mój prywatny pejzaż. Mój pejzaż z Aniołem. – Uśmiechnął się i Adrianna zrozumiała, że i on zerkał na ich sylwetki odbite w szybie. Tyle tylko, że nie wiedziała, czy mówi o niej, czy o którejś z figurek.

Uniosła oczy i spojrzała w granatowe niebo, w świetle latarni zobaczyła, że śnieg znów zaczął padać. Tym razem jednak nie wzbudził w niej niechęci ani popłochu. Wręcz przeciwnie, poczuła coś na kształt sympatii i radości. Delikatne, koronkowe płatki osiadały na jej włosach, zaczepiały się o rzęsy i odniosła wrażenie, że te małe gwiazdki chcą jej przekazać część swojej lekkości i bez troski. I że to im się udaje.

Dziwne to było, bo do tej pory żadna z przyjaźni tak na nią nie podziałała. Widać ta zimowa, przedświąteczna była wyjątkowa.

Z każdą chwilą czuć było, że nadchodzą święta. Adrianna nawet nie spostrzegła, kiedy została wciągnięta w wir przygotowań. Wystarczyło, że weszła do kuchni, w której Madeleine z zafrasowaną miną zagniała jakieś gigantyczne brązowe ciasto na stolnicy. Kuchnię wypełniał korzenny aromat piernika przemieszany z wonią gotującej się kapusty z grzybami.

– Oooo, cudownie, że jesteś. – Ucieszyła się Madeleine na jej widok. – Wiem, że absolutnie nie jesteś zainteresowana świętami, gotowaniem ani niczym takim, ale bądź tak dobra i zamieszaj mi kapustę. W zeszłym roku franca jedna mi się przypaliła. Co prawda wtedy była już z zasmażką...

– Gotujesz bigos? – Adrianna zajrzała do bulgoczącego gara.

– Nie, kapustę wigilijną, ale najpierw farsz do pierogów. Z początku to jedno i to samo, więc nauczyłam się robić dwa w jednym. A u ciebie gotowało się bigos? Bo jeżeli tak...

– Nie, u mnie nie gotowało się bigosu – weszła jej w słowo. – Właściwie to u mnie w ogóle się nie gotowało... Najpierw tata zamawiał całą kolację wigilijną u takiej jednej pani, a potem... – Adrianna posmutniała – ... a potem to już w ogóle wszystko się pozmieniało. Czasem, gdy miałam szczęście, na stole lądował jakiś śledź lub sałatka. Raz był nawet wybór ciast, bo Teresa, znaczy się moja mama, miała wtedy gorszy czas i musiała się czymś pocieszyć. Ale im starsza byłam, tym rzadziej matka w ogóle myślała o świętach i o mnie. Ech, mniejsza o to – dodała i pochyliła się nad parującym garem.

Madeleine przez moment milczała, zastanawiając się, co powinna w tej sytuacji odpowiedzieć. Jeśliby chciała zrobić to, co dyktowało jej serce,

użyłaby kilku niecenzuralnych określeń pod adresem matki Adrianny. Wiedziała o niej sporo od Marleny, z którą rozmawiała niemal codziennie, ale nie chciała robić przykrości Adzie, a przy okazji nie bardzo chciała zdradzić się, ile wie.

Zrobiła więc to, co zawsze skutkowało w przypadku Ani, Marcysi i Frania. Postanowiła zająć się Adą z troską i miłością. I sprawić, by dziewczyna poczuła, że jest potrzebna, niezbędna i chciana.

Ale żeby do tego doprowadzić, musiała od czegoś zacząć. Uczyniła więc to, co pierwsze przyszło jej na myśl. Sięgnęła po wiszący na drzwiach kuchennych fartuszek, obwiązała nim Adę i wręczyła jej wałek.

– I co ja mam z tym zrobić? – Dziewczyna spojrzała na nią wielkimi oczami.

– Użyć, tu jest stolnica, tu ciasto na pierniki, odrywasz spory kawał i wałkujesz. Niezbyt cienko, bo akurat te mają być pulchne i mięciutkie. Tak na pół centymetra. Zaraz przyjdą dzieciaki, to pomogą ci wycinać. A potem będzie najlepsza część zabawy: zdobienie. Zobaczysz, jak będzie wyglądała kuchnia! W zeszłym roku omal się nie zabiłam na cukrowych kuleczkach. A, i jeszcze dziś wpadnie Leontyna i tych jej dwóch nygusów. Odkąd dali się napoić Mieciowi jednym z jego licznych wynalazków, biedna boi się spuścić ich z oka.

– Nieźle wtedy poszaleli – roześmiała się Ada, mozoląc się z ciastem.

– Kraśniakowa do tej pory opowiada o tym w mięsny. I jeszcze długo będzie gadać, bo to pikantny temat. Nasza Leontyna stała się bohaterką skandalu z podtekstem seksualnym.

– Co ty opowiadasz? Myślałam, że gadają o tym ich występie i tańcach... Gdzie tu podtekst seksualny?

– Od tańców do hulanki i swawoli jest tylko rzut beretem. – Madeleine się roześmiała. – To jest właśnie urok mieszkania w małym miasteczku. Jak

mi to kiedyś Krysia powiedziała?... Wieczorem kichniesz, a rano wszyscy będą cię pytali o katar. A tu temat jest tym bardziej nęcący, że Leontyna mieszka z dwoma mężczyznami naraz. Wyobrażasz sobie?

– No, właśnie wyobrażam, ale chyba nie to co inni. – Ada z niedowierzaniem pokręciła głową i stwierdziła, że ciasto podejrzanie lepi się do jej palców.

– Musisz podsypać mąką – poradziła Magda. – A wracając do tematu, to właśnie też wyobraźnię mam pod tym względem oporną, ale stałam dziś w kolejce po wędlinę i przekonałam się, że inni nie mają takiego kłopotu. Jedna z pań stojących przede mną skomentowała tę sytuację, że teraz czasy są występne i czarne, że nawet starsi sięją zgorzenie, a seks jest wszechobecny i nawet jak człowiek nie chce i się broni, to i tak go zewsząd dopada.

– Że niby pani Leontyna, Mateusz i Stefan tę panią?

– O, na mój gust to ona za bardzo by nie oponowała. Wiesz, jak jest, głodnemu chleb na myśli. Nie wytrzymałam i powiedziałam, że trochę zazdrość i chętnie posłucham, gdzie ten seks tak ludzi napastuje, bo jakoś mnie jak na złość to zdeprawowanie omija szerokim łukiem. A to szkoda móc i nie skorzystać. Żałuj, że nie widziałas jej miny! A swoją drogą dziwne jest to, że Kraśniakowa gada, a jakże!, ale jakoś mniej jadowicie niż zwykle... Gdybym jej nie znała, tobym nawet podejrzewała, że usiłuje naszych panów trubadurów oszczędzać. Oczywiście w granicach Kraśniakowego rozsądku. – Madeleine znów parsknęła śmiechem i postawiła koło Adrianny pudełko wypełnione foremkami do pierniczek. – Słuchaj, zrobmy najpierw partię gwiazdek i serduszek, one najrówniej się pieką, zaniosę je na plebanię. Proboszcz dzwonił dziś do mnie z wiadomością, że Burczykowa znowu umiera, to akurat jej podrzuci.

– Pierniki umierającej? – Ada na moment znieruchomiała z foremką

przyciśniętą do ciasta. – Macie tu jakieś dziwne zwyczaje.

– Burczykowa umiera co roku przed świętami i cudownie ozdrowia na Wigilię. Taka świecka tradycja. Proboszcz ostatnio nawet zaczął się niepokoić, że jeszcze po niego nie telefonowała, ale jak widać, wszystko wróciło do normy. Zaliczyła tylko lekkie opóźnienie w umieraniu. Może coś jej w kalendarzu się poprzestawiało. Ostatnimi czasy myślą jej się daty. A pierniczki podrzucamy jej co roku. Proboszcz zastanawia się, czy to aby nie właśnie przez nie biedna Burczykowa popada w przedświąteczną agonię. Boi się, że tak normalnie nikt jej nie dostarczy puchy ulubionych ciastek i innych łakoci. O ile słuch mnie nie myli, to chyba przyjechał Tonio z Leosią i panami. To i dobrze, bo czas najwyższy, żebyśmy wszyscy siedli i ustalili listę potraw, zakupów, godzinę, o której ma być kolacja. Właśnie się zastanawiałam, czy nie zajęłabyś się salonem. Będzie tam stała choinka, no i stół wigilijny. Mogłabyś rzucić na ten pokój fachowym okiem i zobaczyć, jak by było najlepiej poprzestawiać meble.

Adrianna, słuchając jej, mimowolnie zaczęła kręcić głową. Już otwierała usta, by oznajmić Magdzie, że ona nie chce brać udziału ani w ustalaniu świątecznych szczegółów, ani w ustawianiu stołu, ani w szukaniu najlepszego miejsca na choinkę, ale po chwili zrezygnowała. Przypomniała sobie rozmowę z Antonim, gdy opowiadał o tym, ile Madeleine ma pracy. Przed oczami przeleciały jej sceny z poranków, gdy półprzytomna robiła dzieciakom śniadanie, a przy okazji stawiała talerz i przed nią. Jak wieczorami pukała do jej pokoju i przynosiła gorące kakao. Jak czasem przysiadła w fotelu i po prostu tak razem z nią siedziała w przyjaznym, dobrym milczeniu, choć przecież mogła ten czas wykorzystać całkiem inaczej. Nie chciała słyszeć o wzięciu pieniędzy za pobyt. I właśnie te wszystkie rzeczy złożyły się teraz na milczenie Adrianny. Nie mogła, ot tak, jej powiedzieć, że nie chce pomóc, bo czułaby się podle. I tak oto, niejako

poza nią, święta same zdecydowały, że będzie w nich uczestniczyć. I to tak, jak jeszcze nigdy dotąd.



Leontyna, gdy tylko weszła do kuchni, podwinęła rękawy i razem z Adą zabrała się do wałkowania i wykrawania pierników. Wkrótce dołączyły do nich dzieci. Starsi panowie układali gotowe do pieczenia ciastka na blasze. Antek i Michał pojawili się w kuchni ostatni i z miejsca zaproponowali wszystkim po kusztyczku naleweczki.

– Tylko ja nie mogę, bo jeszcze będę odwoził naszych gości. – Antek przystanął za plecami Adrianny i położył jej rękę na ramieniu, co nie uszło uwagi Magdy.

– Tak naprawdę to wy powinniście dobrowolnie się zrzec tej przyjemności w ramach pokuty. – Leontyna pogroziła Stefanowi i Mateuszowi umączonym palcem.

– Pokutę to my już odprawiliśmy natychmiast następnego dnia, po tym całym balu – sprostował z godnością Stefan. – Myśleliśmy, że głowy nam popękają. Do tej pory nie mogę wyjść z podziwu, że ten wasz Miecio pije to co dnia i nie umiera z powodu kaca.

– Panie Stefanie, bo on wypracował na to metodę – wyjaśniła Magda, co chwila popatrując na Tonia, który właśnie pochylał się nad Adrianną i coś do niej szeptał.

– A jaką, jeżeli wolno spytać? – zaciekał się Mateusz.

– Po prostu cały czas trzeba się utrzymywać w stanie lekkiego podpicia i nie dopuszczać do tego, by kac się uaktywnił. Miecio stosuje tę technikę od lat i działa. – Roześmiała się i pomyślała, że koniecznie musi jeszcze raz pogadać z Antkiem. – A skoro już mowa o tamtym incydencie, to u Kraśniakowej aż huczy. Leosiu, powinny cię nieźle piec uszy, bo to ty jesteś główną bohaterką wszelkich pikantnych spekulacji. Oczywiście z udziałem

panów – dodała nielitościwie. – Choć jak na Kraśniakową, to i tak was jakoś dziwnie oszczędza.

– A, bo to zasługa Mateusza. – Stefan poklepał kolegę po plecach. – Od razu następnego dnia pognaliśmy na rynek naprawiać reputację naszej Leontyny, która raczyła nas poinformować, że właśnie dostaliśmy się we trójkę na języki największej plotkary w mieście. A że jak mówią, najciemniej pod latarnią, to zaczęliśmy od wejścia w paszczę smoka. Poszliśmy do mięsnego i tam Mateusz pokazał, co potrafi.

– Stefan, bój się Boga, panie gotowe pomyśleć, że ze mnie jest jakiś, jakiś... – Tu starszemu panu zabrakło słów.

– I dobrze by pomyślały – perorował niezrażony Stefan. – Mówię wam, jak tam wszedł, szarmancko szurnał nogami, w pas się skłonił, a potem zaczął się zachwycać, jaka to rączka, a jaka nóżka. A jak pani jak fryga śmiga za tą ladą! Aż żal taki talent marnować, przed wojną to by pani była najpierwszą gwiazdą rewii... Tak, tak, nie ma co przewracać oczami, to wszystko właśnie sam powiedziałeś.

– I wypierać się nie mam zamiaru, ale żebyś od razu musiał o tym gadać na prawo i lewo...

– No i co ja mam z nimi zrobić? – Leontyna z rozbawieniem i przyganą pokręciła głową. – Jak dzieci! Strach ich zostawić bez opieki, bo co chwila wykręcą nowy numer!

– Ale dajcie spokój, dobrze to wykombinowali, z Kraśniakową trzeba sposobem i moim zdaniem ten był naprawdę niezły – stanął w obronie Stefana i Mateusza Michał. – Zresztą, ważne są rezultaty, a sama mówiłaś, że jak na siebie, jest łagodna – zwrócił się do Magdy. – A poza tym wybaczenie, że zmieniam temat, ale chciałbym się dowiedzieć, jak w tym roku robimy z choinką...

I w ten sposób rozmowa zeszła na tematy świąteczne, Michał dbał o to,

żeby kieliszki nie były zbyt długo puste, dzieciaki zaś całe umazane ciastem przekrzykiwały się i przepychały, żeby pozdejmować z blachy swoje pierniki. Było gwarno, wesoło i beztrosko. Zapomniana przez wszystkich kapusta przypaliła się i dała o tym znać lekkim swądem.

– Jak co roku – skwitowała ze śmiechem Madeleine, zestawiając garnek z gazu i przekładając jego zawartość do innego rondla.

– Jak co roku – powtórzył Michał i czule ją objął, a w oczach miał takie morze miłości, że patrzącą na nich Adriannę aż coś ścisnęło w gardle.

Pomyślała, że też by chciała kiedyś, w jakimś innym życiu, móc tak powiedzieć.

„Jak co roku” brzmiało pięknie, bezpiecznie i ciepło.

W ogóle w tej jasnej, wymazanej ciastem i oprószonej mąką kuchni, przesyconej zapachem gorących pierników i przypalonej kapusty było właśnie tak: dobrze, ciepło i rodzinnie. I bez trudu można sobie było wyobrazić, że w poprzednich latach było podobnie i że za kilka kolejnych też tak będzie. Tu każdy się czuł na swoim miejscu. Oprócz tych wszystkich realnych zapachów unoszących się w powietrzu pachniało jeszcze czymś. Ulotnym, upragnionym i potrzebnym.

Tak właśnie musi pachnieć miłość, pomyślała Adrianna i w tym samym momencie poczuła czyjąś dłoń ściskającą jej rękę. Nie musiała się nawet odwracać, żeby wiedzieć, że to Antek.

– Leontyna prosiła, żebyś z nami zeszła na dół – szepnął jej do ucha. – Ma coś dla ciebie, ale zostało w korytarzu – dodał i niechętnie uwolnił jej palce z uścisku.

Tym czymś okazało się drewniane pudełko przewiązane kolorową wstążką.

– To dla ciebie – rzekła z uśmiechem starsza pani, wyciągając paczuszkę w kierunku Adrianny. – W podziękowaniu za pomoc przy wystawie i

w całym sklepie. Bez ciebie nie byłoby tam tak ślicznie.

– Ale naprawdę nie trzeba – sumitowała się Ada.

– Trzeba, trzeba. Mam tylko do ciebie jedną prośbę, nie otwieraj tego teraz. Otwórz pudełko dzień przed Wigilią. To już naprawdę niedługo, a tylko wtedy to, co tam jest, spełni swoje zadanie. – Uśmiechnęła się do niej i pogładziła ją po policzku.

A Adriannie ze wzruszenia zakręciły się łzy w oczach.

Ten nagły mokry błysk nie uszedł uwagi Leontyny.

Co musiało to dziecko przeżyć, skoro tak drobny gest wywołuje u niej takie wzruszenie, pomyślała i z troską popatrzyła na dziewczynę. Cokolwiek ją spotkało, jedno jest pewne – najwyższy czas, żeby jej życie się zmieniło. Najwyższy czas, żeby ją ktoś pokochał.

**A**ntek wysiadł z samochodu i zaciągnął się lodowatym powietrzem. Przez moment stał bez ruchu, zbierając siły. Doskonale wiedział, co go czeka po wejściu do domu. Widział, jak patrzyła na niego Magda, i nie przypuszczał, by mu odpuściła. Z irytacją kopnął w kupkę zmarzniętego śniegu i pomyślał, że nie ma najmniejszej ochoty na umoralniającą pogadankę. Ale przecież nie mógł tu stać do końca życia. Zwłaszcza na takim mrozie. Westchnął i z niechęcią skierował się w stronę ganku.

– No, to się nie spieszyłeś. – Magda ubrana w kurtkę i okutana w grubą chustę siedziała na ławeczce i popijała coś z kubka.

– A ty co tu robisz? – zapytał, choć doskonale wiedział, co ją tu przygnało.

– Wyszłam na papierosa – oznajmiła, zabawnie przekrzywiając głowę.

– Co takiego? Od kiedy ty palisz?

– Od kiedy mam trójkę dzieci i masę spraw na głowie. I nie powiedziałam, że palę, tylko że wyszłam na papierosa. Takiego mentalnego. Nie wszystko trzeba odbierać dosłownie.

– I co, z tym mentalnym papierosem czekasz tu na mnie? – Przysiadł obok niej.

– Tak, bo widzisz, ja się po prostu martwię.

– To się nie martw. – W jego głosie pojawiły się szorstkie nuty.

– Kiedy nie...

– Poczekaj – przerwał jej stanowczo. – Zanim cokolwiek powiesz, przypomnij sobie, jak po raz pierwszy przyjechałem tu z Michałem. Pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. Dopiero tu zamieszkałam, a poza tym trafiliście w środek tej nieszczęsnej afery z paleniem trawy i naszą siostrzyczką w roli głównej. Trudno o coś takim zapomnieć. Ale co to ma do rzeczy?

– Całkiem sporo. Ja wtedy czułem dokładnie to co ty teraz. Patrzyłem na ciebie i Michała i trafiał mnie nagły szlag. Bo Michał był moim najlepszym kumplem, znaleźliśmy się jak łyse konie i doskonale wiedziałem, na co go stać. A w tym wypadku raczej na co go nie stać. Pamiętasz, jak ci mówiłem, żebyś sobie dała z nim spokój? Że to świetny kumpel, ale beznadziejny facet, a już na pewno nie jest to ktoś dla ciebie? Wcale nie chciałaś mnie wtedy słuchać, nawet gdy ci powiedziałem, że jestem twoim bratem i musiałbym obić głowę mojemu najlepszemu przyjacielowi, gdyby cię skrzywdził.

– Rzeczywiście tak było, nawet zagroziłeś mi, że jeżeli choć raz przez niego zapłacę, to go zatłuczysz...

– ... jak psa – dokończył, posępnie kiwając głową. – Bo wtedy tak właśnie czułem. A teraz powiedz, posłuchałaś mnie?

– Ale to jest zupełnie co innego. – Madeleine odstawiła kubek na odwróconą do góry nogami skrzynkę.

– Nie, to nie jest co innego. Spójrz na to jeszcze z innej strony. Co by było, gdybyś mnie posłuchała? Mnie, który wtedy dałbym sobie rękę uciąć, że wiem, co mówię? A jednak się pomyliłem. I Michał trwa przy tobie, na dobre i na złe, na lepsze i na gorsze. Czemu potrafiłaś zaufać jemu, a mnie, swojemu bratu, nie potrafisz? Naprawdę tak źle mnie oceniasz? Uważasz, że z premedytacją chcę skrzywdzić tę dziewczynę? A może właśnie dzieje się coś, czego ani ty, ani ja do końca nie rozumiemy? Zamiast więc zmywać mi głowę za winy i grzechy, których nie popełniłem, daj mi szansę, co? – I nie czekając na odpowiedź, podniósł się gwałtownie, wszedł do domu i głośno trzasnął drzwiami.

Takiego obrotu spraw Madeleine kompletnie się nie spodziewała.

No to się porobiło, pomyślała, odprowadzając go zdumionym wzrokiem. Zadziwiająco, chciałam mu przemówić do rozsądku, a tymczasem sama oberwałam, i to porządnie. I trudno się do tego przyznać, ale chyba słusznie, stwierdziła. Po namyśle obiecała sobie solennie, że już nie będzie się wtrącać. Bo chyba rzeczywiście działo się tu coś, czego nie potrafiła do końca pojąć, ale stawać temu czemuś na drodze też nie miała śmiałości.

Adrianna od samego rana miała złe przeczucia. Obracała komórkę w dłoniach i popatrywała na nią z niechęcią. Od momentu gdy napisała do matki, że nie ma zamiaru jej sprzątać, codziennie dostawała coraz kąśliwsze wiadomości. A co jak co, ale Teresa wiedziała, gdzie uderzyć, żeby bolało najbardziej. W końcu doszło do tego, że na sam dźwięk przychodzącego esemesa Ada czuła, jak ze zdenerwowania robi jej się niedobrze. Zwykle matka pisała rano. Teraz było już popołudnie i Ada zaczęła mieć cichą nadzieję, że może w końcu da jej spokój. W końcu czego ona od niej, do cholery, chciała? Siedziała z panem Krakowem pod palmami, piła drinki i świetnie się bawiła. Z jakichś niewyjaśnionych i niezrozumiałych przyczyn dręczenie Ady sprawiało jej ogromną frajdę. Może dlatego, że córka wbrew jej przewidywaniom radziła sobie w życiu całkiem nieźle. A przecież matka powinna mieć zawsze rację...

– O, ciocia! – przerwał jej niewesołe myśli głos Frania.

– O, Franio! – Uśmiechnęła się na jego widok szeroko. – A ty nie w szkole, w świetlicy?

– Nie, zasypało drogę, znaczy już ją odsypało, ale z samego rana ciocia nie mogła przejechać. Ty wiesz, ile ona zna brzydkich słów? – Chłopczyk zniżył konspiracyjnie głos. – Wszystkie zapamiętałem, choć ciocia Madzia kazała mi o nich natychmiast zapomnieć. Poczekam, aż dorosnę, i wtedy będę mógł się wszystkim pochwalić, co wyniosłem z domu. To się nazywa dziedzictwo, wujek Michał mi o tym opowiadał. – Franiowi buzia się nie zamykała.

– No tak, to pewnie się ciocia ucieszy – odchrząknęła Ada, z trudem zachowując powagę.



Mimo że mieszkała z nimi dość krótko, chłopczyk zdążył z jakichś sobie tylko wiadomych względów zapalać do niej wielką sympatią.

– Na pewno. – Franio przysiadł na stołku i splótł przed sobą rączki. – Mogę ci zadać jedno pytanie?

– Dawaj. – Ada z czułością zmierzwiła mu włoski.

– Czy ty przypadkiem znasz się na dzidziach? – wypalił, wpijając w nią błękitne oczęta.

– No, niestety, akurat w tej dziedzinie jestem zupełnym laikiem. – Roześmiała się. – Musisz zapytać ciocię albo wujka...

– Pytałem, ale oni strasznie kręcą. Myślę, że sami nie wiedzą, tylko nie chcą się przyznać... – wyznał zafrasowany Franio. – Ale mój kolega Arek ma w domu dwie, podobno bociany przyniosły, ale ja tam w to nie wierzę. – Sceptycznie zmarszczył brewki.

– A to czemu?

– Ciociu, przecież bociany na zimę odlatują. – Chłopczyk popatrzył na nią z politowaniem. – Ale skoro u nich jest aż dwójka, to może jednym mogliby się podzielić? – zapytał z nadzieją.

– Wiesz co, tak jak ci mówiłam, nie za bardzo znam się na dzidziach, ale akurat to jedno wiem na pewno: raczej nikt się nimi nie dzieli.

– Wiedziałem, że to się nie uda! To czysta niesprawiedliwość, oni mają dwie, a my żadnej nie możemy mieć. – Chłopczyk westchnął z rozczarowaniem. – Myślałem, żeby napisać jeszcze jeden list do Mikołaja i poprosić go o przyniesienie jej pod choinkę, ale Ania mówi, że gdyby Michał miał na imię Mikołaj, toby może podziałało, a tak, to nic z tego nie wyjdzie. A potem jeszcze dorzuciła, że ze mnie jest straszny dzieciuch!

– Hmm, tak sobie myślę, że Mikołaj może się poczuć zaskoczony twoją prośbą. – Adrianna rozsądnie przemilczała uwagę o Mikołaju i Michale. – Do świąt nie zostało już wiele czasu. Raczej już nie zdąży załatwić tak trudnej

sprawy. W końcu sam zauważyłeś, że dzidzie są raczej trudno dostępne. Ale napisać zawsze możesz. Co ci szkodzi spróbować?

– Tak też właśnie myślę! Ciocia jest niezwykle mądra, bo zawsze się ze mną zgadza – pochwalił ją ucieszony Franio i w wesołych podskokach wybiegł z kuchni.

W tej samej chwili komórka Ady zawibrowała sygnałem odebranej wiadomości. Dziewczyna nie musiała sprawdzać, żeby wiedzieć, że nadawcą jest jej matka. A jednak nie mogła sobie darować, pomyślała Ada i niechętnie sięgnęła po telefon.

**M**adeleine wróciła do domu opętana myślą o wypiciu ogromnego kubka gorącej czarnej kawy. Na schodach zderzyła się ze swoim bratem. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na jego ściągniętą twarz, żeby wiedzieć, że stało się coś niedobrego. Myśl o kawie natychmiast wywietrzała jej z głowy.

– Co jest? – zapytała, odruchowo zniżając głos.

– Adrianna siedzi w kuchni i płacze – odparł, zaciskając pięści. – I to znów po tym, jak odczytała wiadomość na telefonie. Ja ci, Magda, powiem, że coś mi się wydaje, że to jakiś dupek jej wyrządził krzywdę, im dłużej się przyglądam, jak ona smutnieje po każdym esemesie, tym większą mam ochotę drania dorwać i sprać na kwaśne jabłko. Zresztą, co ja mówię sprać! Zatluc mam go ochotę!

– Widzę, że i ty zauważyłeś tę jej telefoniczną gehennę – mruknęła Madeleine.

– Trudno nie zauważyć! – wybuchnął. – Nóż mi się po prostu w kieszeni otwiera, gdy muszę się temu bezradnie przyglądać! Żebym chociaż wiedział, od kogo ona dostaje te wiadomości! Ale do tej pory, aż do dziś, jeszcze nigdy nie płakała! Nie wiem, co robić! Boję się, że jak tam wejdem, to każe mi spadać...

– Ja do niej pójdę, tak będzie lepiej. – Madeleine poklepała go po ramieniu. – A, i tym razem to źle wytypowałeś, to nie facet, tylko jej matka – dodała i nie oglądając się za siebie, poszła do kuchni.

Adrianna rzeczywiście płakała. Ukryła twarz w rękach i bezgłośnie szlochała. Na widok jej drgających ramion i kapiących przez palce łez Madeleine ścisnęło się serce. Cichutko weszła do kuchni i bez słowa ją objęła. Chwilę trwała tak bez ruchu, mocno ją przytulając. Aż w końcu bezgłośnie do tej pory płacz przeszedł w głośny szloch. Adrianna płakała tak jak chyba nigdy dotąd. Wreszcie zabrakło jej i sił, i łez najwyraźniej też, bo już tylko pojedyncze skapywały na blat stołu.

– Wiesz co, to jest chyba ten moment, w którym należy sięgnąć po zestaw kryzysowy – powiedziała łagodnie Madeleine i wyjęła z szafki butelkę wina.  
– Oto i on, zawsze mam w zanadrzu przynajmniej jedną butelkę, czerwone, półsłodkie, pyszne. Zagrzejemy je sobie, ubierzemy się ciepło i pójdziemy na werandę. Za chwilę będzie zachód słońca. To jedna z tych chwil w ciągu dnia, w których z nieba na ziemię spływa magia. Raz zobaczysz, a zapadnie ci w serce i już nigdy tego nie zapomnisz – dodała, wlewając wino do garnuszka.

Po chwili siedziały na werandzie w wiklinowych fotelach, które Magda przyciągnęła z korytarza. Ubrane w grube kurtki, owinięte kocami ledwo mogły się ruszać. W milczeniu popijały gorące wino i patrzyły, jak zimowe blade słońce z wolna znika za górami.

– Nie zapytasz, co się stało? – Pierwsza odezwała się Adrianna.

– Nie. – Madeleine potrząsnęła głową. – Będziesz chciała, to sama mi opowiesz.

– Przecież i tak sporo wiesz. Już ja znam Marlenę, musiała ci co nieco opowiedzieć.

– Tak, wspomniała, że się o ciebie martwi, i poprosiła, żebym miała na

ciebie oko, ale wiesz... w tym dobrym sensie. Żebyś się nie czuła samotna. Kilka słów dołożyła też o tym, że za wszystkim, co przeżywasz, stoi twoja matka. I od razu ci powiem, że ta pani nie wzbudziła mojej sympatii. I to tyle.

– Mylisz się, gdybyż to było tylko tyle, moje życie byłoby rajem... A to nawet nie początek... – rzekła ze smutkiem Adrianna i łyknęła spory haustk wina.

A potem zaczęła mówić. Ku swojemu zdumieniu opowiadała o wszystkim. O szczęśliwym dzieciństwie z tatą, o świętach i choince, którą wspólnie ubierali, o poczuciu osamotnienia, gdy odszedł. O matce, która zostawiała ją samą na całe noce, i o tym, jak była przerażona. O mężczyznach, którzy barwnym korowodem przewijali się przez dom Teresy. I o grudniowym smutku i uciekaniu przed wspomnieniami.

– I widzisz, po tym wszystkim, co przeżyłam, wiedziałam, że nigdy się z nikim nie związę. Boję się, że tego kogoś unieszczęśliwię, że zamienię się we własną matkę. Nie zniosłabym tego. A poza tym trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby o mnie serio myśleć. Bo to jest tak jak w tej piosence: pogoda jest dla bogaczy, dla niebogaczy są prognozy złe. A ja jestem uboga w miłość. I ze mną każdego czeka jeden wielki koniec albo ewentualnie banał... Bo co ja mam takiego nadzwyczajnego do zaoferowania? No co? – Pociągnęła nosem i smętnie zwiesiła głowę.

– Banał, powiadasz... – Madeleine oplotła dłońmi ciepły kubek i spojrzała na nią uważnie. – Opowiem ci coś. Pamiętam z czasów, gdy studiowałyśmy, taką jedną dziewczynę. Niby się niczym od nas nie różniła, niby się tak samo wygłupiała, tak samo kuła do egzaminów albo umawiała z chłopakami, ale to ostatnie z rzadka. Ale to właśnie ona uratowała przed zamarnięciem małe kocięta, które znalazła w kartonie pod blokiem. Wszystkie wtedy deklarowałyśmy pomoc, ale jak co do czego przyszło, to ona jedna znalazła w sobie tyle siły i determinacji, by wstawać do nich

w nocy i karmić je pipetą. Bo to były takie kocie oseski. Albo inna sytuacja. Przestała wychodzić z nami na imprezy. W piątki i soboty gdzieś znikła, alienowała się. My hulaliśmy, piliśmy piwo, popalaliśmy papierosy, a ona... myśleliśmy, że zakuwa. A może w ogóle się nie zastanawialiśmy, co robi, przecież wtedy chcieliśmy się przede wszystkim bawić. Tymczasem wiesz, czym była zajęta? Poczekaj, nie przerywaj! – Zamachała w jej stronę ręką, widząc, że Ada usiłuje wejść jej w słowo. – To moja opowieść. Więc co robiła? Jeździła do szpitala pod Warszawą, żeby przytulać małe dzieci, porzucone tam przez matki, które ich nie chciały. A te maluchy potrzebowały dużo, dużo ciepła i miłości. I ona doskonale je rozumiała. Ta dziewczyna miała na imię Adrianna, pamiętasz ją? I to właśnie ona po latach zupełnie zgłupiała. Wyobraź sobie, że właśnie powiedziała mi, że boi się kochać, bo się obawia, że kogoś unieszczęśliwi. I że tak zupełnie znienacka upodobni się do swojej matki. Dziewczyno, ty nie masz szans na to, żeby być taka jak ona. A wiesz dlaczego? Bo jesteś zwyczajnie dobra. I jeżeli mówiąc banał, masz właśnie to na myśli, to ja z całego serca życzę nam wszystkim takich banalnych ludzi wokół siebie – zakończyła z mocą.

– Ale ja się boję... – wyszeptała Adrianna. – Choć z drugiej strony chciałabym, żyjąc, czuć to swoje życie. To chyba powiedziała Meryl Streep...

– ... mniejsza z tym, kto to powiedział, grunt, że miał rację. Z życia trzeba czerpać pełnymi garściami. I patrzeć w przyszłość, a z przeszłości brać tylko to, co nas wzmacnia. Ja do tego dochodziłam przez długi czas, ale w końcu to do mnie dotarło. Więc nie gadaj bzdur, tylko bierz się w garść i się nie daj. Co takiego napisała ci matka, że aż tak to tobą wstrząsnęło?

– Niby nic wielkiego. Teraz, biorąc to na spokojnie, sama nie wiem, czemu aż tak mnie to zabolowało. Napisała, że pan Kraków, w sensie Karl, cały czas tak chwali swoje dzieci, że aż jej wstyd, że tak niewiele dobrego może

powiedzieć o mnie. Nie ma w tych słowach nic, co mogłoby usprawiedliwiać histerię, w którą wpadłam, ale tych wiadomości było tyle, że może ta jedna przelała czarę.

– Może dobrze się stało, bo przynajmniej się wypłakałaś. I wyrzuciłaś to wszystko z siebie. Gdy nie mówisz o tym, co cię boli, to pielęgnujesz ten żal, pieścisz go i dajesz mu rosnąć. A wracając do twojej matki, wiesz, że to, co ona robi, to jest przemoc? Ona się nad tobą pastwi i znęca. – Madeleine pochyliła się w jej stronę. – Ada, ja nie jestem specjalistką, ale na mój gust z twoją matką nie jest wszystko w porządku. Ktoś taki nie powinien wychowywać dziecka. Ona powinna się leczyć. A ty nie możesz żyć pod jej dyktando. Bo cię zniszczy. Uzależniła cię od siebie. Teraz też jest pewna, że w końcu ulegniesz i zrobisz dokładnie to, czego ona oczekuje. – W głosie Magdy brzmiała powaga.

– Wiem, zaczęło to do mnie docierać już w domu. Dzięki Bogu, że wtedy poszłam do tego parku. – Adrianna uśmiechnęła się na samo wspomnienie i krótko opowiedziała Madeleine o tym, jak to postanowiła zaakcentować dorosłość i niezależność. – I właśnie tam sobie uświadomiłam, że muszę coś w życiu zmienić. Oczywiście musiałam to zrobić w specyficznych warunkach, pod okiem wielkiego śniegowego bałwana. Bo u mnie takie rzeczy nigdy nie przebiegają standardowo. – Roześmiała się. – Swoją drogą to on mi też dał do myślenia. Dotarło do mnie, że w całym swoim życiu nie miałam nikogo, z kim mogłabym zimą wyjść na sanki i ulepić takiego wielkoluda. I potwornie mnie to ruszyło. Dodatkowo na brzuchu miał odcisnięte dwie dłonie, które tak pięknie stykały się palcami. Jedną dużą, pewnie taty, a drugą o wiele mniejszą, dziecięcą. I pomyślałam, że chciałabym mieć kogoś, kto by ze mną takiego bałwana ulepił. – Uśmiechnęła się rozmarzona. – Tam też spotkałam takiego uroczego starszego pana. To on mi podpowiedział, że mogłabym wyjechać i zostawić

za sobą miejsca wywołujące lawinę przykrych wspomnień. Powiedział, że góry o tej porze roku są piękne, i życzył mi wszystkiego najlepszego, również tego, żebym znalazła tego ktosia do wspólnego lepienia... Brzmi to niewiarygodnie infantylnie, co?

– Raczej pięknie i... – Madeleine nie dokończyła, bo w tym samym momencie na werandzie zjawił się jej brat i nie patrząc na nią, podszedł do Adrianny, po czym chwycił ją za rękę i wyciągnął z fotela.

– Tonio, co ty znowu wyprawiasz, do cholery! Nie widzisz, że rozmawiamy? – Madeleine spojrzała na niego z oburzeniem.

– No, właśnie ja w tej sprawie – mruknął i wyjął z rąk Adrianny pusty kubek. – Zabieram cię ze sobą, nie martw się, jest w dobrych rękach! – rzucił w kierunku siostry i po chwili już odjeżdżał z zaśnieżonego podwórka.

– Wariat – mruknęła Magda, wzruszając ramionami.

Ale być może właśnie ktoś taki mógł sprawić, że pragnienie Ady się spełni i że wreszcie żyjąc, w pełni poczuje to swoje życie.



W samochodzie przez jakiś czas panowała cisza. Adrianna raz po raz rzucała ukradkowe spojrzenia na Antoniego, który uparcie nie odrywał wzroku od rozciągającej się przed nimi białej, wijącej się serpentynami drogi.

– Możesz mi powiedzieć, dokąd jedziemy? – zagadnęła wreszcie i chuchnęła na zamarznąłą boczną szybę.

– Zobaczysz, zaraz będziemy na miejscu – mruknął szorstko.

Ada tylko uniosła do góry brwi. W milczeniu minęli oświetlony kolorowymi lampkami rynek i wjechali w jedną z bocznych, stromych uliczek, która doprowadziła ich do małego, oświetlonego żółtawym światłem latarni skwerku. Przy nim właśnie Antek zatrzymał samochód.

– Wsiadamy – zadysponował i wyskoczył z samochodu.

Ada, chciał nie chciał, poszła w jego ślady.

– Wsiadłam, i co teraz? – zapytała, ze zdumieniem patrząc, jak chłopak pochyła się i zaczyna zagarniać leżący przed nim śnieg.

Po chwili zaczął go ugniatać i turlać przed sobą.

– Na co czekasz, księżniczko?! – zawołał. – Z tego, co słyszałem, chciałaś wspólnie lepić tego bałwana...

– Podśluchiwałeś. – Podeszła do niego i wzięła się pod boki.

– Ale tylko i wyłącznie z troski. – Uśmiechnął się i nabrał w ręce śniegu.

– Przyjaciele tak właśnie robią – dodał i rzucił w nią śnieżką.

– Och, ty draniu, już ja ci pokażę, co robią przyjaciele. – Roześmiała się i również zagarnawszy kulę śniegu, rzuciła nią w Antka z impetem.

I wkrótce, piszcząc i śmiejąc się jak dzieci, rozpoczęli regularną śniegową

bitwę. A potem ramię w ramię ulepili ogromnego bałwana.

– Powinien mieć jeszcze oczy i nos... – wysapała rozpromieniona Ada, wkładając na bałwanią głowę swoją czapkę.

– Jeżeli chodzi o nos, to niewiele w tej chwili wymyślę, ale oczy... – Jednym ruchem oberwał od kurtki guziki, po czym wetknął je tam, gdzie jego zdaniem bałwan powinien mieć oczy.

– Oszalałeś? Przecież nie będziesz mógł się zapiąć, ja tylko tak sobie powiedziałam!

– Ale to ważne, żeby mógł zobaczyć, jak ładnie razem wyglądamy – wyszeptał jej do ucha. – W końcu ulepiony wspólnie bałwan do czegoś zobowiązuje – dodał i przytknął swą dłoń do brzucha bałwana. – Ja jestem gotowy, a ty? – Popatrzył jej prosto w oczy.

I Ada poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz szybciej i mocniej. Powoli podeszła i ułożyła swoją dłoń tak, żeby ich palce się zetknęły. Przez moment trwali w kompletnym bezruchu, aż w końcu Antek wziął jej zmarzniętą dłoń w swoje ręce i popatrzył na nią z czułością.

– Muszę ci coś wyznać. – Jego głos brzmiał uroczyście. – Gdy jestem z tobą, dzieje się ze mną coś dziwnego. Nigdy wcześniej niczego takiego nie czułem przy żadnej kobiecie. Chciałbym być z tobą, kiedy zasypiasz i kiedy się budzisz, rozśmieszać cię i patrzeć, jak z twoich oczu znika smutek. I mam ochotę zabić każdego, kto sprawił, że kiedykolwiek ten żal tam zagościł. Najchętniej usunąłbym z twojej drogi każdą przeszkodę. Otoczył cię ramionami i niechętnie wypuszczał. Tęsknię za tobą, jak tylko znikasz mi z oczu. I boję się tego jak diabli. Tej tęsknoty najbardziej. Bo tęsknić to nie móc żyć bez tej jedynej na świecie osoby. A ja nigdy z nikim dotąd nie byłem aż na tak poważnie. Zabawa, krótka namiętność, dobry seks, to owszem, to mnie interesowało.

– Rozumiem. – Pokiwała głową.

– Właśnie nic nie rozumiesz! Tak jak wspomniałem, żadnej dziewczynie nigdy nie powiedziałem tego co tobie teraz. Ale znam się i wiem, że mogę zaproponować ci przyjaźń, bo do niczego innego nie jestem stworzony. – Puścił jej dłoń, wbił ręce w kieszenie i spojrzał jej w oczy.

– No, przecież już mi to mówiłeś, a ja rozumiem – powtórzyła i poczuła, że cała zatapia się w jego pociemniałych od wzruszenia oczach. – Ja siebie też znam i wiem, że mnie się po prostu nie kocha bezwarunkowo. Taka karma.

– To zupełnie nie o to chodzi! Zresztą nieważne – burknął i wbrew sobie zrobił krok w jej kierunku.

I to wystarczyło. Adrianna sama nie wiedziała, jakim cudem znalazła się w jego silnych, ciepłych ramionach. Przygarnął ją do siebie i lekko kołysał, przytulając policzek do jej głowy. A potem nachylił się i odnalazł ustami jej usta. To był czuły, niespieszny pocałunek, po którym wcale a wcale nie zamierzał wypuścić jej z objęć.

– Hmm... i to ma być ta nasza przyjaźń? – wymruczała w końcu, lekko się odsuwając i zaglądając mu w oczy. – Z takim całowaniem? Z tego wynika, że ja się nigdy z nikim nie przyjaźniłam...

– I bardzo dobrze! Unikaj tego typu przyjaźni, ja ci w tym względzie wystarczę! I lepiej nic więcej nie mów. – Zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem.

A potem pomyślał, że Adrianna nie miała ani krzty racji, mówiąc, że nie można jej kochać bezwarunkowo. Przeciwnie – ją można było kochać wyłącznie w ten sposób. Całym sercem i bez żadnego „ale”. A to oznaczało, że przepadł z kretesem.

\* \* \*

Wnuczka Mateusza, Jagna, początkowo miała wrócić do domu dzień przed

Wigilią. Jednak w rezultacie postanowiła przyjechać wcześniej. Uwielbiała te przedświąteczne rytuały, ubieranie z dziadkiem choinki, podglądanie, jak pakuje prezenty, wspólne nocne buszowanie w lodówce i podjadanie tego wszystkiego, czego nie wolno było ruszać aż do świąt.

Może już nie jestem dzieckiem, ale właściwie czemu mam sobie odmawiać tych przyjemności? – myślała, wysiadając z autobusu, zarzucając na ramię ciężki plecak i rażnym krokiem maszerując w stronę domu. Gdy wsuwała do zamka klucz, jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Nie mogła się doczekać miny dziadziusia, gdy się tak niespodziewanie przed nim pojawi. Tęskniła za nim okrutnie.

Bardzo się zdziwiła, gdy weszła do środka i okazało się, że w domu nikogo nie ma. O tej porze dziadek zwykle oglądał swój ulubiony serial. Jagnę ogarnęło rozczarowanie, które płynnie przeszło w niepokój, gdy zajrzała do pokoju Mateusza. Był nienaturalnie pusty. Tak jakby nikt od dłuższego czasu w nim nie mieszkał.

W tym samym momencie usłyszała skrzypnięcie drzwi i z nadzieją wybiegła na korytarz. W przedpokoju stał ojciec.

– O, córcia, przyjechałaś wcześniej. – Niby się ucieszył, uścisnął ją, ale z jego głosu przebijało zdenerwowanie.

– Dzień dobry, tato. Jakoś tak się stęskniłam. A gdzie jest dziadek? – zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi. – Tato? – powtórzyła i zajrzała ojcu w oczy.

I wtedy zobaczyła, że są mokre.

– Tato, co się stało! – Potrząsnęła go za rękę.

– Dałem cią, córciu – odpowiedział w końcu, spuszczać głowę. – Dziadek zniknął, wyjechał, zostawił tylko wiadomość, że już nie będzie nam przeszkadzał.

– Ale jak to? Zniknął, przeszkadzał? – Jagna, idąc za ojcem, potknęła się

o porzucony w przedpokoju plecak. – Co tu się stało i dlaczego ja o niczym nie wiem?

– Mama stwierdziła, że dziadek coraz częściej o wszystkim zapomina, że sobie nie radzimy, i postanowiła, że... że... – Zamilkł, bo to, co próbował powiedzieć własnej córce, nie chciało mu przejść przez gardło. – Że być może najlepiej będzie, jeżeli zamieszka w domu opieki – wyrzucił w końcu z siebie.

– I ty się na to zgodziłeś? Zgodziłeś – pokiwała głową – inaczej dziadek by nie uciekł! Jak w ogóle mogliście! Nie wierzę! Po prostu nie wierzę! I co, zniknął, a wy go nie szukacie? Po prostu przyjęliście, że go nie ma, i już?

– Jak wyjechał, byłem w delegacji, potem wróciłem i usiłowałem go odszukać. Poszedłem do wujka Stefana, bo mi się zdawało, że może tam być, ale nie zastałem go. Była tylko Ewelina, która mi powiedziała, że nic mu nie jest, ale nic więcej nie udało mi się z niej wydobyć. Dzwonię do niego codziennie, ale ma wyłączoną komórkę... Dokąd idziesz?! – zawołał, widząc, że córka wciąga botki. – Jagna, odezwij się do mnie! – poprosił, ale napotkał spojrzenie tak pełne pogardy i żalu, że aż się pod nim skurczył.

Gdy otwierała drzwi, minęła się w progu z matką.

– O, Jaguś, jesteś. – ucieszyła się na jej widok Beata.

Dziewczyna na moment przystanęła i popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Tak jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

– To jakiś ponury żart, alternatywna rzeczywistość – rzekła w końcu, kręcąc głową. – Myśleliście, że wszystko będzie tak jak zawsze? Kim wy jesteście? Wstyd mi za was – rzuciła matce prosto w twarz. – Pomyślałaś o tym, że kiedyś też się zestarzejesz? I co wtedy? Fora ze dwora? Idę się dowiedzieć, gdzie jest dziadek, i nie czekajcie na mnie, będę spała u którejś z koleżanek. – Przepchnęła się obok matki i z głośnym tupotem zbiegła po schodach.

– No, to właśnie zaczynają się te nasze idealne święta – rzucił w kierunku żony Kamil. – I wiesz co, też mi jest wstyd, przede wszystkim za siebie. Ale i jestem cholernie dumny. Z tego, że nasze dziecko jest zupełnie inne niż my – dodał, czując, że ta satysfakcja smakuje niesamowicie gorzko.

A potem pomyślał, że właściwie to nie oni wychowali Jagnę, ale właśnie Mateusz. I poczuł na twarzy dwie mokre strużki spływające w dół. I pocieszył się, że być może i dla niego jest jeszcze nadzieja. Może ktoś, kto żałuje i potrafi płakać, nie jest tak do końca podły i zły.

Leontyna była zdenerwowana do granic możliwości. Stefan i Mateusz przepadli gdzieś rankiem bez wieści i nie dawali znaku życia. Nie było ich na rynku ani koło kamiennej babiny w chuście. Madeleine, która tego dnia cały dzień spędziła w księgarni, również ich nie widziała.

– Oni znów coś zmalują, zobaczysz... – czarno prorokowała Leontyna, przeglądając książkowe nowości.

– Leosiu, spokojnie, znajdą się. Najważniejsze, że przed momentem widziałam Miecia, który przysiągł mi na wszystkie świętości, że ich dziś nie widział.

– Trzeba mu było kazać przysięgać na flaszkę gorzałki, to może wtedy byłoby to wiarygodne – sarknęła starsza pani. – Tak czy siak, dwóch mężczyzn to nie łąpek od szpilki, więc pewnie w końcu się znajdą. Oby tylko nie próbowali folgować swojej ułańskiej fantazji. Sęk w tym, że muszę na nich poczekać, żeby się upewnić, że nic im nie jest, chyba więc nie dam rady przyjść do ciebie na lepienie pierogów.

– Nic nie szkodzi, muszę to i tak przełożyć, bo mam dziś urwanie głowy, a poza tym obiecałam dzieciakom, że porobię z nimi łańcuchy na choinkę i ozdobię resztę pierników. To lepienie pierogów przełożymy na przeddzień Wigilii. Przynajmniej nie trzeba będzie ich mrozić. A w ogóle to w tym roku jakoś to wszystko dziwnie wygląda – dodała, marszcząc brwi.

– To znaczy? – Leontyna położyła przed Magdą dwie wyciągnięte z półki książki. – Wezmę te ze świąteczną fabułą, w zeszłym roku też czytałam jedną tej autorki. – Wskazała na powieść Krystyny Mirek. – Niebywale podniosła mnie na duchu, to może i ta pozwoli mi przetrwać czas oczekiwania na moje zguby. Ale wracając do tematu, o co chodzi z tym dziwnym wyglądem?

– Wszystko jest niepokojąco zapięte na ostatni guzik. Żadnych dramatów, żadnych obsunięć. Wszystko, co należało zrobić wcześniej, zostało zrobione, nawet prezenty mam popakowane i przyszykowane do położenia pod choinkę. A zawsze robiłam to na ostatnią chwilę. A mimo to odnoszę wrażenie, że o czymś nie pamiętam, że coś mi ważnego umyka.

– Bo za dużo o tym myślisz i się denerwujesz, ot, co – skwitowała starsza pani.

– Może i tak – mruknęła Magda, pakując wybrane przez Leontynę powieści do reklamówki.

Jednak słowa starszej pani nie całkiem ją przekonały. Intuicja jej podpowiadała, że coś przeoczyła. I za nic nie wiedziała co.



**S**tefan i Mateusz odezwali się dopiero pod wieczór. I do tego właściwie nawet nie wrócili, tylko Stefan zatelefonował i oznajmił Leontynie, że mają dla niej niespodziankę.

– Jesteśmy koło dworca. A ty?

– A gdzie mam być? Siedzę w domu i czekam na was. – Starsza pani sama nie wiedziała, czy odczuwa większą ulgę, że zguby się znalazły, czy irytację z powodu beztroskiego tonu Stefka.

– A to świetnie – ucieszył się – zejdz na dół, za moment podjedzie po ciebie taksówka. – Zadysponował i nie czekając na jej odpowiedź, rozłączył się.

– Taksówka? – mruknęła Leontyna coraz bardziej zaintrygowana.

Rzeczywiście po chwili pod dom podjechała taryfa. Kierowca na jej widok uśmiechnął się szeroko i za nic nie chciał powiedzieć, gdzie i po co ją wiezie.

– To niespodzianka – powtarzał tylko i zerkał na nią w lusterku. – Ale jedno mogę pani obiecać: dawno już się tak dobrze nie bawiłem, a i chłopaki wyjątkowo niechętnie brali kursy – wyznał tajemniczo, zajeżdżając pod dworzec kolejowy.

Wyskoczył z auta i szarmancko otworzył przed Leontyną drzwi. Wysiadła i znieruchomiała. W pierwszym momencie pomyślała, że ma zwidy, nawet przymknęła oczy, ale gdy je otworzyła, to, co widziała, wcale nie znikło. Na poboczu stała wielka, naturalnych rozmiarów taksówka. Starsza pani poczuła wzbierające pod powiekami łzy. Nagle czas się znów jakby cofnął. Ponownie była małą dziewczynką, mieszkała we Lwowie i z niecierpliwością wypatrywała pierwszego śniegu. Po to, by pobiec ile sił

w nogach na ulicę Głowińskiego, gdzie ośnieżeni, zakutani w kożuchy szoferzy lwowscy bawili się przednio, lepiać wielką śnieżną taksówkę. Dokładnie taką samą, jaką teraz widziała przed sobą. Samochód był tak samo piękny jak tamte. Miał koła, szprychy, reflektory i kierownicę. Nawet drzwi mu celowo brakowało, żeby można było do niego wsiąść. Tak... Wtedy rozpoczęcie zimy bez posiedzenia w śnieżnej taksówce po prostu się nie liczyło.

– No i co powiesz? – usłyszała tuż koło siebie głos Stefana. – Gdy wczoraj pokazywałaś nam swoje stare zdjęcia, tak pięknie opowiadałaś o lwowskiej zimie i o tym lepieniu taksówki. Więc pomyśleliśmy z Mateuszem, że przecież można ci sprawić niespodziankę i tutaj. Wzięliśmy zdjęcie śnieżnej taksówki i przyszliśmy tutaj. Pogadaliśmy z chłopakami i... Co, znowu się wygłupiliśmy? – Zaniepokojony jej milczeniem spuścił głowę.

– Nie, nie wygłupiliście się – przemówiła w końcu Leontyna, z trudem dobywając głos ze ściśniętego gardła. – To niesamowite! Dziękuję – dodała, wpatrując się ze wzruszeniem w swoich przyjaciół, a następnie obejmując wzrokiem zgromadzonych wokół taksówkarzy. – Zrobiliście dla mnie z pozoru rzecz niemożliwą. Sprawiliście, że czas się cofnął.

– Ja też powinienem pani podziękować. – Jeden z taksówkarzy podszedł do niej i uściśnął jej rękę. – Mój dziadek pochodził ze Lwowa. Opowiadał o tej taksówce, ale nigdy jej nie widziałem, u niego nie zachowała się żadna fotografia. I szczerze mówiąc, na śmierć zapomniałem o tej zimowej opowieści dziadka. A teraz nie dość, że mogłem obejrzeć zdjęcie, to jeszcze ta historia na nowo ożyła. Będę mógł opowiedzieć ją wnukom. A teraz zapraszamy. Czekamy, aż pani wsiądzie. – Poprowadził ją do śniegowego auta.

Siedząc w nim wzruszona i rozczulona, Leontyna nie przeczuwała nawet, że oto jest świadkiem narodzin nowego malowniczego zwyczaju. Bo od tej

pory każdej zimy taksówkarze spod dworca lepili wielką śniegową taksówkę i opowiadali sobie o lwowskich przedwojennych szoferach, o dwóch starszych panach, którzy ich odwiedzili, i o Leontynie, tej, która zawsze powinna do śniegowego auta wsiadać pierwsza.

Gdy wrócili do domu, okazało się, że Mateusz niedomaga. Dostał dreszczy, z nosa zaczęło mu ciec.

– Przeziębilesz się na tym zimnie – westchnęła Leontyna, parząc mu herbatę z lipy i zaprawiając ją solidną porcją soku malinowego. – Wypij to i wskakuj pod kołdrę. Może jak się wypocisz i wygrzejesz, to obędzie się bez większych komplikacji – dodała i profilaktycznie zaparzyła lipę z malinami również dla siebie i Stefana.

Gdy Mateusz usnął, starsza pani usiadła w kuchni przy stole z mocnym postanowieniem, że musi szczerze i poważnie porozmawiać ze Stefanem. Nadeszła na to najwyższa pora.

– Słuchaj, Stefciu, sprawiliście mi dzisiaj ogromną niespodziankę. – Jej twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. – To było coś niesamowitego. I nie myśl, że tego nie doceniam...

– Ale – wszedł jej w słowo – gdy ktoś tak mówi, zawsze jest jakieś „ale”.

– No tak, rozgryzłeś mnie. Zastanawiam się, co cię napadło. Przecież ty nawet minuty nie usiedzisz spokojnie. Stale gnasz z miejsca na miejsce, wymyślasz co rusz jakieś dziwne rzeczy, wszędzie już chyba w Malowniczem byliście, bo Mateusz jak cień podąża za tobą, choć wydaje mi się, że nie wytrzyma twojego tempa...

– To ja ci teraz powiem coś, co cię pewnie nieźle zaskoczy. Jestem tym wszystkim potwornie wykończony i naprawdę się cieszę, że to już niedługo się skończy, że Wigilia za pasem. Będę mógł trochę odetchnąć. Jednak nie jestem już młodzieniaszkiem.

– Rzeczywiście, miałeś rację, czuję się zaskoczona. – Leontyna oparła się łokciami o stół i pochyliła w jego stronę. – Wyjaśnisz mi w takim razie, o co

w tym wszystkim chodzi?

– Wszystko to robię tylko dlatego, żeby Mateusz nie miał czasu na rozmyślanie o tym, co go spotkało. Po tym jak go przeciągnę po śniegu i mrozie, jak wymyślę mu różne rozrywki, w których, chciał nie chciał, uczestniczy, to później kompletnie nie ma siły, żeby się nad czymkolwiek zastanawiać. A jak się nie martwi, to mu apetyt dopisuje. Widziałaś, jak ładnie przez te ostatnie dni przybrał na wadze? A był już naprawdę niepokojąco wychudzony.

– A więc to wszystko po to, żeby odwrócić jego uwagę?

– Dokładnie. Zresztą nie ja na to wpadłem – wyznał lekko zmieszany.

– Nie? A kto?

– Powiem ci, ale zapewne pomyślisz, że oszalałem. To Hela.

– Helenka?

– Przyśniła mi się w pociągu, wtedy gdy jechaliśmy do ciebie. Była taka pogodna, uśmiechnięta i jak to ona nieco zadziorna. Pochyliła się nade mną, nawet miałem wrażenie, że jej warkocz łaskocze mnie w policzek, i wyszeptała prosto do ucha: „Nie pozwól mu się nudzić”. A potem się obudziłem i zobaczyłem, że to nie Heliny warkocz mnie łaskotał, tylko broda konduktora, który przyszedł sprawdzić bilety. Ale to jej słowa dźwięczały mi w uszach tak, jakbym je właśnie usłyszał. No to teraz możesz mnie już zacząć przekonywać, że mam nie po kolei w głowie.

– Nie mam najmniejszego zamiaru. – Leontyna oparła podbródek na złączonych dłoniach. – Stefan, masz przed sobą kobietę, która prowadzi dysputy ze starymi rzeczami, zna bolączki poobtłukiwanych filiżanek, pociesza porzucone stoły i otula kapami powycierane, jęczące fotele. Jakby tego było mało, mam zwyczaj chodzić na cmentarz z filiżankami i termosem i urządzać tam rodzinne popołudniowe herbatki. Czasem, przy wyjątkowych okazjach, zanoszę ojcu odrobinę koniaku. Nie wiem, co jest po drugiej

stronie, ale obawiam się, że ulubionego trunku taty może nie być. Jestem ostatnią osobą, która może innym wytykać, że mają nie po kolei w głowie. A jeżeli Hela ci to powiedziała, to dobrze, że jej posłuchałeś. Ona nigdy nie plotła trzy po trzy. Cieszę się, że mi o tym opowiedziałeś, bo naprawdę się zastanawiałam, czy przypadkiem nie dopadło cię jakieś starcze ADHD.

– Uwierz, że jak się to wszystko skończy, z przyjemnością spędzę dzień na graniu w karty i drzemaniu w fotelu. A skończy się niebawem, bo dziś wreszcie wpadłem na to, jak rozwiązać sprawę tego chorego pomysłu z domem opieki. Mateusz po prostu zamieszka ze mną. Metraż mam duży, będziemy mieli osobne sypialnie i wspólny salon. Myślę, że tak naprawdę obu nam to dobrze zrobi. Dopiero tutaj u ciebie zdałem sobie sprawę, jaki przez ten rok byłem samotny. Tęsknię za Helenką, ale nie mogę do cna zdziczeć. A najbardziej w tym wszystkim przeraziło mnie to, że byłem tak skupiony na sobie i swoim żalu, że nie wiadomo kiedy i jak stałem się egoistą. Nie interesowały mnie kłopoty innych, zostawiłem ich samych sobie. Dzieci, Mateusza... Pora wziąć się w garść i przeżyć to życie tak, by potem móc godnie przejść na drugą stronę.

– A Mateusz jeszcze nic nie wie o twoim planie?

– Nic, ale dorobiłem mu już klucze. Wręczone mu je jako prezent gwiazdkowy. – Stefan uśmiechnął się i rozdzierająco ziewnął. – Leosiu, skoro już nie muszę udawać przed tobą dziarskiego i pełnego werwy, to...

– Jasne, idź się położyć. – Uśmiechnęła się do niego. – A, i jeszcze jedno. Dziękuję – dokończyła miękko i wskazała dłonią na leżące na stole zdjęcie.

– Nie ma sprawy – mruknął i podniósł się od stołu, po czym zniknął w swoim pokoju, skąd po chwili zaczęło dobiegać miarowe pochrapywanie.

Na ustach Leontyny błąkał się pełen zrozumienia uśmiech.

– Bycie bohaterem to naprawdę nielekki kawałek chleba – powiedziała i cichutko zamknęła drzwi do sąsiedniego pokoju.

W wigilię Wigilii wszyscy wstali nadzwyczaj wcześnie. Według rozpiski przygotowanej przez Madeleine trzeba było upiec makowce, ulepić pierogi, zaprawić zasmażką kapustę i zrobić jeszcze milion innych drobnych rzeczy. A poza tym trzeba było pojechać i odebrać zamówioną już jakiś czas temu choinkę. Tego dnia czas wyjątkowo przyspieszył. Adrianna, zatrudniona najpierw do zmieniania pościeli w pokojach, w których miała nocować rodzina Magdy i Antka, a potem do kręcenia maku, ani się obejrzała, gdy minęło popołudnie.

– Trzeba będzie zaraz jechać po choinkę – powiedziała Magda. – Antek z Michałem się tym zajmą, bo ja muszę tu jeszcze się uporać z mnóstwem spraw. Ale wniesiemy ją do domu dopiero wieczorem. Ubierzemy jutro rano. Matko, ale ten czas zasuwa! – westchnęła, wsuwając do piekarnika blachę z trzema makowcami. – Chcesz jechać z chłopakami? – zwróciła się do Adrianny.

– Nie, niech sami jadą. Nie będę im się kręcić pod nogami – wymigała się.

Szczerze powiedziawszy, radziła sobie ze świętami tak dobrze jak nigdy dotąd. Ale momentu pojawienia się w domu choinki bała się jak diabli. Nie wiedziała, co ma wtedy ze sobą zrobić, jak uciszyć małą Adę, która na pewno pojawi się w domu razem ze świątecznym drzewkiem.

– Ada, nie wiesz, czy została jeszcze gaza? Muszę odcisnąć mak do klusek – wdarł się w jej rozmyślania głos Magdy.

– Chyba widziałam jakąś w szafce, w łazience! – odskrzyknęła i pomyślała, że choinką będzie się martwić później.

Chwilowo musiała się skupić na siekaniu cebuli, pilnowaniu piekących

się makowców i wyjęciu z pralki białych obrusów. Huk roboty! I dobrze, przynajmniej miała czym zająć i ręce, i głowę.



**M**adeleine stała przed otwartą szafką łazienkową i z prawdziwą zgrozą przyglądała się jednej z półek. Właśnie teraz, w tej chwili, uzmysłowiła sobie, dlaczego dręczyło ją poczucie, że o czymś ważnym zapomniała.

– No to teraz właśnie sobie przypomniałam – mruknęła do siebie, z impetem zatrzasknęła szafkę i pomyślała, że jednak pojedzie z chłopakami po choinkę.

Musiała koniecznie jeszcze dziś załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę.

Późnym wieczorem wniesiono do domu choinkę. Była ogromna, kudłata i rozwichrzona. Michał z Antkiem z niemałym trudem zainstalowali ją w misternie rzeźbionym żeliwnym stojaku, który kilka dni temu przyniosła od siebie Leontyna. Drzewko z miejsca zgromadziło wokół siebie wszystkich, którzy akurat byli w domu. Jakby gdzieś tam wśród kłującej, rozłożystej zieleni miało ukryty magnes. Leontyna, Stefan, Mateusz, Antoni, Michał, Magda i dzieciaki z zachwytem patrzyli na zimowego gościa, który sprawił, że nagle to, o czym od kilkunastu dni wszyscy mówili, stało się bardziej uchwytne i realne.

Tylko Adrianna trzymała się od nich z daleka. Serce jej się do nich rwało, a zarazem nie mogła się zdobyć, by stanąć we wspólnym kręgu. Spodziewała się tego. W końcu ostatni raz taką choinkę widziała, gdy tata żył. A zresztą może wcale nie była tak przepyszna i ogromna, tylko na niej, małej i kruchej, wywarła takie wrażenie? Potrząsnęła głową, by się pozbyć wirujących przed oczami natrętnych obrazów. Nie chciała myśleć o tym, co było, nie chciała wspominać, a już na pewno nie chciała płakać. A mimo to podstępne, zdradliwe łzy podchodziły jej nieustępliwie do oczu. Zamrugła gęsto, ukradkiem wytarła dwie mokre strużki wierzchem dłoni i cichutko, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, przekradła się w stronę schodów i z ulgą wpadła do swojego pokoju.

Zamknęła się na klucz i zwinęła w kłębek na łóżku, po czym rozpaczliwie rozplakała. Z tęsknoty i ze strachu. Z tęsknoty za tym, co bezpowrotnie minęło, i z lęku, bo nagle poczuła, że ta mała dziewczynka, którą przez wszystkie te lata starała się zepchnąć w najczarniejsze, najodleglejsze zakamarki swojego serca, właśnie wraca. Z nieustępliwością

i bezkompromisowością właściwą małym dzieciom. Czegoś od niej chciała i na coś czekała.

– Czemu, do diabła, nie możesz dać mi świętego spokoju? – zaszepiała i sięgnęła po paczkę chusteczek leżących na szafce, ale zrobiła to tak nieuważnie, że trąciła drewniane pudełko, które dostała od Leontyny i o którym zupełnie zapomniała.

Złapała je dosłownie w ostatniej chwili, gdy ześlizgiwało się z blatu. Przypomniała sobie, że starsza pani prosiła, żeby otworzyła je na dzień przed Wigilią. Przez moment obracała je w dłoniach, aż w końcu położyła przed sobą na puchatym kremowym kocu i niepewnie wyciągnąwszy rękę, uchyliła wieczko. A pod nim, otulone anielskim włosem, leżały bombki, bardzo stare, filigranowe, wykonane z niezwykłym pietyzmem cacuszka. Aniołek, który w wyciągniętych rękach trzymał miniaturowy obrazek, oprawiony w ramki. Na obrazku namalowana była choinka, pod którą stała maleńka dziewczynka wpatrzona w widoczne za drzewkiem ciemne okno, druga bombeczka w kształcie serca z piernika cała lśniła i migotała, trzecia – mały Święty Mikołajek, z rumieńcem na twarzy – aż zachęcała do tego, żeby zajrzeć do jego lekko uchylonego worka. Ostatnia zaś przedstawiała żłóbek i leżącego w nim roześmianego Jezuska. Bombkowy malec wesoło fikał nóżkami i wyciągał maleńkie rączki, jakby czekając na to, aż ktoś, kto się nad nim pochyli, chwyci go w ciepłe, opiekuńcze ramiona.

No, to tym razem starsza pani trafiła jak kulą w płot, westchnęła Ada. Ten prezent z całą pewnością powinien trafić do kogoś zupełnie innego. Przecież ona nie przystraja drzewka, bo jej święta nigdy tak naprawdę nie są jej. Czyjeś choinki, czyjeś talerze, czyjeś potrawy, czyjeś puste krzesła. Szkoda tych cacek, będą się u niej marnować, a przecież mogłyby komuś sprawić wielką radość. Już miała zamknąć pudełko, gdy nagle poczuła nieodpartą chęć, żeby ich dotknąć. Pociągnąwszy nosem, jeszcze raz spojrzała na

choinkowe ozdoby i nagle poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Powietrze wokół niej raptem jakby zgęstniało, wypełniając się nieokreśloną magią, w palcach poczuła osobliwe mrowienie. Ręka bez udziału jej woli wyciągnęła się w kierunku pudełka. Wtem coś – bardzo subtelnego, prawie niewyczuwalnego – drgnęło w jej sercu. Delikatnie pogładziła bombki i zobaczyła, że pod nimi leży kartka. Wyjęła ozdoby i sięgnęła po zapełnioną dekoracyjnymi literami stronę.

### *Choinka*

*Przyszłam, przyszłam zielona, pachnąca,  
Z suchym chrzęstem, drewnianym tupotem,  
Rosochata, kudłata, kłująca,  
Z cienką korą i żywicznym złotem.*

*Z wiatrem, chłodem i leśnym zapachem,  
Z rosą śniegu kapiącą na ciepłe...  
Już, już stoję wśród ścian białych, pod dachem  
I wyciągam ramiona okrzepłe.*

*Mączę spokój, meble w kąty rozpraszam,  
Krzyczę głośno o święcie! O święcie!  
Cały pokój, cały dom wasz zapraszam  
W swoje mocne, serdeczne objęcie.*

*Stroszę igły i wysuwam gałązki  
Dygocząca i szumiąca z uciechy  
Po łańcuchy, złote gwiazdy i wstążki,  
Po jabłuszka i srebrzone orzechy.*

*Mikołajka i Jezuska – chłopczyka,  
Po ogieńków kolorowych armie,  
Po anioła i po serce z piernika,  
Którem wszystkich, jak radością, nakarmię.\**

*Kochana Ado – Adrianno,  
Twoje drzewko powinno właśnie tak wyglądać. Myślę, że jesteś na  
tyle silna, żeby posadzić małą dziewczynkę i pozwolić jej zawiesić  
zabawki na najwyższych gałązkach. A potem, potem wystarczy, że  
wyciągniesz ramiona...*

Przeczytała, raz jeszcze spojrzała na leżące przed nią bombki i nagle wszystko zrozumiała.

– Skąd ona wiedziała...? – wyszeptała Adrianna i z niedowierzaniem pokręciła głową.

A potem spojrzała na zegarek i po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuła podekscytowanie. Leontyna, wręczając jej pudełko, miała rację. Nadszedł właściwy czas i Adrianna wiedziała już, co ma zrobić i czego chce od niej mała Ada.

---

\* *Choinka*, wiersz autorstwa Felicji Kruszewskiej.

Poczekala, az wybije pólnoc, i sciskajac pudełko z ozdobami od Leontyny, zesła do salonu. Zapaliła dużą stojącą pod oknem lampę i przez moment trwała w bezruchu, patrząc na drzewko. I doskonale wiedziała, że mimo iż nikogo nie widać, nie jest w pokoju sama. Tuż obok niej stała dziewczynka, która aż przytupywała ze zniecierpliwienia. Adrianna przymknęła oczy i zobaczyła malutkie ręce wyciągające się w stronę mocnych, silnych ramion, które miały ją unieść wysoko, wysoko do góry, tam gdzie świąteczne drzewko zahaczało czubkiem o sufit.

A potem kolejny obraz wyświetlił się niczym fragment starego, pełnego czaru i miłości filmu. Okno, nos przyklepiony do lodowatej szyby i zniecierpliwienie brakiem lśnienia pierwszej gwiazdki na czarnym niebie.

Spokojnie, zdążymy. – Nieomalże usłyszała w głowie ciepły głos. – Przyjdą na pewno, tylko nie można ich poganiać. To święta, a święta najlepiej wiedzą, kiedy nadejść.

Otworzyła oczy i lekko uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Bombki z pudełka ostrożnie przełożyła do obszernych kieszeni luźnego swetra, a potem zdecydowanie podeszła do kąta salonu i przytargała stamtąd taboret, który ustawiła tuż koło choinki. Wspięła się na niego i sięgnęła do kieszeni. Wieszala zabawki najwyżej, jak tylko mogła. Kłujące gałazki łaskotały ją po twarzy, miała wrażenie, że leśny, świąteczny zapach muska jej włosy, wplata się w niteczki swetra i przenika o wiele, wiele głębiej, wprost do serca. Gdy powiesiła ostatnią bombkę, piernikowe serduszko, przez głowę przemknęła jej końcówka wiersza:

*Po anioła i po serce z piernika,*

*Którem wszystkich, jak radością, nakarmię.*

I po raz pierwszy od wielu, wielu lat pozwoliła małej Adzie tak po prostu się ucieszyć. Z tego, że jeszcze pamięta to, co było najpiękniejsze, z tego, że kiedyś ktoś ją kochał najmocniej na świecie, i z tego niewiadomego, co dopiero miało nadejść.

– Obiecuję, mała, że od tej chwili zadbam o to, żebyś miała dobre, pełne miłości życie – wyszeptła i poczuła, że oczy się jej szklą.

Mała dziewczynka stojąca razem z nią na taborecie uśmiechnęła się radośnie i Adrianna poczuła, jak zalewają ją wszystkie, przechowywane głęboko na dnie duszy, dobre wspomnienia, zasypują pełne miłości ojcowskie pocałunki. Szczęśliwe, dawne chwile obstały ją niczym dobre wróżki, dając obietnicę pomyślności. I w tym momencie Adrianna poczuła ogromną wdzięczność wobec tej nieustępliwej małej, która przez te wszystkie lata nie chciała odejść. I uparcie czekała, aż duża ją pokocha. I będzie gotowa na przyjęcie z jej małych rąk wielkiego daru: pogodzenia i wiary w pełną nadziei przyszłość.

Adrianna jeszcze raz wspięła się na palce i przewiesiła małego aniołka tak, żeby obrazek, który trzymał w dłoniach, był odwrócony w stronę pokoju. Stała jeszcze chwilę, a potem powoli się odwróciła i zobaczyła, że nie jest sama.

W drzwiach salonu, opierając się o framugę, stał Antoni i nie spuszczał z niej ciepłych, pełnych uroczystej powagi oczu.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. A potem on wolno, jakby bojąc się spłoszyć to coś nieuchwytnego, podniosłego, co wypełniało cały salon, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

*A potem, potem wystarczy, że wyciągniesz ramiona...*

Przemknęło jej przez głowę ostatnie zdanie z listu od Leontyny.

I niewiele myśląc, zrobiła to, co radziła jej starsza pani. I nagle, zupełnie tak jak kiedyś, została uniesiona w powietrze, taboret lekko się zachwiał, ale zaraz wrócił do utraconej równowagi. Po chwili Antoni delikatnie postawił ją na podłodze i przytulił do siebie.

Zapachniało szczęśliwym dzieciństwem, błogością, zielonym lasem, Bożym Narodzeniem. Cichutko, niepostrzeżenie weszły święta.



Wigilijny poranek wstał jasny i słoneczny. Kryształki zmrożonego śniegu lśniły w jasnych promieniach niczym miniaturowe diamenciki. Z chłodnego błękitu nieba powolutku, po cichutku spływała na ziemię świąteczność. Jeszcze się nie spieszyła, do wieczora miała mnóstwo czasu.

A wieczór wigilijny jak co roku miał sprawić, że niemożliwe stanie się osiągalne, miał w niejednym ludzkim sercu rozniecić iskrę, rozpalić wiarę w drugiego człowieka i sprawić, by wiara, nadzieja i miłość zamieszkały w każdym domu.

Tego wieczoru, gdy wśród ludzi przemykały anioły, gdy puste krzesła zapełniały się dobrymi myślami tych, którzy odeszli, mogło zdarzyć się wszystko. Trzeba było tylko umieć patrzeć i w odpowiednim momencie ufnie wyciągnąć rękę.

**T**egoroczna Wigilia nie zapowiadała się najlepiej. Jeszcze nigdy w całym swoim życiu Kamil nie czuł się tak opuszczony. Ojciec przepadł bez wieści i zwyczajnie nie chciał się dać odnaleźć. Jagna, ukochana córka, nie chciała mieć z nim ani z Beatą nic wspólnego. Wprawdzie odbierała telefony, ale na pytania odpowiadała monosylabami i nadal spała u znajomych. A do Beaty z kolei on miał żal. Podszyty ogromną pretensją do samego siebie.

Jak w ogóle mogłem pozwolić na to, żeby doszło do czegoś takiego? – to pytanie zadawał sam sobie chyba ze sto razy.

Ale nie umiał znaleźć na nie satysfakcjonującej odpowiedzi. Bo im głębiej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej widział, że był po prostu tchórzem. Godził się na wszystko, co wymyślała Beata, bo to mu dawało święty spokój. Wydawało mu się, że skoro to nie on podejmuje decyzje, to automatycznie nie ponosi za nie odpowiedzialności. Życie jednak pokazało, jak bardzo się mylił. Umywanie rąk okazało się tak samo złe jak czynne działanie. Zrozumiał to, ale obawiał się, że to zrozumienie przyszło za późno. Odwróciły się od niego dwie najukochańsze osoby, plus żona, ale jeśli chodziło o nią, to Kamil jakby mniej się przejmował jej dąsami. Przez tyle wspólnych lat zdążył przywyknąć do jej wiecznego niezadowolenia.

O tym wszystkim myślał, stojąc przy oknie i wbijając posępny wzrok w brudne hałdy śniegu leżące na skrajach chodnika. I nagle jego uwagę przyciągnęła znajoma niebieska kurtka. Wyteńczył wzrok i już wiedział, że się nie omylił. To była Jagna i wyraźnie zmierzała w stronę domu. Bez zastanowienia pognał do przedpokoju. Po chwili w zamku zazgrzytał klucz.

– Córeczko, jak dobrze, że jesteś! Bałem się, że nie wrócisz, a przecież

Wigilia...

– Tato, ja wpadłam tylko po to, żeby przepakować swoje rzeczy – przerwała mu sucho.

– Ale przecież dzisiaj Wigilia, święta. Nie możesz nas z mamą zostawić samych!

– Ojciec ma rację, przecież to bez sensu, żebyś błąkała się po obcych domach. – Z kuchni wyszła matka.

– Nie zamierzam się nigdzie błąkać. – Jagna popatrzyła na nich poważnym, zmęczonym wzrokiem. – Jadę do dziadka. Dowiedziałam się, gdzie jest. Ciocia Ewelina mi powiedziała. Długo musiałam ją przekonywać, ale w końcu się udało – dodała, wrzucając do plecaka sweter i dzinsy. – Pociąg mam za czterdzieści minut.

– Córeczko, ale jak to tak? Zostawisz nas? – Kamil poczuł, jak w gardle rośnie mu wielka gębia. – Wiem, że zrobiliśmy źle, i postaramy się to naprawić, obiecuję. Ale nie możesz nas tu tak porzucić!

– A wy dziadka mogliście, co? – wyrzuciła z siebie nielitościwie i zarzuciła plecak na ramię.

Kamil zrozumiał, że przegrał. Opuścił głowę i zamknąwszy oczy, czekał na dźwięk zatraskiwanych drzwi. Ale Jagna ich nie zamknęła. Przystanęła w progu i wyraźnie się zawahała.

– Cóż... Podobno to jest dzień, w którym nie powinno się zamykać przed nikim drzwi – odezwała się po dłuższej chwili milczenia. – Myślę, że to działa też w drugą stronę i że nie powinno się tych drzwi za sobą zatraskiwać. Zwłaszcza gdy zostają za nimi najdrożsi ci ludzie. A ja zamierzam spędzić święta z tymi, których kocham, a przede wszystkim z tym, którego wypędzono. Z tym, który się czuje opuszczony i samotny. Jeżeli chcecie, możecie się ubrać i po prostu ze mną do niego pojechać. Teraz, już – dodała i oparła się o framugę.

Widać było, że to, co powiedziała, sporo ją kosztowało.

– Ale jak to, teraz, już? – Beata popatrzyła na nią okrągłymi ze zdumienia oczami. – Przecież zaraz trzeba będzie siadać do wigilijnego stołu... – przerwała, widząc, że Kamil bez słowa sięga po wiszącą na wieszaku kurtkę.

– Pojedziemy samochodem – powiedział, nie patrząc na żonę.

– Ale jak to pojedziemy? Przecież nawet nie wiesz dokąd!

– Tam, gdzie czeka na nas ojciec. Jagna nam powie. Sama mówiłaś, że chcesz mieć święta inne niż zwykle. To będziesz miała – dodał i rzucił żonie płaszcz.

– Poczekajcie, to szaleństwo. – Beata rozejrzała się wokół nerwowo. Ale już po chwili zrozumiała, że tym razem ani mąż, ani córka jej nie ustąpią. – Dobrze, weźmy przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy i pomóżcie mi spakować jedzenie. Szkoda, żeby się zmarnowało – westchnęła.

I nagle wszystko jakby nabrało rumieńców. Kamil w pośpiechu wyciągnął walizkę, a Jagna popakowała do plastikowych pojemników jedzenie z lodówki. Beata wyciągała z szafy ciepłe ubrania.

I po chwili cała trójka wsiadała do samochodu. Widziała ich sąsiadka z parteru i pan, który sprzedawał w kiosku, i fryzjerka, która wyszła przed zakład, żeby wypalić papierosa. I żadnemu z tych ludzi nie przyszło do głowy, że oto są świadkami czegoś wyjątkowego. Cud bycia razem właśnie zaczynał się ziszczać.

Adrianna obudziła się z przeświadczeniem, że spotkało ją coś pięknego. A potem przed oczami przesunęły jej się sceny z ubiegłej nocy. Choinka, ramiona Antka, spokój i... szczęście. Tak, to właśnie było odpowiednie słowo – uczucie, które sprawiało, że chciało jej się tańczyć i śpiewać.

Gdy wyszła z pokoju, wpadła w sam środek toczącego się pełną parą życia rodzinnego. Okazało się, że wszyscy od dawna są już na nogach. Nad ranem przyjechali rodzice Magdy i Antoniego i siostra Kaśka. W międzyczasie Michał przywiózł Leontynę i starszych panów, którzy dostali zadanie ubrania z dziećmi choinki. Adrianna w pierwszej chwili, widząc taki tłum, zamierzała się dyskretnie wycofać do pokoju, ale zanim to zrobiła, nie wiedzieć kiedy ani jak znalazła się w ramionach Antka, który objął ją i przytulił.

– Nie uciekaj, nie ma sensu, i tak cię wszędzie znajdę – wyszeptał jej do ucha.

– Nie wierz mu w nic, co ci tam opowiada, on po prostu szuka naiwniaka, który za niego posieka orzechy – roześmiała się Magda. – Musimy się z większością rzeczy obrobić do trzynastej, bo potem idziemy do kościoła wysłuchać opowieści księdza i obejrzeć szopkę. A jak wrócimy, to już będziemy powoli siadać do stołu.

I Ada nawet się nie zorientowała, kiedy razem ze wszystkimi siekała, mieszała, próbowała i śmiała się z dowcipów ojca Madeleine. Nikt nie sprawiał wrażenia zdziwionego jej obecnością, nikt nie dociekał, kim ona jest. Wprost przeciwnie, wszyscy traktowali ją tak, jakby znali się od wieków. Nawet mama Madeleine i Antka, przechodząc, pogładziła ją

mimochoodem po głowie. Zupełnie jakby była jej córką.

I tak niepostrzeżenie minęło południe.

– Ubieraj się, Ada, jedziesz z nami oglądać szopkę – zarządziła Madeleine.

– Ale ja może jednak zostanę, w końcu trzeba jeszcze kilku spraw dopilnować...

– A nie, nie, nie. Jeżeli chodzi o to, to ja zostaję na posterunku – przerwała jej mama Antoniego. – I tak mam wyrzuty sumienia, że w tym roku przyjechałam na gotowe. Przynajmniej teraz się trochę zrehabituję. A poza tym spójrz na mojego syna – szepnęła konspiracyjnie. – Toż on nie może się doczekać, żebyście choć na moment zostali sami, nigdy w życiu by mi nie wybaczył, gdybym mu to uniemożliwiła. – Spojrzała na nią figlarnie. – Nie patrz na mnie z takim zdumieniem, jeżeli chodzi o sympatie moich dzieci, mam wbudowany niezawodny radar. Nic się przede mną nie ukryje. A teraz leć, kochana, bo to prawdopodobnie ostatni moment tego dnia, gdy będziecie mogli pobyć sam na sam. Wykorzystaj to dobrze – dodała, puszczając do niej oko i odwracając się, by pomóc Franiowi zawiązać buty.

Przy takim postawieniu sprawy nie pozostało jej nic innego, jak tylko posłuchać. Już była na werandzie, gdy w kieszeni płaszcza rozdzwoniła się jej komórka. Sięgnęła po nią, spojrzała na wyświetlacz i znieruchomiała. Antek, który czekał na nią na schodkach, z miejsca się przy niej znalazł. Wystarczyło, że zobaczył jej minę, i wiedział już, kto dzwoni.

Adrianna głośno przełknęła ślinę i odebrała.

– Słucham – z trudem wydobyła głos z zaciśniętego gardła.

– No, ja mam nadzieję, że słuchasz. – Głos Teresy był wyraźnie podirytowany. – Gdzie ty się w ogóle podziewasz? Byłam u ciebie, ale jakoś w tym roku wyjątkowo się nie mazgaisz na kanapie. A swoją drogą, to jednak powinnaś. W końcu wróciłam.

– Wróciłaś – powtórzyła Ada, bezwiednie zaciskając dłoń na poręczy werandy. – A co z cudownym Karlem, strojem śnieżynki, świętami wśród palm?

– A daj spokój! W ogóle to nie żaden Karl, tylko zwykły Karol! Wyobraź sobie, że powiedział mi wczoraj, że chyba oszalałam, jeżeli wydawało mi się, że nie wróci do domu, do dzieci na święta. Dupek jeden! Ale dobrze się stało, bo co to za facet, który nie umie wybrać tego, co jest naprawdę ważne! Mniejsza o niego, mała strata, krótki żal. A ty wracaj, ostatecznie nie jest to moja wymarzona opcja, ale posiedzę z tobą dziś wieczorem. Tylko się pospiesz! – dodała rozkazująco rozkapryszonym tonem.

Adrianna na moment odsunęła od ucha telefon i rozejrzała się wokół siebie. Spojrzała na uchylone drzwi od werandy i wielki rodzinny stół, przy którym każdy miał swoje miejsce. Za moment wszyscy ci dobrzy, mili, ciepłi ludzie tu wrócą i otoczą się wzajemnie troską i miłością. I przypomniała sobie słowa Madeleine o tym, że matka ją od siebie uzależniła. A potem przypłynęło wspomnienie ukochanej pani Dusi i tego, jak ją przekonywała, że w końcu musi powiedzieć „nie”. Spojrzała na stojącego przed nią Antka, na jego dobre, czułe oczy, w których teraz płonął gniew. Głośność w telefonie była tak ustawiona, że z pewnością słyszał każde słowo Teresy. Widziała po jego minie, że ma ochotę wyrwać jej aparat i załatwić sprawę z matką po swojemu. I bez wątpienia byłoby to najprostsze rozwiązanie. Tu jednak nie o ułatwienia chodziło, sama musiała się z tym uporać. Poczwała rękę Antka na swojej zaciśniętej na poręczy dłoni, poczwała płynącą z niej siłę i ciepło i już wiedziała, co powinna zrobić.

– Nie – odrzekła głośno i wyraźnie i na powrót przytknęła telefon do ucha.

– Ale co nie? – W głosie matki usłyszała niedowierzenie.

– Nie. Nie przyjadę. Nic z tego. Ale nie chcę też być taka jak ty. Dlatego

jeżeli chcesz, to ty przyjedź do mnie. Jeżeli się zdecydujesz, daj mi znać, poszukam ci jakiegoś pokoju do wynajęcia i wyślę adres esemesem. A jeżeli nie... To wiesz, gdzie zostawiam zapasowe klucze. Śledzie masz w lodówce, a prezenty w szafie – dodała i nie czekając na odpowiedź matki, zakończyła rozmowę. Po czym bez zastanowienia przytuliła się do Antoniego.

Nieoczekiwanie ogarnął ją smutek, ale ku jej zdumieniu również uczucie ulgi. Nie zatrzasnęła przed matką drzwi, zostawiła jej wybór. I to było wszystko, co mogła dla niej uczynić, jednocześnie nie pozwalając ranić samej siebie.



**P**odczas drogi do kościoła umówili się, że dziś już nie będą rozmawiać o tym, co się właśnie wydarzyło. Dotrzymanie obietnicy nie nastęrczało trudności, bo droga do kościoła była krótka, a spotkanie przedwigilijne już trwało.

– To jest taka dziwna, coroczna Malownicza tradycja – powiedział Antek, wysiadając z samochodu. – Mieszkańcy przychodzą do kościoła jeszcze przed kolacją wigilijną, ale nie na mszę, tylko na wysłuchanie świątecznej opowieści. Każdego roku proboszcz opowiada o czymś innym i wiesz co? Jest niesamowity, bo potrafi ściągnąć do kościoła nie tylko wierzących, ale i sceptyków, takich jak ja i moja siostra.

– A mnie się wydawało, że Madeleine czynnie uczestniczy w życiu parafii. Te pierniki, lekcje francuskiego, pogaduszki z proboszczem... Wcale nie wyglądała na sceptyczną.

– No, może źle się wyraziłem. Nie sceptyczna, ale kłótniwa. Kłóci się z Panem Bogiem. Dyskutuje i... a, potem ci powiem – zaszeptał, bo weszli do środka, gdzie ksiądz był już w trakcie opowieści.

– To było tytułem wstępu – mówił właśnie. – Bo jest Wigilia, za chwilę wszyscy wrócimy do domu i spotkamy się z naszymi bliskimi. Ale to też wieczór, w którym do naszych drzwi zapuka miłość, dobroć, przebaczenie i tęsknota. A być może i smutek. I ja wam teraz opowiem historię, która wraca do mnie w każde święta. I która zarazem jest moim wielkim wigilijnym smutkiem. To było dawno temu, w zupełnie innym miejscu, ale też była zima i zbliżało się Boże Narodzenie. Do kościoła, w którym służyłem, przysłała mała dziewczynka w czerwonym płaszczyku...

I ku najwyższemu zdumieniu Adrianny popłynęła opowieść, którą ona

sama mogłaby opowiedzieć ze szczegółami. O małej samotnej dziewczynce, która wymogła na księdzu obietnicę, że mała figurka Jezuska nie będzie nigdy samotna, o liście, który zostawiła, i o bezradności młodziutkiego księdza, gdy się zorientował, że list jest wołaniem o pomoc.

– I od tej pory, zawsze gdy zbliża się Boże Narodzenie, myślę o niej, o tej małej kruszynie, która tak nagle zniknęła mi z oczu. I zastanawiam się, czy gdybym wtedy za nią pobiegł, udałoby mi się ją dogonić i w jakiś sposób pomóc. Zapewne już nigdy się tego nie dowiem. Wielokrotnie myślałem o tym, co bym jej chciał powiedzieć. I wiecie co? Nigdy nie znalazłem wystarczająco odpowiednich słów. Ale z całą pewnością bym ją przytulił i nie pozwolił, by czuła się samotna i opuszczona. A gdybym teraz ją spotkał, chciałbym ją poprosić, żeby nigdy nie zwątpiła w miłość, i zapewnić ją, że nie musi się bać i że każda, nawet najczarniejsza, noc kiedyś się kończy, a po niej nastaje dzień. I dodać, że dotrzymałem obietnicy. I tamten Jezusek nigdy już nie był samotny. Bo miała rację, gdy mówiła, że żadne dziecko nie powinno być samo. Co więcej, nikt z nas nie powinien być na samotność skazany. I dlatego nasza kościelna tegoroczna szopka wygląda tak, a nie inaczej. Leży w niej dwóch Jezusków. Ten, którego dobrze znacie z poprzednich lat, i ten podarowany przez proboszcza, u którego wtedy służyłem. To drugie dzieciątko to coś więcej niż tylko dodatkowa figurka. To znak, że tam gdzie rodzi się Jezus, dla nas wszystkich starczy miejsca. Że w Wigilię powinniśmy szeroko otworzyć nasze serca i oczy i niczego nie przegapić. Bo w ten wieczór przychodzi do naszych domów miłość, która może mieć wiele twarzy, i trzeba o tym pamiętać – zakończył, ścisząc głos.

A potem wszyscy tłoczyli się wokół szopki. Wszyscy poza Adrianną, która podeszła do proboszcza i przez moment przyglądała mu się pełnym wzruszenia wzrokiem.

– Dziękuję – powiedziała w końcu i uśmiechnęła się do niego

promiennie. – Za to, że ksiądz o mnie nigdy nie zapomniał.

– To ty? – Proboszcz, nie bacząc na zdumione spojrzenia ludzi, ujął ją za rękę i obrócił tak, żeby lepiej widzieć jej twarz. – To niesamowite, tak bardzo prosiłem, żeby móc się z tobą jeszcze zobaczyć i poprosić cię o wybaczenie. I się spełniło...

– Cóż, w tych okolicznościach chyba nawet ja zaczęłam powoli wierzyć w cuda – wyszeptwała i pomyślała, że wokół niej rzeczywiście dzieje się coś niesamowitego. Tak jakby wszystko dookoła chciało ją przekonać o tym, że właśnie zbliża się pora na szczęście.

Przy stole wigilijnym najpierw było cicho i uroczyście. Ale wystarczyło, że w rękach zgromadzonych pojawiły się niemal przezroczyście chmurki opłatka, zrobiło się gwarno. Wszyscy wszystkim składali życzenia, powstawano z miejsc, na które po chwili wracano, całowano się, uśmiechano, ktoś puścił płytę z kolędami, dzieci poganiały się nawzajem, żeby jak najszybciej uporać się z jedzeniem, by móc rozpakować prezenty.

Patrząc na to wszystko, Adrianna czuła ogromne wzruszenie. Wszystko tutaj było tak nadzwyczajnie zwyczajne. Takie jak właśnie powinno być. Dobrze, ciepło, pełne miłości i zrozumienia.

A potem dzieciaki dorwały się do rozdawania prezentów. Tylko Franio był lekko zawiedziony brakiem upragnionej dzidzi.

– A przecież napisałem list – poskarżył się, ale jego żal został szybko utulony kolejną paczką, z której wyciągnął wymarzone klocki lego.

Tymczasem Magda, wykorzystując prezentowe zamieszanie, podeszła do Michała i odciągnęła go w cień pod okno.

– Cóż, ja też mam coś dla ciebie, ale to prezent, którym podzielimy się z innymi trochę później – powiedziała ściszym głosem i podała mu małe pudełeczko.

– Ależ ty jesteś tajemnicza. – Michał roześmiał się i odwiązał wstążeczkę.

Jego oczom ukazał się mały prostokątny przedmiot z wyraźnie zarysowanymi dwiema kreskami. Przez moment obracał go w palcach, jakby nie wierząc w to, co widzi.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał w końcu, a w jego oczach

zaśniła ogromna radość.

– No cóż, ja jeszcze nie wyszłam z szoku, wczoraj dopiero uświadomiłam sobie, o czym to na śmierć zapomniałam. I czego to mi tak brakowało. I z miejsca poleciałam do apteki po test, no i z tego jasno wynika, że Święty Mikołaj jednak istnieje.

– Czekaj, bo nie bardzo rozumiem. Co ma do tego jakiś Mikołaj? To nie jest tekst, który chciałby usłyszeć przyszyły ojciec – dodał, udając, że marszczy brwi.

– Zastanów się, Franio pisał list z prośbą o dzidzię? Pisał, choć wszyscy mu odradzali i mówili, że to się nie uda. I co? I dzidzia się pojawi. I to jest właśnie dowód na istnienie Świętego – wyjaśniła mu Madeleine.

– O Boże, ty to potrafisz człowieka tak skołować, że zapomina o tym, co najważniejsze. Ja tu gadam o Mikołajach, a przecież będziemy mieli dziecko! Po raz kolejny zostanę tatą, ale po raz pierwszy będziemy mieli w domu takiego oseska! Kochanie, tak się cieszę!

– Tylko jak my sobie z tym wszystkim poradzimy? – Madeleine wymownie spojrzała na stół, wokół którego z głośnym piskiem Franek gonił Marcysię.

– Normalnie sobie poradzimy. – Michał nagle spowaźniał i przyciągnął Madeleine do siebie. – Pamiętasz, co mówił dzisiaj proboszcz? Dla wszystkich starczy miejsca.

– I miłości – dodała Madeleine.

– O tak, na całe szczęście to jest dobro, które można dzielić w nieskończoność. I mimo tego dzielenia wcale jej nie ubywa. To będzie jedna z Wigilii, których nigdy nie zapomnimy – powiedział i nagle w jego ramionach zrobiło się jeszcze cieplej, szczęśliwiej i uroczyściej.

Dokładnie tak, jak w takich momentach powinno być.

**P**przed północą dom opustoszał i ucichł. Wszyscy wybrali się na pasterkę, tylko Adrianna i Antek zostali w domu. Poznoscili wszystkie brudne naczynia do kuchni, załadowali zmywarę, pozbierali porozrzucone po całym salonie papiery i torebki. A potem włożyli kurтки i wyszli na werandę, i zapatrzili się w usiane gwiazdami niebo. Było mroźnie, śnieżnie i pięknie.

– To były najpiękniejsze święta, jakie przeżyłam – wyznała Adrianna.

– To były twoje pierwsze najpiękniejsze święta, jakie przeżyłaś, następne czekają w kolejce – sprostował Antek. – Zostałem z tobą, żeby ci o tym powiedzieć. I jeszcze, że nie zgadzam się z tym, co na tej samej werandzie powiedziałaś mojej siostrze. Że jesteś uboga w miłość i że każdego czeka z tobą wielki koniec. Na żadne końce się nie zgadzam, a co do banału, o którym wspominałaś, to... – Zrobił pauzę, przyciągnął ją do siebie i prosto do ucha wymruczał:

*Nie żaden wcale wielki koniec  
lecz banal głupio niepojęty  
pomiędzy nasze myśli, dłonie  
tak się niegroźnie zakradł błękit  
I tak nam nagle wyogromniał  
nie słyszeć szeptu, słowa, krzyku  
I toast za cud przeszłość – do dna!  
i przyszłość, by dotrwała świtu (...)\**

– I ja ani ciebie, ani tego błękitu nie zamierzam z mych dłoni wypuścić. I właśnie odkryłem, że taki banal to jest to, czego przez całe życie szukałem –

dokończył, a potem ją pocałował.

I tak oto duch najpiękniejszych świąt Bożego Narodzenia rozpostarł nad nimi magiczny parasol. A kto wie, może to były skrzydła anioła?

---

\* Fragment piosenki *Tyle nieba* napisanej i wykonywanej przez Basię Stępnia-Wilk.

Pasterka dobiegła końca i Leontyna wraz ze Stefanem i Mateuszem wracali do domu. Podeszli już pod same drzwi, gdy z zaparkowanego naprzeciwko auta wyskoczyła ubrana w niebieską kurtkę dziewczyna i jak strzała pomknęła w kierunku Mateusza.

– Wszystkiego najlepszego, dziadku – wyszeptała, tuląc się do niego z całych sił.

Tuż za nią wysiedli Kamil z Beatą. Stanęli nieco onieśmieleni z boku, nie wiedząc, jak się mają zachować. Dopiero gdy Mateusz wyciągnął do nich ramiona, i oni ośmielili się podejść.

– To jest dopiero urodzaj na zbłąkanych wędrowców – mruknął Stefan do nieco zaskoczonej Leontyny. – To dzieci Mateusza i jego wnuczka – dodał wyjaśniającym szeptem.

– Cóż, dziś jest ta noc, podczas której każdemu należy otworzyć drzwi – odparła Leontyna. – Chodźcie do domu. Dla wszystkich starczy miejsca – dodała, powtarzając słowa proboszcza.

I tak oto cud bycia razem, którego nie zauważyła ani sąsiadka, ani pan sprzedający w kiosku, ani fryzjerka, właśnie się dopełnił.

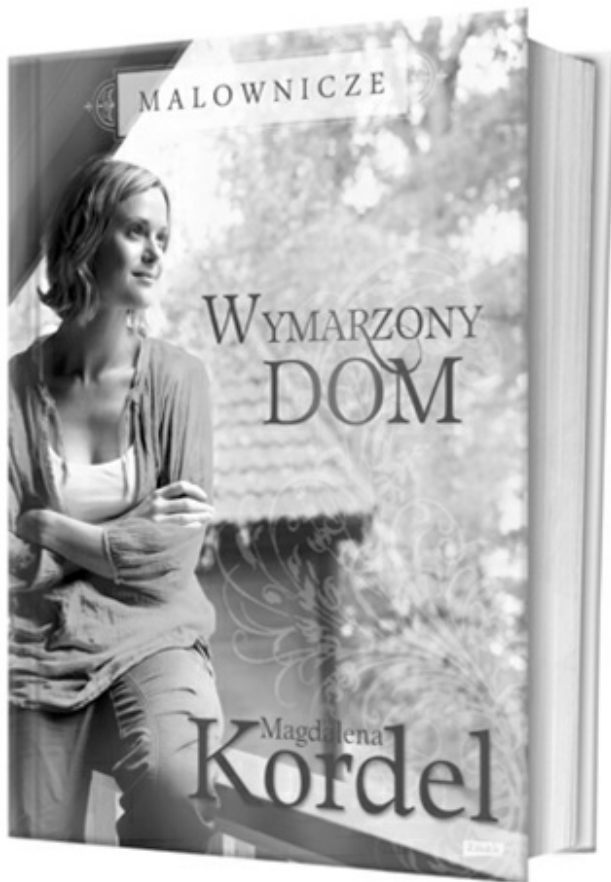
Na szczęście w niczym mu to nie przeszkodziło, bo cud, jak to cud, nie pragnie rozgłosu ani poklasku. Najważniejsze, by się pojawił i trwał, i trwał, i trwał.

KONIEC



ZAJRZYJ DO MALOWNICZEGO.

TU ZAWSZE JEST CZAS, BY SIĘ UŚMIECHNĄĆ I POROZMAWIAĆ.



Magdalena Kordel

WYMARZONY  
DOM  
MALOWNICZE

*Malownicze. Wymarzony dom* to wzruszająca i pełna humoru opowieść o spełnianiu marzeń, a przede wszystkim o miłości, która zmienia życie i nadaje mu sens. Jeśli wyciągniesz rękę do innych i nauczysz się marzyć, los uśmiechnie się do ciebie.

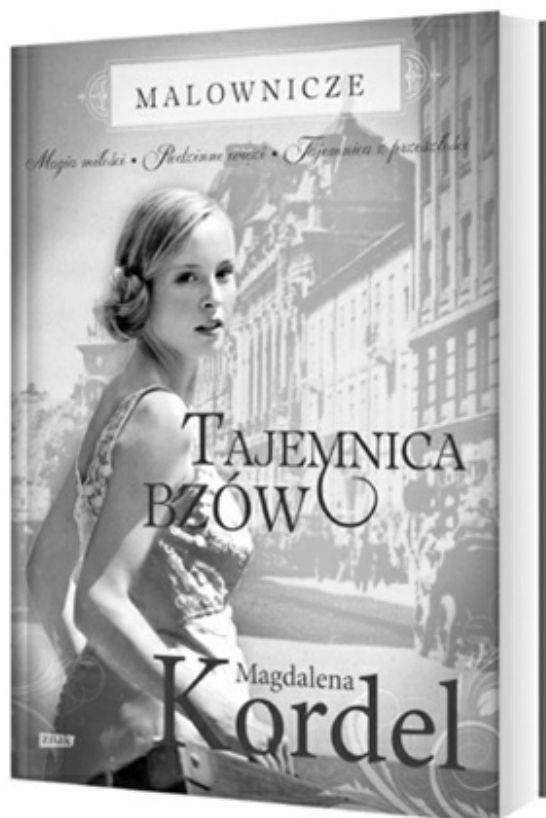


Magdalena Kordel

# WYMARZONY CZAS

MALOWNICZE

To czas na miłość, na szczęście. Czas radości, ale i zmian. Magda na dobre związana już z Malowniczem, cieszy się, że wkrótce stworzy prawdziwy dom dla Marcysi i Ani. Wie jednak, ile przeszkód musi jeszcze pokonać, zanim nadejdzie ich wymarzony czas.



Magdalena Kordel

Tajemnica  
BZÓW  
MALOWNICZE

*Chwytająca za serce opowieść o ucieczce od przeszłości i jednocześnie o ogromnej tęsknocie za nią. O wielkiej miłości i o tym, jak znaleźć dla siebie „bezpieczny świat”. Zachęcam do wciągającej lektury.*

Ewa Wencel, aktorka i scenarzystka *Czasu honoru*

*Niezwykła, wzruszająca i kobieca książka. Jedna z tych, których nie odkłada się na półkę, zanim nie dotrze się do ostatniej strony.*

Anna Herbich, autorka *Dziewczyn z Powstania* i *Dziewczyn z Syberii*



Magdalena Kordel

# NADZIEJE I MARZENIA

MALOWNICZE

Magda otrzymuje tajemniczy list z francuskiej kancelarii. Niebawem Malownicze zatrzęsie się od plotek o spadku. Wszyscy będą chcieli wiedzieć, czy z dnia na dzień Magda stanie się bajecznie bogata. Ona jednak ma inne kłopoty. Musi wreszcie odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytania: czy chce dalej być z Michałem i jak ma wyglądać ich wspólne życie. Odpowiedź nie jest taka prosta.

Sto pięćdziesiąt lat wcześniej, gdzieś u podnóża Gór Świętokrzyskich, Sabina, ryzykując życie, angażuje się w spisek przeciwko zaborcom. Adam kocha ją do szaleństwa i za wszelką cenę stara się uchronić przed niebezpieczeństwem. Przewrotny los jednak chce inaczej.

Co łączy tak odległą historię Sabiny z Magdą? Czy sekret z przeszłości pomoże jej odnaleźć swoje przeznaczenie i spełnić marzenia?

# Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)



[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Karta redakcyjna](#)

Projekt okładki  
Agnieszka Kucharz-Gulis

Fotografia na okładce  
Shutterstock.com/Boiko Olha i Shutterstock.com/Coy\_Creek

Opieka redakcyjna  
Dorota Gruszka

Korekta  
Małgorzata Biernacka  
Barbara Gąsiorowska

Copyright © by Magdalena Kordel  
© Copyright for this edition © by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5853-2

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek

MAGDALENA  
**KORDEL**



*Pejzaż z Aniołem*



MALOWNICZE

znak